



Kryminał z myszką

60

Błękitne okulary

Anna
Kłodzińska

Anna Kłodzińska

BŁĘKITNE OKULARY

Kryminał z myszką – Tom 60

Wydawnictwo
Estymator
www.estymator.net.pl

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67562-63-8

Copyright © Christofer Klodzinski

Pierwsze wydanie: Czytelnik, Warszawa 1965, seria
„Z jamnikiem”

Więcej darmowych ebooków i audiobooków na
chomiku [JamaNiamy](#)

Spis treści

Strona tytułowa
Karta redakcyjna
Motto

Prolog
Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10
Epilog

Motto:

„Co znaczy,
Że chce czegoś człek?
Jak gdyby szło tu o człowieka!
Wszyscy aż po sędziwy wiek
O złotodajnych
Śnimy rzekach.
Pragniemy cukru, by tak rzec,
A jakoś dzieje się inaczej;
Chcesz śmiać się,
No to zwykła rzecz,
Ze zamiast tego
Płaczesz.”

Józef Utkin:

„Opowieść o rudym Motele”
(przełożył Zygmunt Braude)

Prolog

Dziewczyna była ruda, nieduża, miała bardzo białe, wystające zęby i wesołe oczy, podcienione na niebiesko. Czapa z lisiego futra chwiała się na jej głowie, kiedy stawiała niepewne kroki po śliskiej jezdni, pokrytej lodem.

- Sławek, trzymaj, bo lecę! - wołała co chwila, czepiając się płaszcza swego towarzysza. Oboje byli trochę pijani, nie na tyle jednak, aby stracić poczucie rzeczywistości i równowagę. Wysiedli na rogu z taksówki, bo na dalszą jazdę zabrakło im pieniędzy.

Podpierając się wzajemnie i wybuchając śmiechem, dobrnęli jakoś do bramy domu, oznaczonej numerem sześć. Mężczyzna zadarł głowę do góry, popatrzał na ciemne okna drugiego piętra.

- Śpi - mruknął. - Tak wcześnie i już śpi?

- Albo wyszedł. A przecież miał na nas czekać - powiedziała z rozżaleniem.

- Może zaraz wróci. Wiesz co? - ożywił się nagle. Sięgnął do kieszeni i śmiejąc się wyciągnął dwa klucze na metalowym kółeczku. - Zrobimy mu kawał.

- Skąd masz jego klucze? - zdziwiła się. I zaraz sobie przypomniała. - To jeszcze od Sylwestra, prawda?

- Aha. On ma zawsze dwie pary, na wszelki wypadek. Albo dla przyjaciół. Chodź, schowamy się w mieszkaniu i nastraszymy go. Pomyśli, że złodzieje. Chodź! - pociągnął ją do bramy.

Chichocząc, popychając się i szepcząc, bo a nuż jednak jest w domu, dotarli wreszcie na drugie piętro. Mężczyzna zadzwonił kilkakrotnie, ale w mieszkaniu panowała niczym nie zmacona cisza. To ich upewniło, że wyszedł. Zgrzytnął klucz w zamku. Nie zachowując już ciszy, rozdokazywani, zrzucili w przedpokoju płaszcze. Dziewczyna zdjęła długie po kolana, futrzane botki, cisnęła je z rozmachem w kąt i w pończochach pobiegła do kuchni. Chciało jej się pić; gospodarz tego lokalu zwykle trzymał piwo w kredensie pod oknem.

- Sławek! - zawołała. - Chodź, napijemy się piwa.

Z nagłą uderzyła ją cisza, panująca w mieszkaniu.

Zdziwiona, wyszła z kuchni, trzymając dwie butelki Radebergera. W pokoju paliło się światło.

- Jesteś tu? - spytała, przystając w progu. - Co robisz?

Podeszła bliżej. Mężczyzna stał nieruchomy obok tapczanu, na którym ktoś leżał.

- Odejdź stąd! - mruknął, ale było już za późno. Dziewczyna zrobiła jeszcze parę kroków i krzyknęła, wypuszczając butelki na podłogę.

- Co on... śpi? - szepnęła, chociaż leżący na tapczanie nie robił wrażenia śpiącego. Twarz miał wykrzywioną, ściągniętą jakimś grymasem, oczy otwarte, z rozszerzonymi źrenicami. - O, Boże! Jak on strasznie wygląda... Co mu się stało?

Mężczyzna, który był już teraz zupełnie trzeźwy, pochylił się ostrożnie nad ciałem, poruszył nozdrzami. Poczul dziwny, charakterystyczny zapach. Nie znał go, jakiś instynkt ostrzegał go jednak przed tym zapachem. Było to coś, jak gdyby migdały, olejek migdałowy czy coś podobnego.

Wyprostował się. Poszukał oczami i znalazł. Kieliszek z resztką gęstego płynu przywartą do dna leżał na dywanie, tuż pod zwisającą w dół, martwą ręką. Mężczyzna delikatnie dotknął tej ręki i zaraz cofnął dłoń. Zdawało mu się, że dotknął zimnego żelaza.

- Nie żyje. Już od dawna. Zimny.

- Co teraz? - spytała przerażona. - Co zrobimy? Mieliśmy jego klucze... Jezus, Maria, jeszcze nas

posądzą! On się chyba sam zabił? Otruł się czy jak?

- Nie wiem.

Przetarł spocone czoło, rozejrzał się bezradnie dokoła. Nie było widać żadnych śladów walki, wszystkie meble stały na miejscu, na oknach wisiały zaciągnięte porządnie firanki. Bielizna i ubranie zmarłego, złożone starannie na krześle, sprawiały wrażenie, że nikt nieproszony tutaj nie wtargnął, niczyja obca ręka śmierci nie zadała.

Mężczyzna jakby oprzytomniał. Spojrzał na zegarek, westchnął, podszedł do telefonu. Przez chustkę do nosa ujął słuchawkę i nakręcił dobrze mu znajomy numer. Potem powiedział:

- Mówi podprokurator Kania. Jestem na Bednarskiej pod szóstym, w mieszkaniu Wacława Maleckiego. On nie żyje, prawdopodobnie samobójstwo... Tak, Bednarska sześć... Tak. Czekam tutaj.

Odłożył słuchawkę. Nerwowym ruchem zapalił papierosa. Wypaloną zapałkę schował do kieszeni, popiół strącał do papierowego lejka, który skręcił z gazety wyjętej z kieszeni płaszcza. Zastanawiał się, czy nie zaniedbał niczego. Prawda! Piwo.

- Musiałaś je tutaj nieść? - rzekł niechętnie, patrząc na leżące na dywanie butelki. Schylił się, ujął

je przez chustkę, starannie wytarł ślady palców dziewczyny. – Skąd to wzięłaś?

Bez słowa poprowadziła go do kuchni. Schował butelki, wytarł jeszcze klucz tkwiący w kredensie i białe lakierowane drzwiczki.

– Załóż botki. I nie dotykaj niczego, słyszysz? Czego jeszcze dotknęłaś, jak weszłaś? Mów szybko, oni zaraz przyjadą.

– Niczego więcej.

– Na pewno?

– No, tak... Na pewno. Tylko ten kredens i butelki. Sławek, ale co my powiemy, jak milicja przyjedzie?

– Mówienie zostaw mnie. Chwała Bogu, znam ich nie od dziś. Zresztą, on nie żyje już dość długo, a myśmy jeszcze godzinę temu byli w klubie. Mamy świadków. A w ogóle, zwracanie głowy! – zdenerwował się nagle. – Ja się będę bał milicji? Ja, prokurator? Nonsens.

– To po co ścierałaś ślady?

– Żeby niepotrzebnie nie komplikować śledztwa. My wiemy, że jak przyszedł, to on już nie żył. Ale milicji trzeba by to dopiero udowodniać, a twoje odciski palców byłyby w tym diablo niepotrzebne.

Dziewczyna raz po raz spoglądała bokiem, ostrożnie na twarz zmarłego. Bała się, a jednocześnie

coś ją ciągnęło, aby patrzeć. Twarz była straszna, na pewno będzie jej się potem śniła całymi nocami; wiedziała o tym dobrze. Mimo to wciąż odwracała głowę w stronę tapczanu.

- Kiedy on to zrobił? - szepnęła, splatając nerwowo palce. - Przecież wiedział, że mamy przyjść... I po co, w ogóle... nic z tego nie rozumiem. Zawsze był wesoły, dobrze mu się powodziło.

- Nie zawsze był wesoły - sprostował. - Od jakiegoś czasu chodził jak struty. Musiał mieć jakieś... - urwał, przechylił głowę, nasłuchując. Od strony Krakowskiego Przedmieścia nadlatywał coraz bliżej jęk syreny. - Już są. Nic nie mów, słyszysz?

- A jak mnie zapytają? - zawołała, tracąc panowanie nad sobą. - Przecież nie jestem niemowa! Co mam mówić?

- Prawdę, oczywiście. Bez tych butelek. Weszliśmy, ty zdejmowałaś w przedpokoju botki, ja wszedłem do pokoju, zapaliłem światło... potem ty... potem...

- Potem ja weszłam za tobą i zobaczyłam. Więcej i tak nic nie było, bo to piwo...

- Jak się wygadasz z piwem, posądzą cię, że kręcisz. Hanka, błagam cię, mów jak najmniej! Zostaw wszystko mnie. Nic nie jesteśmy winni, więc

musimy się z tego jakoś wykręcić. Ja i tak nie będę prowadził śledztwa, to nie moja dzielnica. Zresztą...
Idą!

Usłyszał na schodach szuranie butów. Potem rozległ się dzwonek, ale prokurator Kania już otwierał drzwi. Wszedł oficer ze służby kryminalnej, po cywilnemu, i wysoki, chudy sierżant w mundurze.

Kania obrzucił ich baczny spojrzeniem. Oficera znał, sierżant się nie liczył. Wyciągnął rękę na przywitanie. Twarz miał skupioną, poważną. W milczeniu poprowadził ich do tapczanu. Oficer nachylił się nad zmarłym, pociągnął nosem i odsunął się mimo woli.

- Cyjanowodór - mruknął. Wiedział, że ten najbardziej trujący z jądów niebezpieczny jest nawet przy wdychaniu jego oparów.

- Tak też myślałem - powiedział podprokurator. - Pewnie tam - wskazał na kieliszek.

Oficer dotknął końcami palców twarzy zmarłego, pokiwał głową. Sierżant rozejrzał się, podszedł do telefonu i, tak jak poprzednio Kania, ujął słuchawkę przez chusteczkę. Połączył się z Komendą Miasta, powiedział kilka zdań, poczekał na odpowiedź i dodał, aby się pośpieszyli. Oficer, nie zwracając na to uwagi i nie ruszając się z miejsca, rozglądał się

uważnie po pokoju. Potem wyjął notes, zwrócił twarz w stronę stojących obok, podprokuratora i dziewczyny.

- Umówiliśmy się z Maleckim - zaczął Kania, nie czekając na zapytanie - że przyjdziemy do niego około szóstej po południu...

Rozdział 1

Tęgi, rumiany mężczyzna o siwych włosach, sterczących w górę jak szczotka, rozdawał karty wprawnym ruchem ręki. Jego bystre oczy obejmowały partnerów krótkimi, ostrymi spojrzeniami. Chwilami marszczył nos, jakby z gniewem.

W pokoju ze szczelnie zasłoniętymi storami trzy stoliki zajęte były przez pokerzystów, przy czwartym gospodarz lokalu rozmawiał z kimś szeptem, nachylając ku niemu głowę i gestykulując z przejęciem. Jego rozmówca przytakiwał ze zrozumieniem, nie spuszczał jednocześnie oka z przystojnej, trochę przysadzistej pani, szykującej na kredensie kanapki.

- Przebijam trzykrotnie - powiedział partner pana ze szczotkowatymi włosami. Był młody, lekko śniady, czarne włosy wydawały się mokre i gładko oblepiały czaszkę.

- Beze mnie - mruknął trzeci. Niecierpliwie strzepnął palcami. Szczotkowaty spojrział na niego spod oka.

- Przebijam - warknął czwarty grający. Robił wrażenie niechluj, miał łupież i włosy na kołnierzu ciemnej marynarki, brudne paznokcie i zmiętą, szarą twarz.

Trzeci zapatrzył się gdzieś w przestrzeń.

- Czterdzieści pięć w puli.

Tęgi wzruszył ramionami:

- Grosze. Marne grosze.

Nagle przy drugim stoliku wybuchła awantura. Gospodarz zerwał się z krzesła, takie rzeczy były niedopuszczalne.

- Panowie! - podszedł do nich, twarz miał jak z kamienia, oczy złe. Jednemu z graczy położył na plecach twardą rękę, aż tamten ugiął się i przycichł.

- Panowie, w waszym i moim interesie... Chyba nie muszę przypominać.

Postał jeszcze chwilę, przyjrzał się rozdawaniu kart. Raptem, ruchem szybkim jak cyrkowiec, wyjął

rozdajacemu talie z rąk i wzruszył ramionami.

- Ostatni raz widzę pana u siebie - powiedział cicho. Gracz znał go dobrze, nie próbował protestować. Gospodarz położył na stole nową talie, którą sam rozpieczętował. - Proszę, grajcie, panowie, dalej. - Wrócił do stolika i znów zaczął szeptać coś swemu rozmówcy.

Przy pierwszym stoliku śniady miał fulla-max, trzy asy i króla pikowego z damą. Gracz, który powiedział „beze mnie”, kiwał się sennie, oczy miał jakby zamazane. Długimi, szczupłymi palcami co chwila strzepywał w powietrzu albo postukiwał na blacie stolika, marszcząc ciemne, ukośne brwi.

Trzeci stół widocznie zakończył grę, bo partnerzy wstawali, nie śpiesząc się, któryś chował do kieszeni karty. Dwaj odruchowo spojrzeli na zegarek: była dziesiąta. Powoli, jeden za drugim, wychodzili do przedpokoju, który był jednocześnie korytarzem i prowadził w głąb mieszkania, obok kuchni i łazienki. Gracze skierowali się w tamtą stronę. Ostatni pokój, najmniejszy ze wszystkich, oświetlony był tylko stojącą lampą z ciemnozielonym abażurem. Usiedli w fotelach i na tapczanie, drzwi zostawili lekko uchylone.

W półmroku nie dostrzegli samotnej postaci, wciśniętej w wiklinowy fotel koło szafy. Dopiero kiedy się odezwał, wszyscy - cała piątka - zaskoczeni, odwrócili głowy w jego stronę, choć powinni byli się przyzwyczaić do tego, że zjawiał się niespodziewanie albo czekał już na nich, mimo iż umawiał się inaczej.

- Dobry wieczór - powiedział, nie podnosząc głosu. Zawsze mówił cicho, podobno przechodził operację strun głosowych i tak mu to już zostało. - Proszę, niech ktoś zamknie drzwi. Może pan, panie Andrzeju.

Młody mężczyzna o przystojnej, trochę kpiącej twarzy, siedzący najbliżej drzwi, podniósł się leniwie i zamknął je na klucz.

- Proponuję, żebyśmy od razu przystąpili do rzeczy - rzekł niecierpliwie niski, barczysty blondyn o wyraźnych skłonnościach do tycia. Miał krótkie nogi, wystający brzuch i oczy bystre, chłodne, o spuchniętych powiekach. - Doktorze Hacen, co pan proponuje?

Wiklinowy fotel zaskrzypiał, siedzący w nim poruszył się lekko.

- Proponuję - odparł - abyśmy zajęli się pewną przesyłką kolejową. Dwa wagony, od granicy

konwojowane przez strażników przemysłowych z fabryki „C-4”, dla której są przeznaczone. Fabryka ma bocznice kolejową. Przesyłka nadejdzie nocą, wagony odstawiają na bocznice, strażnicy pójną spać.

- Co tam jest? - spytał mężczyzna o rybich, wylupiastych oczach nad ostrym nosem. Palce miał żółte od nikotyny, palił dwie paczki dziennie.

- Chemikalia, inżynierze. Wartość przesyłki, tak na oko, pół miliona.

- Czego?

- Złotych dewizowych, oczywiście.

Barczysty blondyn skrzywił się niechętnie.

- Będą pilnować w nocy. To nie węgiel czy blacha, na pewno postawią wartowników. Ale rzecz jest warta rozważenia. Wartownicy, to jeszcze nie problem. Kiedy wagony mają nadejść?

- Za dziesięć dni, o ile CEHAZ nie przesunie terminu. Ostatnio zagranica trochę opóźnia dostawy chemiczne, mają jakieś z tym trudności.

- Oni mają trudności? - blondyn parsknął śmiechem z ironią. - Myślałem, że to tylko u nas się zdarza.

- Panowie, od kiedy to interesuje nas polityka? - skrzywił się chudy, ciemnowłosy mężczyzna siedzący

pod oknem. Jego bladoniebieskie oczy lśniły nieustanną drwiną. Na nosie osiadły mu krople potu, starł je delikatnie chusteczką śnieżnej białości. Był zawsze starannie ubrany i w niczym nie przypominał księgowych z karykatur, choć od wielu lat uprawiał swój zawód ze znanostwem i zamiłowaniem. - Za dziesięć dni czy za dwadzieścia, co za różnica. Tak czy tak, musimy się przygotować. Dwa wagony, mówi pan... - zamyślił się na chwilę. - Będę miał trochę trudności ze zbyciem. Chciałem powiedzieć: ze zbyciem tu, w Warszawie - poprawił się szybko. - Proponuję wobec tego Katowice, albo Gdańsk.

- Kogo mamy w Gdańsku z tej branży? - spytał blondyn.

- O, niejednego, mecenasie. Tam te rzeczy idą jak woda. Co to są za chemikalia, doktorze Hacen? Odczynniki, lakiery? Tworzywa?

- Dokładną listą będę miał za kilka dni. Na razie wiem tyle, że w przesyłce przeważają masy plastyczne, przede wszystkim fenoplasty. Jest sztuczny kauczuk, chloroprenowy...

- Amerykański? Neopren? - przerwał żywo inżynier.

- Tak.

- Droga rzecz. Jest bardzo odporny. Co jeszcze, doktorze?

- Barwniki kadziowe. Jakież farby, nie pamiętam nazw. Sądzę, że nie ma potrzeby teraz się tym zajmować. Przejdźmy do opracowania planu.

- Chwileczkę - powiedział nagle ostatni z grupy, który dotychczas nie zabierał głosu. - Chciałbym od razu zaznaczyć, że u mnie tego przechować się nie da. Ja mówię na wszelki wypadek, bo... - urwał, zmieszany ostrym spojrzeniem mecenasa. - Magazyn spółdzielczy jest mały, ciasny, podkreślałem to wiele razy, ale nigdy nie chcecie mnie słuchać.

- Tchórz - mruknął przystojny. Wyjął z kieszeni grzebyk i przeczesywał bujne, czarne włosy. - Ciasno mu!... Pan magazynier nie potrafi wymyślić lepszego pretekstu? Boi się pan, i tyle.

- Zostaw, Andrzej - inżynier machnął ręką lekceważąco.

Doktor Hacen wolno odwrócił głowę w stronę magazyniera. W półmroku jego oczy, ukryte za niebieskimi okularami, były niewidoczne. Siwe, starannie uczesane włosy, głębokie bruzdy na twarzy czyniły tę twarz surową i starczą.

- Czy mamy przez to rozumieć, panie Oziembło, że wycofuje się pan w ogóle ze współpracy z nami? -

spytał prawie szeptem. - Czy chce pan, żebyśmy tak to rozumieli?

Oziembło zbladł. Nerwowo zacisnął palce na poręczach krzesła. Obecni milczeli. Każdy z nich zresztą myślał o tym samym i Oziembło wiedział, o czym oni myślą. Dlatego nagle przejął go dziki, trudny do opanowania lęk.

- Nie, skądże! - przełknął ślinę, zamachał rękami.
- Ja tylko... bo pan Zdanowicz sugeruje, że... że będzie miał trudności ze zbyciem, więc...

- Więc co? - przerwał mu drwiąco księgowy. - Myśli pan, że dwoma wagonami chemikalii zapcham ten pański zasrany magazyn? Żeby na drugi dzień przylecieli z PIH-u, z prokuratury, z milicji i Bóg wie, skąd jeszcze! Idiota - syknął, ale już ciszej. - Proponuję - zwrócił się w stronę doktora - transport samochodowy, bezpośrednio z bocznic. Od razu w Polskę. Żadnych magazynów, to byłoby niebezpieczne. Za duża rzecz, za wiele szumu. Czy nie dałoby się tak urządzić, żeby wagony nadeszły późnym wieczorem?

- Powiedziałem, że przyjdą nocą. Może to być dwudziesta trzecia, dwudziesta czwarta, może trochę później. Aha, rozumiem, chodzi panu o to, żeby transport samochodowy szedł nocą, tak?

- Oczywiście. Więc plan całej operacji mógłby wyglądać tak...

*

- Bardzo trudno rozgryźć to środowisko, kapitanie. Niektórzy przychodzą prosto z ulicy, na hasło. Są niepewni, grają najpierw ostrożnie, przegrywają mało. Potem ciągną wyżej, stawki puchną, w puli bywa i paręset tysięcy złotych. Wtedy część odpada, nie mają tyle forsy. Czasem zostają, aby się przyjrzeć grze, czasem odchodzą i rzadko kiedy wracają z powrotem. Ale jest pewna grupa stałych graczy. Ci przychodzą jak do siebie, grają zazwyczaj wysoko, ze zmiennym szczęściem. Czasami jedni i drudzy mieszają się przy stoliku, czasem znów stała grupa trzyma się trochę na boku. Zresztą, na to nie ma reguły. Kapitan gra w pokera?

- Znam zasady gry.

- No, więc na przykład wczoraj dwa razy wyszedł przy jednym stoliku poker, trzy razy kareta. Nie do wiary... W ciągu godziny, może trochę więcej. Gość, taki z wyłupiastymi oczami i długim nosem, przebił w ciemno, w puli było dwadzieścia, potroił, dwóch nie weszło, czwarty przebił potrójnie, piąty odpadł, jak tamci. Wyłupiasty znowu przebił, ale teraz na jasno,

tamten potroił, na mnie już za niego skóra cierpła, bo widziałem, co miał w karcie. A wylupiasty trzymał pokera. Tamten szedł wysoko, miał dwie pary, bluffował.

- No i jak się skończyło?

- Ten, co miał pokera, wziął coś ponad czterysta tysięcy. Ale mnie nie o to idzie. Oczywiście, kwestia, skąd ci ludzie mają tyle forsy, i tak dalej. Niech się tym zajmuje „czwórka”, to nie moja sprawa.

- Sądzicie, że to ma związek z tamtym?

- Tak, kapitanie. Nie mam na to jednak żadnych dowodów. Na razie. Chyba tylko ten szczegół, że Malecki też tu przychodził. I grywał.

- Nie przekazywałem jeszcze nic do „czwórki”. Wolałbym mieć trochę więcej danych, oni nie lubią takich nie dopracowanych spraw. Malecki mógł po prostu przychodzić na pokera. Tylko na pokera.

- Przekażecie ich „czwórce”?

- Właśnie zastanawiam się, czy to byłoby celowe. Bo przecież nie chodzi nam o zwykłą szulernię, tego w Warszawie jest więcej. Ale jeżeli „czwórka” się do nich zabierze, to położy nam to inne sprawy. Zlikwidujemy szulernię i, być może, spalimy sobie kontakty. Przyznam się wam szczerze, że wolałbym, aby pozostało wszystko tak, jak dotychczas.

- Ja też, kapitanie. Ostatecznie, może facety mają grubszą gotówkę właśnie z pokera. Jak kto ma szczęście, takie cholerne szczęście, jakie się czasami w kartach zdarza, to może obracać setkami tysięcy, a jednocześnie być na posadzie za dwa patyki. Macie rację, na likwidację szulerni zawsze mamy czas. Co ja wam jeszcze chciałem... aha. Tam jest taki jeden dziwny gość. Nie gra. Czasem go widuję, jak przechodzi przez pokój. Niewysoki, utyka na nogę. Starszy, może ma z pięćdziesiątkę. Nie podoba mi się ten człowiek, kapitanie! Wyraźnie mi się nie podoba.

- To nie jego wina.

- Nie śmiejcie się. Ja wam mówię, że z nim będzie jeszcze jakaś draka. Po co on tam siedzi, jeżeli nie gra?

- Może krewny gospodarza. Nie zawracajcie sobie głowy, za niesympatyczny wygląd człowiek nie odpowiada. Dobrze by było dowiedzieć się trochę szczegółów o gospodarzu mieszkania.

- Ja nie mogę. Niebezpiecznie. Niech to zrobi ktoś inny. Ale może lepiej nie... Albo bardzo ostrożnie, bo ich spłoszymy. Cholera, dobrze by było, ale się boję, że ich spłoszymy.

- Zastanowię się jeszcze. Uważajcie na siebie.

- Bez obaw, kapitanie. Nikt was nie widział, jak tu szliście?

- Sądzę, że nie. No, to - do następnego razu. Kontakt, jak zwykle.

*

Główny konstruktor po raz dziesiąty może sięgnął do teczki z napisem: „Projekt reorganizacji Zakładów Niskiego Napięcia, materiały na konferencję samorządu robotniczego”. Konferencja miała się odbyć za tydzień, a projekt był jeszcze w lesie. Jako główny konstruktor, czuł się odpowiedzialny za podległych mu pracowników, którzy mieli opracować podstawowe tezy. Ale jak dotąd, zrobił to tylko jeden z inżynierów. Naturalnie, Maliniak. Temu nigdy nie było można nic zarzucić.

Główny konstruktor - w skrócie zwany przez pracowników „GK” - w zadumie spoglądał na równo ułożone, spięte kartki maszynopisu. Tezom Maliniaka również nie było można nic zarzucić. Jasno, treściwie, z dokładnym wyliczeniem produkcji eksportowej, z podaniem obniżki kosztów i wzrostu wydajności pracy - inżynier wykladał na papierze swoje propozycje.

Gdyby Maliniak był choć trochę sympatyczniejszy... „GK” zastanawiał się przez chwilę, czy jest w Zakładach ktoś, kto lubi tego długonosego, wysokiego człowieka o zimnych, wylupiastych oczach ryby i zaciętych wargach. I choć wszyscy zgodnie przyznawali, że Maliniak to jeden z najzdolniejszych inżynierów, nikt nie podniósł ręki, kiedy przyszło do wyborów przewodniczącego Koła NOT i kiedy „GK”, raczej z braku innego kandydata niż z sympatii, zaproponował jego nazwisko.

Maliniak nie obraził się. Wzruszył tylko ramionami. Różnie potem ten gest interpretowano, ale nikt z inżynierem o tej sprawie nie rozmawiał. Szczerze mówiąc, nikt nie miałby odwagi. „To by dowodziło – myślał główny konstruktor – że się go boją. Ale dlaczego?”

Zadzwoił telefon. Dyrektor techniczny prosił do siebie na naradę w sprawie projektu. „GK” zasepił się i odparł, że projekt nie jest jeszcze gotów. Że tylko Maliniak...

- Ach, kolega Maliniak? - dyrektor wyraźnie uśmiechnął się do słuchawki. - Chwalebne. Podrzucicie mi przy okazji jego tezy, dobrze? Oczywiście, jeżeli nie będą wam potrzebne.

- Maliniak dał w dwóch egzemplarzach - stwierdził, zresztą dopiero w tym momencie, główny konstruktor. - Mogę zaraz jeden przynieść.

W chwilę później zetknął się z Maliniakiem w sekretariacie dyrekcyjnym. Długonosy inżynier wychodził z gabinetu naczelnego; twarz miał jak zwykle nieprzeniknioną. Mogło to oznaczać w równym stopniu, że otrzymał nagane, jak - premię.

- Dobrze, że pana spotykam - powiedział „GK”. - Idę właśnie z pańskimi tezami do technicznego, chciał je przejrzeć. Chodźmy razem.

Maliniak skinął głową w milczeniu i przepuścił głównego konstruktora przed sobą w otwarte drzwi. Uznawał hierarchię służbową na tyle, na ile było to wskazane.

W godzinę później wychodził z bramy Zakładów, trzymając pod pachą żółtą teczkę. Było parę minut po trzeciej. Siąpił drobny, majowy deszcz, w powietrzu pachniało świeżą zielenią. Maliniak otworzył swojego fiata-600, rzucił teczkę na tylne siedzenie, zapuścił motor. Mały samochodzik ruszył cicho i sprawnie. Z Północnej Pragi inżynier z pewnym trudem - były to godziny szczytu komunikacyjnego - przedostał się na Południową i zapuścił daleko w jedną z peryferyjnych uliczek,

krętych i wąskich. Egzystowało tu parę prywatnych sklepików warzywno-spożywczych, krawiec, szewc i niewielki warsztat samochodowy, w podwórzu.

Wjechał tam, wyłączył motor i wychylił się przez opuszczoną szybę, a dojrawszy tego, którego szukał, zamknął starannie wóz, po czym wszedł do drewnianego baraczkę. Kręciło się tu kilku mężczyzn w zatłuszczonych kombinezonach roboczych, usmarowanych farbą. Dwa samochody - zupełne „trupy” na oko - tkwiły na małym podwyższeniu, z melancholijnie rozwartymi maskami. Przy jednym, pochylony nad silnikiem, jakiś człowiek uważnie wsłuchiwał się w warkot zapuszczonego motoru.

- Zostaw to - powiedział inżynier stając obok niego. - Chodźmy do kantoru.

Człowiek wyprostował się i rękawem bluzy wytarł spoconą twarz. Potem spojrzął na Maliniaka niechętnie.

- Ja pracuję. Nie widzisz? - mruknął. Zębami wyciągnął z wierzchniej kieszonki papierosa. - Daj mi ognia. O co chodzi?

- Idziemy, Andrzej.

W głosie inżyniera było coś, co sprawiło, że przystojny, choć zbyt krępy i niski mężczyzna rzucił na deski trzymane w ręku narzędzie, rozejrzał się po

baraku i, wydawszy parę poleceń monterom, skierował się ku oddzielnemu budynkowi, gdzie miał mikroskopijne biuro.

- Słuchaj, musimy to raz wreszcie uzgodnić - odezwał się, gdy usiedli i Maliniak starannie zamknął drzwi. - Ja do szóstej wieczorem pracuję i chciałbym wszelkie sprawy z tobą załatwić po tej godzinie. Nie chodzi mi o głupią forszę, ale o firmę. Ja tu muszę być, rozumiesz? Tak, jak ty musisz być w swoich Zakładach. Takie przychodzenie...

- Dostyc, Andrzej! - przerwał mu tamten ostro. - Nie mam czasu na rozmówki i pretensje. Za trzy dni przychodzą wagony. Jak wygląda sprawa transportu samochodowego? Doktor Hacen dzwonił dziś do mnie.

Andrzej Bryja przesunął papierosa językiem z jednego kącika ust w drugi, machnął ręką lekceważąco.

- O to mogłeś się spytać równie dobrze i wieczorem. Wiesz, gdzie mieszkam. A transport będzie.

- Co znaczy: będzie? Ile wozów? Jakie? Kiedy? Skąd weźmiesz kierowców? Dwa wagony, to średnio biorąc jakieś trzydzieści sześć ton. Może czterdzieści. A na jedną ciężarówkę wchodzi

zaledwie cztery do pięciu ton. Skąd ty weźmiesz dziesięć wozów? Przecież to cała kolumna.

- Piąta - mruknął Bryja i wybuchnął śmiechem. Maliniak nie zrozumiał, a potem obraził się. - Będę miał cztery wozy, każdy po pięć ton. Obrócą dwa razy, i już. Towar zrzucą w lesie, za Rembertowem. - Przesunął papierosa z powrotem. - Tam są magazyny, stare magazyny jednej spółdzielni. Baraki. Po zwiezieniu całości, towar zostanie odtransportowany do Gdańska, Katowic czy Koziej Wólki, gdzie ci się żywnie podoba. Ale tej jednej nocy nie da się wszystkiego przewieźć, to byłaby rzeczywiście cała kolumna. Podpada. Z tamtych baraków, dwa - może trzy samochody zabiorą i zawiozą bez zwrócenia uwagi, przez parę nocy. A może nawet i w dzień... - zamyślił się, przeczesał palcami bujne, czarne włosy.

Maliniak słuchał uważnie, kreśląc jakieś zygzaki na brzegu biurka. Potem powtórnie zapytał o kierowców. Bryja odparł beztrąsko, że to jego głowa i że kierowcy będą.

- Ale znalazłem tylko trzech - dodał. - I dlatego w nocy mogą być tylko cztery wozy. Czwartym pojedę ja - uprzedził pytanie.

- Kim są tamci trzej? - inżynier nie ustępował.

- Recydywiści. - Bryja znowu wybuchnął śmiechem. - Szatany, nie chłopaki. Każdy siedział po dwa, trzy razy.

- Za co?

- Co cię to obchodzi? Różnie. Za rozbój, za napad rabunkowy, za chuligaństwo. Teraz chodzą „luzem” i tęsknią za robotą.

- Mają prawa jazdy?

- Masz mnie za głupca? Będą mieli wszystko, co im potrzeba. Prawa jazdy, karty wozów, dowody osobiste. To już rzecz mecenasa Raczka. Od czego go mamy, jak nie od formalności prawnych - zaśmiał się.

- Może pojedą jako wojskowy transport, może jako fabryka imienia... no, jakiego chcesz? Dla mnie każdy dobry i wszyscy jednakowi.

- Okradną nas - powiedział Maliniak, a jego długi nos poczerwieniał z irytacji. - Pojedziesz jeden przeciwko trzem. Zwalą cię po drodze do rowu i zwieją z towarem. Jaką masz gwarancję, że tego nie zrobią?

- Żadną. Ale nie pojedę sam. Jako konwojenci, pojedziecie: ty, Oziembło i Zdanowicz.

- Oszalałeś? - Maliniak zerwał się z krzesła, był oburzony. - Ja mam jechać z tymi... tymi bandytami? Ani mi się śni.

- Pojedziesz. I tamci pojedą. Bo muszą. W wozie musi być, prócz kierowcy, konwojent, inaczej gliny się zaraz przyczepią, coś im się wyda podejrzone.

- To znajdź, psiakrew, trzech innych konwojentów!

- Kogo? Bandytów?

Nastąpiła chwila ciszy. Inżynier nerwowo zapalił papierosa, Bryja patrzył na niego z drwiącym uśmiechem. Lubił zdenerwować tego zimnego, zazwyczaj bardzo opanowanego człowieka; sprawiało mu to satysfakcję.

- Wacek, czy ty naprawdę nie rozumiesz, że uczciwy konwojent na taką rzecz nie pójdzie? - odezwał się, spoglądając przez okienko na podwórze, gdzie krzątali się monterzy. - Mogę ci przyprowadzić tylko innych recydywistów. Gdzie wtedy gwarancja, że cała szóstka nam nie zwieje z towarem?

- Mnie na taki wyjazd nie zwolnią z zajęć.

- W nocy pracujesz czy co, u licha? A na wyjazd do Katowic czy Gdańska, to się zwolnisz sam. Zachorujesz, żenisz się, dziecko ci się urodziło, dziadek umarł. Ja cię będę uczyć?

- To kiepski pomysł, z tymi barakami w lesie. Kto będzie pilnował towaru? Twoi bandyci?

- Nie, my. To będzie jedna noc, może dwie. Wypadnie w sobotę i niedzielę. Nie myśl, że moi kierowcy będą wiedzieć, co za towar wożą. Powiedziałem im, że to opakowania, wata, proszki do prania, szampon i takie tam. Dostaną po pięć patyków na głowę.

- Uchleją się i wszystko wygadają w knajpie.

- Możliwe. Jeżeli masz lepszy pomysł, jak zamelinować dwa wagony, to mów. Ja nie mam. Oczywiście, można zrezygnować w ogóle z przesyłki. Chcesz puścić dziesięć ciężarówek nocą w Polskę, znasz odpowiednich kierowców i konwojentów, to załatw to sam. Ale wtedy ja umyвам ręce.

Maliniak milczał.

*

Było kilka minut po pierwszej. Wieczorem wypogodziło się, wiatr osuszył mokre liście i trawy, ciepła majowa noc zachęcała do najróżniejszych wybryków. Mimo czystego nieba, panowała ciemność; księżyc był na nowiu.

- Doskonale - powiedział do siebie Andrzej Bryja, rozglądając się uważnie dokoła. Cztery wielkie, kilkutonowe ciężarówki stały nieruchomo jak słonie na podwórzu przed warsztatem. Brezentowe budy

szczelnie osłaniały boki i tył wozów. Trzej kierowcy, ubrani jednakowo – w skórzane kurtki i granatowe spodnie – palili papierosy pogadując z cicha. Światła samochodów były wygaszone, poruszano się dokoła nich w zupełnej ciemności, czasami tylko pomagając sobie przyćmioną latarką.

Bryja obszedł każdy wóz, oglądając go jeszcze raz. Kopnął parokrotnie opony, przy jednej zamarudził trochę. Kierowca maszyny oderwał się od towarzyszy i podszedł kołyszącym się krokiem z rękami w kieszeniach.

- Co jest, szefie? – spytał łagodnie. Miał długą, źle zagojoną szramę wzdłuż lewego policzka, która rwała go przed deszczem; wtedy był w złym humorze.

- Mówiłem, żebyś dodał powietrza – mruknął Bryja z naganą w głosie. – Mierzyłeś?

- No. Dochodziło do sześciu.

- Kłamiesz.

- Ja, szefie? – zagruchał niemal kierowca, pochylając ku niemu twarz. Bryja odsunął się ostrożnie. Ci ludzie nie znali się na żartach, a ruchy ich były niekiedy zbyt szybkie.

- W porządku, Olek. Kończcie palenie, zaraz jedziemy – dodał głośniejszym głosem, aby być słyszany przez

resztę. – Jeżeli ktoś czegoś nie wie, niech zapyta. Potem nie będzie już czasu.

Maleńki czarnowłosy kierowca z twarzą jakby spuchniętą i bladą, odezwał się tłumiąc śmiech:

– Nie wiem, szefie, kiedy znów pójdę do kibla, ale bardzo chciałbym to wiedzieć! Wszystkie dziwki z Annopola szlak beze mnie trafi.

Wybuchnęli długim, aroganckim śmiechem. W ciemności czuli się swobodnie, nie krępował ich ostry, chłodny wzrok Bryi. Wiedzieli zresztą, że ich potrzebuje.

– No, dobra, chłopaki – powiedział najstarszy, przysadzisty Józek. Nie należało przeciągać struny. – Wszystko w porządku, szefie. Wiemy, co i jak trzeba robić. A konwojenci? – spytał nagle, rozglądając się dokoła.

Prawie w tej samej chwili tuż koło nich wynurzyły się z mroku trzy postacie. Byli to „konwojenci”. Oziębło, niechętny i wystraszony, trzymał się trochę z tyłu i Maliniak kilkakrotnie musiał chwycić go za rękę, aby nie uciekł. Zdanowicz, jak zwykle elegancki, ubrany w granatowy kombinezon, zapinany od góry do dołu na błyskawiczny zamek, przyświecał sobie amerykańską latarką z błękitnym szkłem.

Przywitali się i Bryja, pamiętając o przyrzeczeniu, które swego czasu dał kierowcom, pokazał tylko na nich ruchem ręki, nie wymieniając żadnych nazwisk. Zdanowicz skinął im głową z półuśmiechem, Oziembło cofnął się o pół kroku, czym wywołał czyjś stłumiony chichot. Maliniak podał każdemu z kierowców rękę, nie przedstawiając się.

- Panowie - powiedział, z miejsca przejmując inicjatywę - mamy niedużo czasu. Nie traćmy go na zbędne ceremonie. Andrzej, siadamy?

- Tak - odparł Bryja i lekkim ruchem popchnął magazyniera w kierunku swego wozu. - Pan jedzie ze mną - wyjaśnił. Oziembło odetchnął z ulgą i wpakował się na przednie siedzenie, uderzając głową o szybę. Andrzej zaklął, po czym zwrócił się do inżyniera: - Pojadę pierwszy, ty za mną w wozie Olka, tego z blizną na twarzy, a Zdanowicz z Józkiem. Czarny, ten mały, na razie jedzie sam. Z powrotem siądziemy inaczej, teraz wolę jego - pokazał ruchem głowy na Oziembłę - mieć przy sobie. Widać, że w portki robi ze strachu.

Maliniak przytaknął, poszukał wzrokiem kierowcy z blizną; Zdanowicz już odszedł do trzeciego wozu. Trzasnęły kilkakrotnie drzwiczki, jeden po drugim zagrały motory. Na małych światłach, ostrożnie, aby

nie zawadzić o coś w ciasnym podwórzu, wyjeżdżali na ulicę.

Posuwali się wpierw dosyć wolno, zanim odstępy między ciężarówkami nie wyregulowały się, potem Bryja dodał gazu. W dobrym tempie przelecieli pustymi o tej godzinie ulicami, z rzadka tylko mijając jakiś nocny tramwaj czy spóźnionego przechodnia.

Wagony stały na bocznicach. Zobaczyli je z daleka, ale zanim się zbliżyli, Bryja zwolnił w umówionym miejscu, rozglądając się uważnie. Wtedy dojrzał mały, jasnozielony samochód, wyjeżdżający powoli z bocznej uliczki. Zahamował, a za nim zrobili to inni.

- Leć pan! - trącił w bok Oziembłę, który trwał wciąż w milczącym lęku. - Dowiedz się, czy wszystko w porządku.

Magazynier nie bez trudu wygramolił się z ciężarówki i podszedł do zielonego samochodu. Siedzący za kierownicą mężczyzna w niebieskich okularach wychylił się i kiwnął głową uspokajająco. Potem zawrócił wóz w kierunku, w jakim jechała kolumna.

- Mówił co? - spytał Bryja, uważając, aby nie stracić z oczu zielonego fiata.

- Nie. On przecież w ogóle mało mówi. Ma coś z tym gardłem.

Przy wagonach nie było wartowników. Stały samotne, jakby zapomniane przez ludzi i cały świat. Bocznicą ciągnęła się dość daleko od głównych torów, koniec jej ginął w mroku, pod murami fabryki „C-4”. Miejsce, w którym znajdowały się wagony z przesyłką, było prawie ciemne, gdyż światło najbliższej latarni dochodziło tu bardzo skąpe już i rozproszone.

- Nie rozumiem - mruknął Oziembło, na wpół do siebie. - Dlaczego fabryka, mając własną bocznicę, nie odstawiła wagonów od razu na swój teren!

- Nie wiesz pan, jak to bywa? - zadrwił Bryja, wolno skręcając za zielonym samochodem. - Lokomotywy zabrakło, maszynista nie przyszedł na zmianę, w fabryce kogoś nie uprzedzono... Wagony nie stoją przecież w lesie, kto je tam zabierze. Albo opróżni. Tylko tacy, jak my - zaśmiał się, hamując. Wyłączył motor, wyskoczył z wozu i podszedł do fiata. - Zaczynamy, doktorze?

- Od razu - odparł doktor Hacen, podając mu niewielką walizeczkę z kompletem narzędzi. - O ile wiem, plomby są, a w każdym razie powinny być, na drutach. Odetnie pan drut, tak jak mówiłem, tuż przy samym brzegu plomby. Potem, już po wszystkim,

włożył pan ten odcięty kawałek drutu do otworu w plombie i zaciśnie. Kleszcze są w walizce.

- Magazynierzy nie poznają? - zdziwił się Bryja. Odwrócił się, Oziembło stał tuż za nim. - Pan by oczywiście nic nie zauważył, w tej swojej spółdzielni...

- Nie ma pan racji - rzekł doktor Hacen pobłażliwym tonem. - Nawet spostrzegawczy magazynier, zrywając plombę, mógłby nie zauważyć, że drut przerwie się właśnie tam, gdzie był przecięty. Można to potem zbadać, ale metodą mechanoskopijną.

- Co będzie jutro, to już nie nasza sprawa - mruknął Maliniak. - Do roboty, panowie.

Nie zauważyli, jak w pewnym momencie mały zielony fiat odjechał. Przenosili śpiesznie skrzynki z zagranicznymi napisami, potykali się w ciemności, klęli cicho i sapali z wysiłku. Nagle Oziembło spojrzał w kierunku drogi i zmartwiał. Dwóch ludzi, chyba w mundurach, szło w ich kierunku. Chwycił za rękę przechodzącego z dużą skrzynką Maliniaka i pokazał na idących. Ten przystanął, przypatrywał się chwilę zmrużonymi oczami, a potem rzekł:

- To SOK-iści.

- Co to jest? Jacy sokiści?! - zdenerwował się Oziembło. Nie wiadomo dlaczego, pomieszało mu się to z kontrwywiadem.

- Służba Ochrony Kolei. Cicho!...

Patrol był tuż przy nich. Ale magazynier zobaczył ze zdziwieniem, że nikt nie przerywa wyładunku i spokojnie, prawie nie podnosząc głowy, wszyscy pracują niczym tragarze w jasny dzień na dworcu.

Jeden ze strażników zasalutował, po czym zwrócił się do stojącego najbliżej Maliniaka:

- Co to za robota?

- Ano, jak pan widzi - odparł inżynier niedbale. - Podpędzili nam plan, to i w nocy trzeba robić. Zastrane wagony przysłali o takiej godzinie, o której uczciwy człowiek dawno w betach odpoczywa. Cholerny świat!

Wyjął papierosa, podsunął strażnikom. Mimo woli przyjęli i zapalili. Ten pierwszy rzekł, przyglądając się napisom na wagonach:

- To dla fabryki „C-4”?

- A tak. Dla kogóż by...

- Dokumenty pan ma?

- Jasne. Jakże bez dokumentów! Proszę - podał SOK-iście plik papierów i legitymację. Obaj strażnicy

pochylili się nad nimi, obejrzelili pieczętki i podpisy, potem starszy oddał inżynierowi dokumenty i powiedział z uśmiechem:

- To was zapędzili do nocnej harówki, co? A zapłacą chociaż nadliczbówki?

- Cholera ich wie! - Maliniak splunął w trawę, gestem tym wyrażając wątpliwość. - No, chłopaki! - krzyknął. - Ruszać się, ruszać! Pospać dziś też trochę trzeba, a czas mija.

Strażnicy zaszalutowali i po chwili znikli w mroku. Nikt nie powiedział ani słowa, nie wiadomo było, jak daleko odeszli i czy jeszcze nie wrócą. Ładowali więc w zupełnym milczeniu, tylko Bryja pogwizdywał coś z wielką uciechą.

Tak, jeżeli mecenas Raczek bierze się za jakąś robotę, dokumenty są murowane. Żaden strażnik nie rozpozna fałszywej pieczętki, szkoda gadać. Ma mecenas łeb!

Rozdział 2

Okolo południa wzmagal się napływ interesantów i urzędnicy Centrali Handlowej nie mieli wówczas czasu nie tylko na plotki, ale nawet na szklanke herbaty. Kierownicy działów zaopatrzenia wszystkich niemal fabryk warszawskich przychodzili, nie wiadomo dlaczego, właśnie o tej porze. W nieco mniejszej ilości, ale za to w ważniejszych sprawach, zjawiali się dyrektorzy, których o wiele trudniej było zbyć jakąś nieokreśloną obietnicą.

Pracownicy Centrali dzielili się na dwie kategorie. Takich, którym ruch i robota sprawiały nietajoną satysfakcję, prawie można by powiedzieć: radość – i takich, którzy interesantów uważali za dopust boży, coś jak stołówkowy obiad albo skleroza.

Pokój numer osiemnaście, jeden z kilku pokojów działu zamówień elektrotechnicznych, mieścił w sobie obie kategorie, koegzystujące zgodnie. Połączeni wspólną niechęcią do resortu, który stale obcinał premie, jedni i drudzy – kiedy fala interesantów ginęła wreszcie gdzieś w dziale

transportu - brali się gorliwie do spóźnionego śniadania i do plotek.

- Państwo słyszeliście już o tej niesłychanej kradzieży? - spytał korpulentny, o okrągłej, rumianej twarzy magister ekonomii Zajączek. Żuł właśnie graham z twarogiem, dlatego nie wszyscy zrozumieli, o co chodzi. Przełknął więc i powtórzył.

- Gdzie? Jakiej kradzieży? Skąd pan wie? - posypały się pytania. Tęgi, siwowłosy Biernacki, również magister, tylko nikt nie wiedział czego, zaniepokoił się nagle:

- Czy to u nas, ta kradzież?

- Nie, skądże - odparł uspokajająco Zajączek, rad z wrażenia, jakie wywołał. Zrezygnował z drugiej połowy grahama, odsunął szklanekę z herbatą i rzekł: - Kilka dni temu ukradli całą przesyłkę zagraniczną przeznaczoną dla fabryki „C-4”. Dwa wagony, panowie! Pełne dwa wagony chemikalii.

- Wagony ukradli? - spytał ze zdumieniem szczupły, łysawy referent Białkowski. Ciemne oczy, tak małe, że ledwie widoczne między rzęsami, utkwił w mówiącym, jakby nie mógł pojąć tego, co słyszy.

- Ojej, nie wagony! - zniecierpliwił się Zajączek. - Wypatroszyli je do ostatniej skrzynki, tylko trochę

śmieci zostało. Wynieśli wszystko i gdzieś zabrali. W nocy.

- Słuchajcie, koledzy, ależ dwa wagony, to kilkadziesiąt ton! - wykrzyknęła jedyna w tym pokoju kobieta, miła, czarnowłosa pani Niemczycka, która od kilku lat nie mogła przekroczyć pięćdziesiątki, wciąż stała na czterdzieści siedem. - Jak oni mogli to zabrać? I nikt nie widział?

- Podobno mieli dokumenty z tejże fabryki „C-4”. Ze wszystkimi pieczętkami, podpisami i tak dalej.

Umilkli, patrząc na siebie w zadumie. To było coś niepojętego: dwa pełne wagony materiałów i surowców!

- A strażnicy? - zapytał Białkowski sięgając po nie dopitą kawę. - Gdzie byli strażnicy z fabryki?

- Nie wiem. Pewnie poszli spać. No, któż by pomyślał, że można okraść zaplombowane wagony, stojące na fabrycznej bocznicy!

- Wiecie, teraz mi się przypomina, że „C-4” zamawiała u nas te chemikalia. To już było dawno, chyba z pół roku temu... Gdzieś pod koniec zeszłego roku. Pamiętacie? Przychodził tutaj ich dyrektor techniczny, taki wysoki, czarny. Jakiś inżynier; zdaje się, za granicą kończył studia.

- Ach, tak! - zawołał Białkowski. - Pamiętam. Okropnie im zależało na szybkiej dostawie, byli pod planem, a to miało być na eksport.

- Ja też coś sobie przypominam - dodała pani Niemczycka. - Taki przystojny brunet. We Francji studiował. Podobno bardzo zdolny.

- Co to można wiedzieć o człowieku - zauważył sceptycznie Zajączek. - Różnie bywało już z tymi zagranicznymi. Ja nic nie mówię, ale...

Urwał, bo do pokoju wszedł kierownik działu.

- Panie Ignacy - zwrócił się do Białkowskiego, który spojrzał na niego z oddaniem, jak wierny żołnierz patrzy na swego dowódcę. - Co pan teraz robi? - I nie czekając na odpowiedź, rzekł stanowczo:

- Zajmie się pan Zakładami Przyrządów Pomiarowych.

- Tymi ze Służewca?

- Tak. Złożyli zamówienie na materiały i surowce. Tylko, wie pan, trzeba to zrobić szybko. Oni są zakładem eksperymentującym i mają pierwszeństwo.

- Zrobię tak szybko, jak tylko będę mógł - zapewnił Białkowski, pochylając lekko swoją łysiejącą głowę. Ciemne, gładko przyczesane resztki włosów układały mu się z boku w dekoracyjny wianuszek.

Kierownik rozdał jeszcze dwa inne zamówienia, czym zdenerwował trochę Zajączka i ucieszył panią Niemczycką, gdyż pierwszy z zasady nie lubił pracować, a druga chciała być wciąż użyteczną. Kompresje etatów najprędzej mogły dotknąć pracowników starszych i mało potrzebnych.

Kiedy kierownik wyszedł, urzędnicy wrócili do herbaty i do okradzionych wagonów. Jeszcze przez dobry kwadrans wałkowali na wszystkie strony ten niecodzienny fakt, komentując każdy na swój sposób. Wreszcie Biernacki powiedział w zamyśleniu:

- Wiecie, gdyby się okazało, że to zrobił ktoś od nich, mam na myśli: ktoś z „C-4”, toby dopiero była heca... Oczywiście, musiałyby być w zмовie ze strażnikami, kierowcami i tak dalej. Ale teoretycznie taka rzecz jest możliwa.

- Praktycznie też - mruknął Zajączek. I, pragnąc jak najpóźniej zabrać się do roboty, mówił jeszcze długo na ten temat, aż znudzeni przestali go słuchać. Niemczycka zagłębiła się w papierach, Biernacki wyszedł, a referent Białkowski, mrużąc swoje maleńkie oczy, gorliwie wypisywał zamówienia dla Zakładów Przyrządów Pomiarowych na Służewcu.

*

- ...Ale, Wysoki Sądzie Wojewódzki, oskarżony Bednarczyk znalazł owe kosztowności w ścianie zajmowanego przez siebie mieszkania. Znalazł - nie zaś: ukradł je komuś podstępnie. To ogromna różnica. Oskarżony Bednarczyk, jak nam tu już sam powiedział, wbijał w ścianę łazienki gwóźdź do zawieszenia półki, a wówczas - ku swemu zdumieniu i osłupieniu - dojrzał pod osuwającym się kawałem muru małą skrzyneczką metalową, starannie tam widać przez kogoś ukrytą. W skrzyneczce tej były cenne kosztowności, Wysoki Sądzie Wojewódzki! Nawet na osobie bardzo zamożnej, przyzwyczajonej do widoku złota i diamentów, tak wielka ilość wspaniałej biżuterii wyrzucić musi wstrząsające wrażenie. A co dopiero na oskarżonym Bednarczyku, który w całym swoim życiu nie zetknął się ani razu z drogimi kamieniami czy złotą bransoletą...

Dziennikarze na ławie prasowej tręcili się i uśmiechali niedowierzająco. Oskarżony Bednarczyk bynajmniej nie wyglądał na człowieka, którego dotychczas omijały cenne kosztowności. Sprawozdawca z „Kuriera Polskiego” napisał w notesie: „Raczka znowu ponosi”, i podsunął kartkę reporterce z „Życia Warszawy”. Przytaknęła z uśmiechem.

- Dlatego, Wysoki Sądzie Wojewódzki, nie mogę się zgodzić z kwalifikacją prawną aktu oskarżenia, a mianowicie z artykułem dwieście sześćdziesiąt dwa paragraf pierwszy Kodeksu Karnego, wnoszę natomiast o zastosowanie w tym przypadku paragrafu trzeciego, który pozwolę sobie Wysokiemu Sądowi...

- Sąd ma w ręku Kodeks Karny, panie mecenasie - powiedział przewodniczący zespołu. W głosie jego było starannie ukrywane znudzenie. - Paragraf trzeci... Kto przywłaszcza sobie mienie znalezione i tak dalej.

- Naturalnie, Wysoki Sądzie, przekwalifikowanie byłoby możliwe tylko wtedy - wtrącił prokurator - jeżeli oskarżony rzeczywiście znalazł kosztowności, w co osobiście wątpię...

W trzy godziny później adwokat Józef Raczek z uśmiechem całkowitego zadowolenia przyjmował gratulacje od rodziny oskarżonego Bednarczyka, który z paragrafu trzeciego artykułu dwieście sześćdziesiąt dwa otrzymał karę sześciu miesięcy aresztu.

Późnym wieczorem, w gabinecie mecenasa na biurku paliła się lampa, przysłonięta zielonym abażurem, oświetlając stos papierów, akt sądowych,

książek i notatek. Filiżanka z mocną herbatą stała obok otwartego podręcznika toksykologii. Raczek pracował. Czekala go za parę dni dwudniowa rozprawa, w której bronił oskarżonego już nie o znalezione czy skradzione kosztowności, lecz o morderstwo.

Światło lampy padało na jego tęgi kark, na gęste blond włosy i mocno sklepione, wypukłe czoło. Chwilami mrużył oczy, odrywając je od papierów, i utkwivszy wzrok gdzieś w suficie, zastanawiał się nad następną próbą zaszachowania oskarżyciela publicznego. Telefon zadzwonił, ale Raczek sięgnął ręką do kontaktu i wyłączył aparat. W czasie pracy nie znosił żadnych rozmów ani wizyt.

Toteż kiedy u drzwi rozległ się dzwonek, syknął tylko niecierpliwie, nie ruszając się z miejsca. Ale dzwonek nie dało się wyłączyć, tak jak telefonu. W każdym razie, trzeba było w tym celu wstać, a to już oznaczało niepożądaną przerwę w robocie.

Po którymś z rzędu niecierpliwym sygnale u drzwi adwokat niechętnie podniósł się z fotela. Postanowił odprawić gościa, kimkolwiek on będzie. Zapalił światło w przedpokoju i z niecierpliwym wyrazem twarzy ostro, szeroko otworzył drzwi. W tej samej chwili jednak wyraz ten uległ raptownej zmianie. Na

progu stał siwowłosy, szczupły mężczyzna w błękitnych okularach. Nie czekając na zaproszenie, minął po prostu gospodarza i, lekko utykając, sam poszedł naprzód. Mecenasowi nie pozostało nic innego, jak tylko zamknąć starannie drzwi i pójść za nim.

- Nie spodziewałem się pana o tej godzinie, doktorze Hacen - powiedział, nie kryjąc rozdrażnienia. - Wie pan chyba, że za dwa dni mam rozprawę.

Rzucił się na fotel, machinalnie podsunął gościowi paczkę carmenów i zapalki. Ale siwowłosy mężczyzna nie przyjął poczęstunku. Nie zwrócił też uwagi na słowa, którymi go przywitano. Siedział po drugiej stronie biurka, twarz miał ukrytą w cieniu, widać było tylko głębokie bruzdy na policzkach.

- Jak się skończyła sprawa Bednarczyka? - spytał prawie szeptem.

Raczek mimo woli uśmiechnął się. Rysy jego złagodniały, w oczach miał rozbawienie.

- Zastosowano jednak paragraf trzeci - odparł zapalając papierosa. - Zamiast paru lat, posiedzi za ledwie sześć miesięcy.

- To dobrze. Sześć miesięcy... można wytrzymać. To nasz najlepszy paser.

- Tak. Toteż robiłem, co mogłem - roześmiał się hałaśliwie. - A swoją drogą, ma nauczkę. Niech na drugi raz nie przyjmuje towaru od obcych. Dajemy mu zarobić wystarczająco dużo.

- Oczywiście. Jak wyjdzie, trzeba będzie przez pewien czas pozostawić go w spokoju. Może zechcą go obserwować, śledzić kontakty... Dobrze, że większość tych chemikalii mamy już załatwioną. Zresztą, właśnie w tej sprawie przyszedłem.

- Tak? - W głosie adwokata była ledwo wyczuwalna nuta ironii.

- Przyjęliśmy zasadę równego podziału dla wszystkich. Pan o tym zapomniał?

Raczek wzruszył ramionami. Przez chwilę obserwowali się w milczeniu, potem doktor Hacen odezwał się jeszcze ciszej:

- Uważa pan, że wyrabianie dokumentów to robota specjalnie płatna? Jeżeli tak, to chciałbym wyjaśnić, że zorganizowanie kolumny samochodowej, rozładunek, przewóz do kilku miast, łącznie z ryzykiem sprzedaży, to były sprawy niewspółmiernie trudniejsze i bardziej ryzykowne. Tym samym, zasługiwałyby na większą sumę niż ta, którą myśmy wzięli. A jednak to pan, mecenasie, zagarnął dla siebie zbyt wiele.

Adwokat otoczył się smugą szarego dymu i milczał. W całej jego postaci, w sposobie, w jaki spoglądał od czasu do czasu na siedzącego naprzeciw mężczyznę, była pewność siebie i zupełny spokój.

Ale taki sam absolutny spokój i taka sama pewność siebie przebijała z zachowania doktora Hacena. Za błękitnym szkłem okularów nie można było dostrzec wyrazu jego oczu, natomiast rysy twarzy robiły wrażenie, jakby je kto wykuł z kamienia.

Kiedy milczenie przedłużało się, Raczek zgasił starannie papierosa i rzekł, na wpół do siebie:

- Ilu paserów ja już wybronilem w ostatnich latach...

- Za darmo?

- Ba! - Zrobił nieokreślony ruch ręką. - To oni płacili, ich rodziny, nie nasza grupa. A więc, jeżeli chodzi o nas, to za darmo. Bryja też naprawia samochody zupełnie obcym ludziom, a tamci trzej pomnażają majątek naszego państwa. Chyba że ich fabryka akurat nie wykonuje planu, ale to już inna sprawa. Pan też... - urwał.

- Co ja? Nie wykonuję planu?

- Miałem na myśli, że pan też pomnaża dochód państwowy. W godzinach biurowych, oczywiście.

- Czyżby?

To jedno słowo, wypowiedziane cichym głosem zabrzmiało jak ostrzeżenie. Raczek poczuł gdzieś koło karku nieprzyjemne uczucie zimna, jakby chłodny wiatr powiał od strony okna. Mimo to, postanowił nagle zaryzykować. Dawno zresztą chciał to zrobić. Rozparł się wygodnie, przerzucił nogę na nogę i powiedział z uśmiechem:

- Gdzie pan właściwie pracuje, doktorze? Tak długo już się znamy, że powinienem chyba o tym wiedzieć. Chciałbym jednak od pana o tym usłyszeć, nie od innych. Ma pan przecież do mnie zaufanie, prawda?

Hacen nie odpowiedział. Nie drgnął nawet. Można było pomyśleć, że raptem zasnął na siedząco.

- Pan śpi? - spytał adwokat ze zdziwieniem.

- Nie. Zastanawiam się nad tym, co pan powiedział. Może to słuszne, że powinienem mieć do pana zaufanie. Cóż, kiedy ja nie mam nic do ukrywania, mecenasie. Nie pracuję w biurze. Mam rentę inwalidzką z powodu przestrelonej nogi, pozostałość z wojny. Przechodziłem też, jak pan wie, operację gardła... podobno to był nowotwór. Mówiąc

szczerze - rak. Byłoby mi trudno, a nawet niemożliwe, rozmawiać dłużej i głośniejsz z klientami, brać udział w naradach, jeździć w teren. Jestem już na to za stary... No, ale pan rzeczywiście powinien teraz mieć czas na przygotowanie się do rozprawy, a ja panu go zajmuję.

Dźwignął się z fotela, kilkoma wprawnyimi ruchami rozmasował zdrętwiałą nogę, syknąwszy przy tym z bólu. Raczek podniósł się również, nieco skonsternowany, że oto prawda wygląda tak zwyczajnie i wystarczyło tylko po prostu zapytać, aby ją usłyszeć.

- Mówił pan, że to proces o morderstwo? - rzekł Hacen, spoglądając na teczki z aktami sądowymi. - Ciekawa sprawa?

- Tak. Niełatwa. Otrucie cyjankiem potasu. W ostatnich latach było w Warszawie kilka takich zabójstw. Między innymi, dotąd nie wykryta, sprawa Maleckiego, naszego partnera i kolegi.

- Pamiętam. - Hacen ściągnął brwi i twarz pofałdowała mu się jeszcze silniej. - Dałbym dużo, żebyśmy go mieli między nami. To był cenny partner.

- Zdawało mi się, że nie cieszył się pańską sympatią - zauważył mecenas odprowadzając gościa

do drzwi. - Ale, oczywiście, w interesach sympatia nie jest konieczna.

Kiedy zasunął już za Hacenem zasuwę, nagle coś mu przyszło na myśl. Szybkim, cichym krokiem podbiegł do okna w pokoju, które wychodziło na ulicę. Z drugiego piętra, w dodatku kulejąc, doktor na pewno nie zdążył jeszcze zejść; ciekawe, czy wsiądzie do któregoś ze stojących w pobliżu samochodów.

Raczek od dawna podejrzewał, że oprócz zielonego fiata doktor ma drugi, nowocześniejszy i lepszy samochód. Coś przecież musiał mieć, na coś musiał wydawać pieniądze! Nie mógł zrozumieć, co ten stary - może zresztą nie tyle stary, ile schorowany, kulejący człowiek robi z tak dużymi sumami, jakie przypadają mu w udziale po każdej kradzieży. Hacen nie grał w pokera, nie widywano go w drogich nocnych lokalach ani na wyścigach konnych. Nie miał domku jednorodzinnego, chyba że dom ten był zapisany na kogoś z jego rodziny, noszącego inne nazwisko.

Na co można u nas wydać dużo pieniędzy? - zastanawiał się nieraz adwokat i odpowiadał sam sobie: willa, samochód, złoto, gra w karty, obca waluta... Ale wiedział - miał tam dość bliskie

kontakty - że doktor Hacen nie skupuje funtów ani dolarów. Może więc gromadził jakieś antyki z „Desy”, obrazy, starą biżuterię. Te rzeczy kosztują sporo.

Raczek zaciekawiał się przelotnie, jak też Hacen załatwił nabycie i zarejestrowanie swego fiata, mając do dyspozycji - oficjalnie - tylko skromną rentę inwalidzką. Pomyślał, że trzeba to będzie zbadać. Na wszelki wypadek.

Uchylił ostrożnie jedną połowę okna i spojrział w dół. Doktor wyszedł z bramy na chodnik, zatrzymał się na chwilę, a potem przywołał ręką przejeżdżającą powoli taksówkę. Kiedy zatrzymała się, wsiadł do niej niezdarnie, ciągnąc nogę za sobą. Trzasnęły drzwiczki. Raczek z pewnym rozczarowaniem wrócił za biurko.

Nie lubił tego człowieka. Przyznawał lojalnie, że Hacen oddaje im ogromne usługi, wiedząc zawsze nieomylnie, gdzie i na co należy zrobić następny „skok”, a także, komu potem sprzedać. Ale czuł przez skórę, że ten niepozorny człowiek o twarzy gęsto pooranej bruzdami wywiera na nich wszystkich jakiś trudny do określenia wpływ. Że trzyma ich w ręku jak kukielki na nitce i pociąga tę nitkę tak jak chce. Wystarczyło czasem kilka zdań wypowiedzianych cichym, zachrypłym głosem albo

wyszeptanych wąskimi wargami, wystarczyło, aby zwrócił na któregoś z nich swoje niebieskie, błyszczące okulary, pod którymi nigdy nie widać było oczu – zaczynali wycofywać się z dyskusji, milkli, przytakiwali mu bez oporu.

A przecież nie były to wyrostki, które łatwo okiełznać i prowadzić na pasku, jeżeli tylko ma się do tego choć trochę umiejętności. Nie. Wszyscy – cała piątka – byli to ludzie dojrzały, doświadczeni, sprytni, którzy z niejednego pieca chleb już jedli. Dobrowolnie więc, jakkolwiek żaden nigdy by się do tego nie przyznał, zrobili go swoim przywódcą. Swoim szefem.

Dlaczego tak się stało? Wiele razy Raczek usiłował odpowiedzieć sobie na to pytanie i nie potrafił. Więc najpierw obserwował tamtych długo i chytrze, próbując wyciągnąć jakieś wnioski, ale nic z tego nie wyszło. Potem postanowił, że mu tę władzę i to szefostwo odbierze. Jak, kiedy – nie miał pojęcia. Doszedł jednak już do tego stanu, że zrozumiał, iż dla nich dwóch nie ma tutaj miejsca. Dobrze wiedział, że Hacen z własnej woli nie ustąpi mu swego.

Szukał więc ciągle, uporczywie, z wrodzoną sobie pedanterią i systematycznością, jakichś dowodów przeciwko niemu. Dowodów, które mógłby potem

rzucić mu w twarz na jednym ze spotkań całej szóstki.

Takim dowodem nie mógł być oczywiście drugi, a nawet trzeci samochód, choć sprytny adwokat potrafiłby i to obrócić przeciw Hacenowi. Ot, chociażby zarzut, że posiadając dwa wozy ściąga na siebie niepotrzebnie uwagę władz finansowych i milicji. Albo odpowiednio spreparowane podejrzenie, że zabiera sobie więcej niż mu się należy.

Usiadł w fotelu, pochylił głowę nad aktami. Po chwili jednak odsunął teczkę. Zorientował się, że myśl jego zaczęła już pracować nad czymś zupełnie innym.

O północy, kładąc się spać, uśmiechnął się nagle z zadowoleniem. Tak, gdyby to się dało przeprowadzić, sukces byłby całkowity. Sprawa jest wprawdzie tak cienka i ryzykowna, że będzie przypominać snucie pajęczyny przez pająka. Ale w końcu pająk swoją muchę złapie.

Następnego dnia rano nie miał jednak czasu na delektowanie się tym pomysłem. Rozprawa miała się rozpocząć o dziewiątej, a sędzia Zańczyk był niezwykle punktualny; prócz tego Raczek wiedział, że sędzia go nie lubi. Uczucie to było zresztą wzajemne.

Wychodząc z mieszkania, myślał więc już tylko o swoim kliencie, oskarżonym z artykułu dwieście dwadzieścia pięć, któremu groził „krawat”. Na schodach zderzył się z wchodzącym na górę, usmarowanym na twarzy mężczyzną w brudnym kombinezonie.

- Panie! - wybuchnął z gniewem: na rękawie marynarki została ciemna smuga. - Mógłby pan uważać, do jasnej cholery!

Mężczyzna niósł ceratową zniszczoną teczkę, z której wystawały narzędzia hydrauliczne. Odsunął się na bok i popatrzał z zakłopotaniem na ubrudzoną marynarkę.

- Przepraszam - powiedział - ale pan tak szybko schodził... nie zdążyłem się odsunąć. To się zmyje ciepłą wodą z mydłem. Czy to u pana cieknie z kranu w łazience?

- Ciekło - mruknął mecenas poirytowany. - Ale już przestało. Po miesiącu pan przychodzi i się dziwi. Dawno naprawione.

Zbiegł ze schodów mrużąc jeszcze coś pod nosem.

Hydraulik przesunął uważnym spojrzeniem po ścianie, odnalazł kabel telefoniczny biegnący z

mieszkania mecenasa Raczka, zawrócił i po chwili znikł w korytarzu piwnicznym.

W jakiś czas potem wyłonił się z powrotem, zmęczony i jeszcze bardziej ubrudzony. Dozorca, który bez entuzjazmu zabierał się do mycia schodów, na jego widok odezwał się życzliwie:

- A nie zapomniał pan otworzyć głównego kranu? Bo zaraz tu się baby zlecą, że wody nie ma.

- Otworzyłem - rzekł hydraulik oddając mu klucze. Wypalili papierosa, pogadali chwilę o tym i owym, przy czym dozorca skarżył się na lokatorów, a hydraulik na swoją żonę. Ulżywszy sercu, obaj rozstali się niemal w przyjaźni.

*

- Posegregowałem ich, kapitanie, grupami. Tak jak się najczęściej razem trzymają i grają. Jedna grupa, to kilku facetów ze środowiska twórczo-aktorskiego. Jest tam taki starszy aktor, widziałem go parę razy na scenie, dobry komik z niego. Jest jeden plastyk, co go wyrzucili ze Związku za jakieś sprawy i teraz zarabia, gdzie może i jak może. Jest poeta, taki z tych nowoczesnych, co to można czytać od początku do końca albo odwrotnie i na jedno wychodzi... No i

takich dwóch ni to, ni owo, jeden grafik, zdaje się. To całe towarzystwo nie gra wysoko.

- A inni? Jaka jest druga grupa?

- Potem sobie wyodrębniłem drugą, wyraźnie razem się trzymającą grupę. Czterech, rzadko kiedy pięciu. Tych znam trochę lepiej, bo udało mi się dosłyszeć niektóre nazwiska, więc potem sobie poszukałem, gdzie trzeba. Pan mecenas Raczek... kapitan się dziwi? Ja też się zdziwiłem. Widać zarobki adwokackie nie najlepsze, jeżeli trzeba sobie dorobić w karty. Drugi to inżynier z Zakładów Niskiego Napięcia. Maliniak się nazywa. Podobno świetny fachowiec, ma całe mnóstwo nagród, jeździł za granicę. Samochód, mieszkanie spółdzielcze, żona i córka czternastoletnia.

- Znam dobrze dyrektora tych Zakładów, mogę się o Maliniaku dowiedzieć trochę więcej szczegółów.

- Kapitanie, tylko niech pan ostrożnie... Ja przepraszam, ale taki dyrektor może faceta spłoszyć.

- Nie obawiajcie się. Wiem, jak pytać. No, a reszta grupy?

- Jest tam jeszcze taki przystojniaczek, ma na imię Andrzej, nazwiska na razie nie znam. Nawet pogadaliśmy sobie kiedyś, bo podwiózł mnie samochodem, kiedy wychodziliśmy razem po grze.

Żadna to była rozmowa, ot takie ple-ple, myślę jednak, że gość jest miękki z natury i babiarz. Zdążył mi opowiedzieć, jak sobie kiedyś jedną babkę do domu sprowadził, a oboje chodzili już mocno na rzesach, no i ta blondyna... nie, chyba była ruda, w pewnej chwili wskoczyła na parapet, otworzyła okno i zaczęła śpiewać na całą ulicę! Pan sobie wyobraża, kapitanie? Druga czy trzecia w nocy, babka goła, a na dworze dziesięć stopni mrozu. Mówił, że nigdy tak szybko nie wytrzeźwiał, jak wtedy!

- Wyobrażam sobie. Nie mówił nic więcej o sobie?

- Nie. Zna się dobrze na samochodach, tyle wiem. Może mi się uda bliżej z nim zaprzyjaźnić, to coś więcej wyciągnę.

- A czwarty?

- Czwarty to elegancki jegomość tak pod pięćdziesiątkę, Jerzy Zdanowicz. Ten to gra! Ani powieka mu nie drgnie. Szczwany gość, nie rozgryzłem jeszcze, co to za parafia. No i czasami, ale rzadko, siada z nimi ostatni z grupy, na oko oferma nie z tej ziemi, oni go mają za nic i nie wiem, po co z nim grają. Zdaje się, że jest magazynierem, ale to nie najpewniejsza informacja. Czasem siedzi z boku i tylko się przygląda. A kiedyś, kapitanie, to ta

cała piątka poszła gdzieś razem w głąb mieszkania i już ich nie widziałem.

- Czy tam jest drugie wyjście?

- Jest. Tylko nie wiem, po co by wszyscy razem wychodzili kuchennymi schodami. Tam jest raczej taki system, że wychodzą pojedynczo albo po dwóch, i to frontem. Kamienica jest duża, ludzie się kręcą ciągle po schodach, to mniej podpada.

- No, więc może nie wyszli wtedy wszyscy razem, tylko odczekali parę minut. Któryś mógł być w kuchni czy w łazience. Mówiliście, że można tam dostać jedzenie?

- Tak. Podaje gospodarz i jego żona. Kanapki, czasem bigos, rybki z puszki, dobre jedzenie. Alkohol też, ale niedużo. Najczęściej koniak, trochę eksportowej wódki. Tam nigdy nie ma pijatyki, gospodarz bardzo uważa. Zależy mu na spokoju.

- Wcale się nie dziwię, dobrze na tym zarabia. Czy Malecki trzymał się z którąś z tych dwóch grup, nie pamiętacie?

- O ile mnie pamięć nie myli, to z drugą.

- Mówiliście, że ta piątka tylko raz poszła w głąb mieszkania. Częściej się nie zdarzało?

- Wiecie, ja poprzednio tak na nich nie zwracałem uwagi, byłem za „świeży” i musiałem ostro się

trzymać, żeby komuś coś nie podpadło. Możliwe, że oni już przedtem tak wychodzili. Ja co dzień tam nie jestem.

- A kiedy było to ostatnie wyjście?

- Czwartego maja.

- „Czwórka” już na nos upada po okradzeniu wagonów z fabryki „C-4”. Prosilili mnie, żebym się rozejrzył w swoich możliwościach. Zależy im na jakiegokolwiek poszlacie czy najdrobniejszym nawet śladzie. Czy nie sądzicie, że któryś z tych pokerzystów miał z kradzieżą coś wspólnego?

- Ja już myślałem, ale na nic takiego nie natrafiłem.

- Bardzo chciałbym wiedzieć, czy te wasze grupy łączy tylko poker, czy jeszcze coś więcej.

- Jeżeli, to w każdym razie podejrzewałbym tylko drugą grupę. Pierwsza to zbieranina, na żadną fachową robotę by się nie zdobyli. A druga... cholera ich wie. Kradzież była dokładnie w dziesięć dni po tym ich tajemniczym zniknięciu w mieszkaniu. Ale czy to ma ze sobą jakikolwiek związek? Kapitanie, mam się zajmować sprawą zabójstwa Maleckiego. Nie chciałbym rozpraszać uwagi na inne rzeczy.

- Oczywiście. Więc tylko gdybyście tak przy okazji mieli możliwość coś zaobserwować, to mi dajcie znać.

Ja sam się obawiam, że gdyby „czwórka” wzięła tę drugą grupę pod swoją kuratelę, to nam się cała sprawa rozleci. Wykrycie mordercy jest ważniejsze niż kradzież, choćby to nawet było sto milionów. Prokurator wczoraj umorzył sprawę. Powiedział mi, że cztery miesiące roboty i żadnych śladów, to nie będzie sobie tym głowy zawracał.

- A co wyście mu odpowiedzieli?

- Że dla mnie sprawa skończy się wtedy, jak wykryję zabójcę, choćby miało to trwać i cztery lata. Sądzę, że Kania będzie mógł mi pomóc.

- Ten podprokurator, co znalazł zwłoki?

- Tak. Jemu bardzo zależy na wykryciu mordercy. Nawet się pożarli z prowadzącym śledztwo, bo tamten jest przekonany, że to było samobójstwo. A przecież gdyby Malecki chciał tego dnia popełnić samobójstwo, nie umawiałby się z Kanią i jego dziewczyną, że przyjdą do niego o szóstej po południu, bo po co? To był jego kolega szkolny, przyjaźnili się ładnych parę lat, a dziewczyna to jakaś kuzynka Maleckiego. Mieli spotkać się na Bednarskiej, Malecki dostał ekstra-koniak zagraniczny, a potem mieli razem iść na imieniny, nie pamiętam już, do kogo. Kania mówił, że Malecki był człowiekiem rozsądnym, zrównoważonym, raczej o

pogodnym usposobieniu. „Nie uwierzę nigdy – powiedział mi, jeszcze wczoraj – żeby Wacek mógł urządzić to wszystko naumyślnie dla mnie i dla Hanki. To wykluczone. Gdyby chciał się zabić, zrobiłby to z dala od ludzi, tak aby nikt o tym nie wiedział i nieprędko go odnalazł. Znałem go dobrze”. Ale Kania dodał potem, że Malecki od jakiegoś czasu był jakby zmartwiony czy zakłopotany. Nawet odniósł wrażenie, że tamten chce mu o czymś ważnym powiedzieć. Raz zaczął tak dziwnie rozmowę, że różnie z ludźmi bywa w życiu, że można popełnić błąd i potem nie móc się z tego wygrzebać... Kania nie był wtedy w nastroju do zwierzeń i coś mu tam bąknął na odczepne. Wtedy Malecki urwał i już do tego tematu nie powrócił.

- Szkoda. Trzeba było faceta trochę nacisnąć, może byłby żył do dziś dnia. Swoją drogą, zabójca musiał go znać równie długo i dobrze jak Kania... Bo jakże inaczej Malecki wpuściłby go do mieszkania i dał się namówić do picia? Oczywiście, pili we dwóch, tylko potem ten, co został przy życiu, umył swój kieliszek i odstawił na miejsce. Ale przecież obcego faceta nie wprowadza się do domu i nie pije z nim koniaku czy co tam było w kieliszkach. Zwłaszcza kiedy się jeszcze nie wstało z łóżka.

- Likier bananowy. To też mnie dziwi. Który mężczyzna pije w południe likier? Chyba że tamten przyniósł i próbowali. Taki likier można kupić w kubańskim sklepie na Kruczej.

- Czy on był chory, że w południe leżał w łóżku?

- Miał kaca. Poprzedniego dnia zdrowo popił, sekcja wykazała w organizmie całe morze alkoholu. Do biura nie poszedł, dzwonił rano, że się źle czuje, czemu się nie dziwię.

- Dobrze musiał znać faceta, jeżeli nie usiadł z nim w szlafroku gdzieś przy stole, tylko wlaźł do łóżka. A może to jeden z tych, co to, wiecie, kapitanie?...

- Pytałem o to Kanię. Twierdzi, że Malecki nie był pederastą, ale że ręczyć nie może, tamten mógł się z tym kryć. Mieliśmy niejedno zabójstwo na tym tle. Więc szukam. Tuczyński i inni łążą gdzie się da, nawiązują najdziksze kontakty, aż się rzygać chce, ale jak dotąd nic.

*

Starannie założył taśmę i uruchomił magnetofon. Przelotnie pomyślał, że pewnie znowu nic z tego nie będzie. Już sześć razy zmieniana była taśma w maleńkim japońskim aparaciku, przyczepionym

prawie niewidocznie - niczym mikroskopijna pijawka - do kabla telefonicznego w piwnicy. Za każdym razem były to nic nie znaczące rozmowy, jakieś rodziny lub znajomi klientów, których sprawy adwokat prowadził, jakieś idiotyczne flirty z kobietą o niskim, trochę przytłumionym głosie... Jedna rozmowa dotyczyła kupna czegoś, co nie zostało ani razu nazwane, a kosztować miało dwadzieścia sześć tysięcy złotych.

To wszystko go nie interesowało. Nie zrażał się jednak; długoletnie doświadczenie nauczyło go cierpliwości i uporu. Może dopiero na czterdziestej z kolei taśmie znajdzie to, czego szuka, może na setnej. A może na żadnej. Było to przecież tylko bardzo mgliste przypuszczenie, jedno krótkie zdanie w ustach adwokata Raczka - zdanie, które skłoniło go jednak do założenia aparatu.

Usiadł w fotelu i z przymkniętymi oczami słuchał delikatnego szmeru odwijającej się taśmy. Zaraz będzie pierwsza rozmowa. Sięgnął po papierosa, ale ręka w połowie drogi znieruchomiała, a w oczach zapalił się błysk zadowolenia. Nareszcie!

... - Czy zastałem pana prokuratora Sławomira Kanię? (To był głos Raczka).

- Zaraz poproszę (kobięcy głos. Chwila ciszy)... -
Słucham, podprokurator Kania.

- Kłaniam się nisko, panie prokuratorze, mówi
advokat Raczek z szóstego zespołu. Pan sobie mnie
przypomina?

- Oczywiście (głos prokuratora jakby odrobinę
chłodniejszy), znamy się przecież z sądów.

- Świetnie. Czy mógłbym panu zająć trochę czasu
w najbliższych dniach? Niedużo, małe pół godzinki.

- A o co chodzi? Bo jestem teraz, wie pan, mocno
zajęty.

- Nic szczególnego, ale chciałbym o pewnej
sprawie z panem porozmawiać.

- Doprawdy, panie mecenasie, wolałbym z góry
wiedzieć, o jaką sprawę chodzi. Prowadzę teraz
jednocześnie kilka, więc...

- Ach, nie. To nie o te, które pan prowadzi w
prokuraturze. Chciałbym porozmawiać o sprawie,
która niedawno została umorzona.

- Przeze mnie?

- Nie, przez Śródmieście. Ale pan ją zna. Chodzi o
zabójstwo Maleckiego z ulicy Bednarskiej.

- Maleckiego? (W głosie prokuratora duże
zdziwienie). Nie bardzo rozumiem, o czym pan

chciałby na ten temat ze mną mówić. I przyznam się panu, mecenasie, że raczej niechętnie wracam do tak ponurej sprawy. Zwłaszcza że znałem Wacława. Przecież nie zamierza pan bronić kogoś, kto w ogóle nie został wykryty?

Słuchający uśmiechnął się. Kania nie miał widać wielkiego respektu dla mecenasa Raczka.

... - Oczywiście, nie. W każdym razie nie, dopóki nie został wykryty. Potem zresztą także nie.

- Jak mam to rozumieć, mecenasie? To ostatnie zdanie. Czyżby znał pan zabójcę?

- Na ten temat właśnie chciałbym z panem porozmawiać.

- Zaciekawia mnie pan. Ale wobec tego... czy nie lepiej będzie, jeżeli porozmawia pan z Prokuraturą Śródmieście? I w ogóle... Czy te, nie wiem, jak to nazwać, przypuszczenia pańskie mają jakąś podstawę? Przepraszam, ale jeśli tak, to pana obowiązkiem jest zawiadomić o tym Śródmieście.

- Wiem. Proszę się nie gniewać, ale pracuję w swoim zawodzie o ileś tam lat dłużej niż pan. Powtarzam jednak raz jeszcze, że chciałbym najpierw o tym porozmawiać z panem. Właśnie dlatego, że pan go znał - i że po naszej rozmowie moje podejrzenia mogą, że tak powiem, nabrać

rumieńców. Pan może mi pomóc, bo pan go znał. Ja zresztą również, ale tylko przelotnie. Krótko mówiąc, wydaje mi się, że wiem, kto był w mieszkaniu Maleckiego przed południem, w dniu, w którym został zamordowany.

- Czy ta osoba nie była dotychczas brana pod uwagę podczas śledztwa?

- Nie. (W głosie Raczka coś jakby ukryty śmiech.)

- Z całą pewnością. Ale nie chciałbym więcej mówić przez telefon.

- Dzwoni pan przecież do Prokuratury. I chyba nie z kawiarni?

- Dzwonię z domu, ale nigdy nic nie wiadomo.

„Właśnie” - pomyślał słuchający i znów się uśmiechnął.

- Dobrze, wobec tego... czy nie opóźni to sprawy, jeżeli spotkamy się dopiero pojutrze? Mam na myśli, czy ten ktoś ewentualnie nie ucieknie lub nie wyjedzie?

- Ach, skądże. Z góry jednak zaznaczam, że trzeba będzie gościa wziąć pod dłuższą obserwację, aby coś z tego wyszło.

- To można załatwić, porozumiem się z milicją. Szczerze mówiąc, jestem bardzo niezadowolony z umorzenia sprawy przez Śródmieście. Jeżeli pańskie

podejrzenia okażą się słuszne, będzie im można trochę... tego. Dobrze, więc pojutrze. Czy odpowiada panu szósta po południu?

- Owszem. Jeżeli nie sprawi to panu różnicy, proszę zajść po mnie do zespołu i stamtąd gdzieś pójdziemy.

- Dobrze. Do widzenia.

- Do widzenia, panie prokuratorze.

Mężczyzna siedzący w fotelu usłyszał szcęk odkładanej słuchawki, a potem nakręcanie jakiegoś numeru. Zmarszczył brwi ze zdziwieniem. Po takiej rozmowie Raczek powinien był choćby przez parę minut zastanowić się, pomyśleć. Do kogóż tak z miejsca telefonuje?

- ...Inżynier Maliniak? Raczek mówi, dobry wieczór.

- Coś nowego, mecenasie? (Głos Maliniaka suchy, ostry jak zwykle).

- Streszczam się: mam, zresztą nie sprecyzowane, dane, że za jednym z nas łązi wywiadowca. Niech pan nie przerywa, powiem tylko to, co wiem. O ile mogłem się już zorientować, chodzi o doktora Hacena.

- Hacena?! Niemożliwe. Skąd pan wie?

- Mniejsza o to. Obracam się przecież wśród prokuratorów i milicji, czasem się coś usłyszy. Niech pan nie przerywa. Jeżeli upewnię się, że którykolwiek z nas jest inwigilowany przez milicję, to... sam pan rozumie.

- Oczywiście. Gdyby go pociągnęli za język... Ma pan rację. Trudno. Myślę jednak, że pan nie powinien był tego wszystkiego mówić przez telefon.

- Ach, głupstwo. Telefon bezpieczniejszy niż kawiarnie. Nie będziemy się teraz spotykać przez pewien czas. Do widzenia.

- Do widzenia, mecenasie.

Znowu szcęk słuchawki. Potem już nic, żadnej rozmowy. „Wystarczy - pomyślał mężczyzna. - Zupełnie wystarczy”.

Rozdział 3

Od samego rana w gabinecie dyrektora naczelnego zanosilo się na burzę. Wpierw ten telefon z ministerstwa - głupie parę zdań, ale wystarczyło, żeby dyrektorska wątroba natychmiast dała znać o sobie. Trudno się było zresztą nie denerwować, umowa z zagranicznym kontrahentem opiewała na wiele tysięcy dolarów, a tu odmawia się czterech etatów! Żeby czterdziestu - ale czterech zwykłych etatów dla inżynierów i techników... Szlak może człowieka trafić.

Potem okazało się, że szef produkcji - zamiast czuwać nad nowo uruchomionym taśmociągiem - leży na stole operacyjnym i wycinają mu wyrostek. Gdzieś koło południa, kiedy szefowi zszywano właśnie skórę na brzuchu, taśmociąg, jakby poirowany tym wszystkim, pękł.

Dyrektor siedział w hali prawie godzinę, wciąż przeżuwając w myśli poranną rozmowę z ministerstwem i uzbrajając się wewnętrznie w coraz to nowe argumenty. Ostatnim, desperackim krokiem

miała być prośba o zwolnienie z kierowniczego stanowiska w Zakładach Przyrządów Pomiarowych, w których pracował już dwanaście lat.

Wreszcie taśmociąg pozwolił się zmontować i ruszył, a dyrektor wrócił do gabinetu. Spojrzał na kalendarz i dostrzegł zanotowane: „Narada z RM na G-6 w sprawie MZ-26”. W tym samym momencie zadzwonił telefon. Sekretarka powiedziała, swoim zwyczajem, przez nos: - Łączę z Komendą Ruchu Drogowego...

- Po co? - spytał dyrektor zdziwiony, ale zaraz odezwał się męski głos:

- Towarzyszu dyrektorze, ja w sprawie waszej wołgi.

- Zawsze powtarzam temu smarkaczowi... - zaczął naczelny spoglądając przez okno na podwórze, gdzie stała popielata warszawa, ale urwał i rzekł z przekąsem: - Nie mam wołgi, tylko warszawę. Co ten chłopak znowu nabroił? Przejechał kogoś?

- Nie chodzi o waszą warszawę, tylko o wołgę. Tę, co wam przydzielono, dyrektorze.

- Aha! Gdzie ją macie? - ożywił się. Była to pierwsza przyjemna wiadomość tego dnia.

- Właśnie, chodzi o to, że nie mamy. Została skradziona.

- Moja wołga? - krzyknął dyrektor z oburzeniem.

- Czy wy wiecie, że ja na nią czekam od dwóch lat? Kto wam składał meldunek o kradzieży? I dlaczego ja o tym wszystkim od was się dowiaduję! - Przycisnął łokciem słuchawkę, drugą ręką sięgnął po wewnętrzny telefon: - Niech mi pani przyśle Nowickiego z zaopatrzenia. Ale już! - Czy macie jakieś podejrzenia? - zwrócił się do pierwszej słuchawki.

- Na pewno ją znajdziemy, dyrektorze. Zresztą ja niedługo u was będę, to uzgodnimy pewne szczegóły.

Nie czekając na kierownika zaopatrzenia, dyrektor sam do niego poszedł. Nowicki siedział przy swoim biurku i rozmawiał z kimś przez telefon. Naprzeciw niego, zagłębiany w papierach, notował coś szczupły, łysawy mężczyzna lat około czterdziestu. Na widok zaczerwienionej z gniewu twarzy dyrektora wstał i ukłonił mu się z szacunkiem.

- Co pan tu robi? Pan z milicji?

- Nie, panie dyrektorze, ja jestem z Centrali Handlowej. Pan pozwoli, że się przedstawię:

Białkowski, referent z działu dostaw elektrotechnicznych.

- ...mi przyjemnie - burknął naczelny. - Wołgę nam ukradli, do jasnej cholery! Panie Nowicki, jak to się stało?

Kierownik zaopatrzenia rzucił śpiesznie słuchawkę.

- Panie dyrektorze, to jakaś niesamowita historia. Ktoś odebrał samochód, przedstawiając dokumenty z naszych Zakładów! Odbierał na Towarowej, z pociągu. Milicja - oni zaraz tu będą - ma te dokumenty, ja je widziałem, to są albo naprawdę nasze, albo genialnie podrobione.

- Słyszał pan? - zwrócił się dyrektor do Białkowskiego. - To z przydziału Centrali ta wołga?

- Tak jest, panie dyrektorze. Prócz innych dostaw, wystaraliśmy się dla pana o nowy wóz, bo warszawa, mówiąc szczerze, nie bardzo reprezentacyjna... Zresztą, pańska ma już za sobą - pochylił się, zajrzał w papiery - sto dwadzieścia tysięcy kilometrów. Starczy.

- Ale ja wam tej warszawy nie oddam - powiedział groźnie dyrektor. - Nawet jak się znajdzie wołga. Mamy za dużo wyjazdów, jeden wóz nie wystarcza.

Białkowski pochylił głowę i rozłożył ręce. Wianuszek ciemnych włosów dokoła łysej czaszki był starannie przygładzony. Prawdopodobnie referent używał brylantyny.

*

Dochodziła jedenasta. Księżyc od czasu do czasu wyglądał zza chmur, pilnując swoich spraw na ziemi. Chwilami zrywał się wiatr i strząsał z drzew przekwitłe płatki kwiatów. Noc była ciepła.

Andrzej Bryja spojrział na zegarek i rzekł do pomocnika:

- Przynieś resztę lakieru, stoi w kantorku pod oknem. Daj mi „pistolet”.

Wziął z rąk chłopca aparat i wprawnym ruchem zaczął pokrywać jasnokremowe drzwiczki samochodu czarnym lakierem. Pół wołgi było już czarne, pół kremowe i wóz wyglądał, jakby częściowo pogrążony w cieniu.

Pomocnik przyniósł lakier, napełnił drugi „pistolet” natryskowy. Obaj śpieszyli się – jeden do domu, drugi do innego zajęcia. Bryja musiał jeszcze przygotować się do jutrzejszego wyjazdu. Wołgę należało jak najszybciej sprzedać gdzieś daleko od

Warszawy, wczesnym rankiem miał więc jechać do Gdańska.

Usłyszał cichy warkot motoru. Drgnął, ruchem głowy nakazał chłopcu ciszę. Delikatny, trzykrotny sygnał klaksonu wywołał w nim odprężenie. Chłopak, widać dobrze we wszystkim zorientowany, z powrotem wziął się do lakierowania, a Bryja otarł ręce i wyszedł na podwórze. Mały zielony fiat wjechał do środka. Bryja zamknął za nim bramę z wysokich desek, rozejrzawszy się wpierw uważnie po ulicy.

Doktor Hacen wysunął się z samochodu, cicho zamknął drzwiczki.

- Gotowa? - spytał szeptem.

- Jeszcze trochę.

Weszli do warsztatu. Pomocnik kończył lakierowanie lewego błotnika.

- Co to za lakier? - mruknął Hacen pochylając się nad wołgą.

- Niemiecki, szybkoschnący. Pański dobry znajomy - roześmiał się Bryja. Na zdziwione spojrzenie, dodał: - Z tych wagonów. Rano wołga będzie sucha, jakby ją rok temu malowali.

Wyszli na podwórze i wsiedli do fiata, aby chłopak nie mógł usłyszeć ich rozmowy. Omówili wyjazd i

problem sprzedaży samochodu w Gdańsku, przy czym Hacen napomknął od niechcenia, że być może w początkach lipca uda się przeprowadzić jeszcze jedną podobną transakcję, gdyż nadejdą nowe wołgi.

- To jest interes - rzekł Bryja w zamyśleniu, ssąc źdźbło trawy. - Mam jeszcze lakier ciemnozielony. Mam też czerwony, ale to by było ryzyko, bo czerwonej wołgi jeszcze u nas nie widziałem. Czarnego już na drugi wóz nie starczy.

- Szkoda, czarny najlepszy. Ale zielony też może być. Po powrocie niech pan zajdzie do Antoniego, wieczorem. Będę jak zwykle w ostatnim pokoju, za kuchnią.

- Do Antoniego? - powtórzył Bryja ze zdziwieniem. Rzucił doktorowi ukośne spojrzenie. Widać było, że się waha, czy mówić dalej.

- Tak. Brakuje panu pieniędzy na grę? - rzekł Hacen żartobliwie. - Mogę panu pożyczyć z dziesięć tysięcy.

- Nie, mnie chodzi o co innego. Maliniak był tu wczoraj... - urwał, żuł znowu trawę, wyraźnie odwracając oczy. - Mówił, że lepiej byłoby teraz się nie spotykać. Podobno... - znów się zawahał. Czuł na sobie uważny wzrok Hacena, było mu jakoś niewyraźnie.

- Co: podobno?

- No, pan chyba wie?

- O czym?

- Że łążą za panem. Cholera, Maliniak zdaje się wszystko poplątał, nie bardzo mu wierzę.

- Chciał pan powiedzieć, że za mną chodzi ktoś z milicji?

- Mhm. To chyba nonsens. Zauważył pan coś takiego?

- To na pewno nonsens - powiedział Hacen spokojnie. - Ale Maliniak sam tego nie wymyślił. Jemu by to do głowy nie przyszło.

- Oczywiście. To Raczek.

Zapadła chwila ciszy. Doktor Hacen siedział nieruchomo, jak martwa bryła żelaza. Wreszcie szepnął, na wpuł do siebie:

- Niesłychane!

- Będę szczery - odezwał się nagle Bryja, ocierając nieznacznie spocone czoło. - Jestem daleki od wszelkich sentymentów, ale doceniam w pełni pański wkład w nasze sprawy, doktorze. Mnie są potrzebne pieniądze, lubię wydawać dużo i dużo mieć. Gdyby nie pańska pomoc... ma pan bardzo rozległą sieć informatorów... to ja bym miał o wiele

mniej pieniędzy. Staram się, jak pan widzi, rozumować metodą kapitalistów – roześmiał się. – Interes za interes. Więc nie chcę, aby czyjeś bezpodstawne podejrzenie zepsuło mi moje interesy.

- Co pan ma na myśli, mówiąc: zepsuło?

Bryja przełknął ślinę i znów otarł czoło.

- Mam na myśli – odparł, starannie dobierając słowa – że gdyby zabrakło nam pańskich cennych informacji, straciłbym na tym sporo.

- Rozumiem. Ale postawmy kropkę nad „i”, panie Andrzeju. Czy chciał pan powiedzieć, że mógłbym zostać, powiedzmy, zatrzymany przez prokuratora i wówczas by mnie nie było? To chciał pan powiedzieć?

- Nie. To znaczy: nie tylko to...

- Rozumiem.

- Niech pan porozmawia z Raczkim, doktorze. To są przecież idiotyczne podejrzenia. Po cóż mamy tracić czas na jakieś wzajemne podejrzewanie się, kiedy można zamiast tego rozejrzeć się za nowym interesem? – uśmiechnął się. – Albo za nową kobietą – dodał w rozmarzeniu. – Jest tyle pięknych dziewcząt! Ale te najpiękniejsze wymagają ładnej i drogiej oprawy. Wtedy najlepiej błyszczą.

*

W jakąś godzinę po lekkiej kolacji – szynka konserwowa, dwie kajzerki, odrobina dżemu bułgarskiego ze śliwek – mecenas Raczek uznał, że trzeba się wykąpać i iść spać. Dzień był męczący. Rozprawa zakończyła się późnym popołudniem, w dodatku był to dopiero początek, jutro pierwsze zeznania świadków, a w takim dniu nigdy nie wiadomo, z czym wystrzeli nagle oskarżyciel publiczny.

Rozbierał się powoli, marudząc, ziewając, bolały go mięśnie w udach i kręgosłup od wielogodzinnego sterczenia na twardej ławie obrońców. Porozrzucał niedbale garderobę, koszula spadła na dywan, ale nie chciało mu się podnieść. Wyciągnął z szafy czystą pidżamę. Oczywiście po praniu brakowało dwóch guzików, a gumka w spodniach zupełnie sflaczała. Cisnął pidżamę z powrotem, wziął drugą, narzucił płaszcz kąpielowy i przeszedł do łazienki. Wpuścił do wody gałkę sosnową i po chwili łazienka zapachniała żywicą.

Wyciągnął się w zielonkawej, aromatycznej wodzie, posapując z zadowoleniem. Lawendowe mydło ślizgało mu się w palcach, kiedy pocierał nim

gruby, zaczerwieniony kark i szyję. W pewnej chwili poczuł, że woda ostygła, więc odkręcił kran z gorącą.

Właśnie wtedy przy drzwiach wejściowych coś leciuteńko trzasnęło, ale szum wody zagłuszył ten odgłos. Nie słychać było również ostrożnych, lekkich kroków ani delikatnego szelestu ortalionowego płaszcza.

Dopiero kiedy mecenas Raczek zamknął kran i odwrócił głowę – zobaczył, że we drzwiach od łazienki ktoś stoi.

– Oczywiście, to jest czysty przypadek, że znalazłem pana w wannie, a nie na przykład za biurkiem – powiedział doktor Hacen, opierając się plecami o futrynę. – Ale w niczym nie krzyżuje to moich planów... Przeciwnie. Jak się tak w tej chwili zastanawiam, to nawet pomaga.

– Jak pan tu wszedł? – spytał Raczek osłupiały, przecierając ramieniem oczy, do których dostało się trochę mydła. – Drzwi były otwarte?

– Nie. Drzwi były zamknięte, co mi zresztą nie przeszkadzało.

– Pan ma klucze? Do mojego mieszkania?... Co to wszystko znaczy, doktorze? I w ogóle, proszę wyjść z łazienki. Nie będę przecież rozmawiał z panem siedząc w wannie.

Chciał wstać, ale zobaczył lufę pistoletu wymierzoną w siebie tak dokładnie i wyraźnie, że nie robiło to wrażenia głupiego żartu, jak w pierwszej chwili pomyślał. Zresztą - Hacen i dowcipy z pistoletem... nie, zupełnie nieprawdopodobne. Skulił się w wodzie, gorączkowo rozważał sytuację. Krzyknąć - wezwać pomocy - wyskoczyć nagle i błyskawicznym ruchem wybić mu ten pistolet z ręki? Czy zdąży? A może Hacen po prostu oszalał?

Przybysz patrzył na niego spoza swych błękitnych okularów. Twarz jego była nieprzenikniona, głębokie bruzdy wydawały się ulepione z ciemnej, żółtawej gliny.

„Przecież to stary człowiek i w dodatku kaleka” - pomyślał Raczek, zaciskając pod wodą pięści. „Jeden dobry cios w szczękę, a będzie gotowy. On z pewnością zwariował”.

- Przysłuchiwałem się niedawno pańskiej interesującej rozmowie z prokuratorem Kanią - odezwał się Hacen swym cichym, lekko zachrypniętym głosem. - To zdaje się jutro macie się spotkać w zespole, prawda?

- Założył pan podsłuch na moim aparacie? Pan oszalał, doktorze! O co panu chodzi?

- Założyłem. Rozmowa z inżynierem Maliniakiem była rzeczywiście nieostrożna. Takich rzeczy nie mówi się - przez telefon. Muszę przyznać, że pański projekt napuszczenia na mnie wpierw milicji, a potem kogoś spośród nas, aby mi raz na zawsze zamknął usta, był nie najgorzej pomysły. Zdaję sobie sprawę, czym by groziło całej naszej grupie osadzenie mnie w areszcie, pod zarzutem zamordowania Maleckiego.

- To bzdura! - krzyknął Raczek gwałtownie. - To był tylko żart, ja wcale pana tam nie widziałem. Nigdy nie potrafiłbym tego udowodnić. Chciałem tylko trochę pana nastraszyć. Przyznaję, chciałem osłabić pańskie wpływy w grupie. Nic więcej.

Hacen uśmiechnął się lekko.

- Myślałem, że pan wie, co oznacza moje nazwisko - powiedział. - A z tym osłabieniem wpływów, to pan się trochę pomylił. Ale widzę, że woda ostygła i pan dostaje dreszczy. Wobec tego, będę kończył.

- Co pan chce zrobić? Na miłość boską, niech pan się zastanowi!

- Co ja chcę zrobić?... A zresztą, dobrze. Dam panu szansę. Mógłbym wprowadzić od razu, bo

pistolet ma tłumik, ale dam panu ostatnią szansę, jeżeli potrafi pan z niej skorzystać.

- Jaką szansę? - wyjąkał Raczek. Dygotał, wargi mu latały, nie tyle z zimna, ile ze strachu. Był gotów zrobić wszystko, co ten szaleniec każe, aby tylko choć na sekundę opuścił rękę z pistoletem. Wówczas wystarczy jeden cios.

- Bardzo prostą. Jeżeli wytrzyma pan przez dwie minuty z twarzą zanurzoną w wodzie, odkładam broń i puszczam wszystko w niepamięć. Na lewej ręce, jak pan widzi, mam zegarek. Czy jest pan gotów do próby?

„On wyraźnie oszalał” - pomyślał Raczek ze zdumieniem. „Jakaś idiotyczna, dziecinna próba, która ma być szansą życia? Z wariatami trzeba umiejętnie, najlepiej im z początku ustępować”.

Był świetnym pływakiem, wytrzymał pod wodą nie dwie, lecz trzy minuty, czasem nawet dłużej. Bez wahania odwrócił się plecami do góry i, zaczerpnąwszy w płuca głęboko powietrze, pogrążył twarz w wodzie. W tej samej chwili jednak poczuł, że czyjeś potwornie mocne, twarde palce chwytają go za włosy i przytrzymują głowę.

- Dwie minuty czy dwadzieścia - mówił Hacen łagodnym szeptem - to właściwie żadna różnica.

Pomogę panu w pobiciu rekordu... pomogę...
pomogę...

Dalsze słowa zaczęły oddalać się, w głowie narastał szum, czuł, że się dusi. Na próżno jednak całym ciałem usiłował wydrzeć się z tych stalowych kleszczy, wciąż przytrzymujących mu twarz pod wodą.

Po jedenastu minutach ruchy ciała zupełnie ustały. Wówczas doktor Hacen, zapięty szczelnie pod szyję w swym nieprzemakalnym płaszczu, wyciągnął zwłoki ostrożnie z wanny, uważając, aby włosy na głowie pozostały suche. Wytarł ciepłe jeszcze, miękkie ciało ręcznikiem, nałożył na nie płaszcz kąpielowy, na nogi wsunął pantofle. Potem popatrzał z zastanowieniem na zimne o tej porze roku, ostre kanty kaloryferowych żeberek...

*

- To jest niedopuszczalne - powiedział sędzia Zańczyk, spoglądając po raz dziesiąty na zegarek. - Czekamy na niego już prawie godzinę.

Kobieta-ławnik, niemłoda już, czarnowłosa lekarka, rzuciła z naganą w głosie:

- Słowo daję, takiego adwokata należałoby jakoś ukarać. Przecież czekamy nie tylko my, ale wszyscy

świadkowie, biegli, koledzy, psychiatrzy... Nawet ten oskarżony, choć nie mam do niego najmniejszej sympatii, ma chyba prawo do punktualnej rozprawy.

- Oskarżony to mniejsza - wzruszył ramionami drugi ławnik - ale myślałem, że dziś trochę wcześniej skończymy, a tu od razu taki początek.

Do pokoju narad zajrzał woźny sądowy.

- No co? Jest Raczek? - poderwał się przewodniczący zespołu.

- Nie ma, panie sędzio. Sekretarka dzwoniła do niego, ale tam nikt nie odpowiada. Pewnie wyszedł i coś załatwia po drodze.

- Poczekamy jeszcze sześć minut, do dziesiątej. Potem zaczynamy. Jest przecież drugi obrońca, a mecenas Raczek lada chwila nadejdzie - zdecydował sędzia.

Ale Raczek nie zjawił się ani przed obiadową przerwą, ani później. Jego kolega, drugi obrońca oskarżonego, mecenas Zaleski, siedział podczas przesłuchiwania świadków jak struty i, szczerze mówiąc, nie bardzo uważał. Przez cały czas rozmyślał, jak Raczek mógł tak postąpić. Pewnie wziął jakąś jednodniową rozprawę w powiecie... Zjawi się jutro jakby nigdy nic. Trzeba mu będzie zdrowo nawymyślać.

Skończyli o piątej po południu i Zaleski, kipiąc z gniewu, prosto z gmachu sądów pognał do mieszkania Raczka. Na próżno jednak długo i natrętnie przyciskał dzwonek u drzwi, na próżno – po powrocie do siebie – co kilka minut telefonował. Raczka w domu nie było. Wreszcie pomyślał, że pewnie wybrał się gdzieś dalej i wróci nocą. Położył się więc spać, ale budził się często, bo zdawało mu się, że dzwoni telefon. Telefonu jednak nie było.

*

Następnego dnia rano nie stawiło się dwóch ważnych świadków powołanych przez oskarżyciela publicznego i prokurator poprosił o jeden dzień zwłoki w rozprawie. Ponieważ nie zjawił się również mecenas Raczek, sędzia przychylił się do prośby, polecając jednocześnie drugiemu obrońcy, aby ustalił w końcu przyczynę nieobecności kolegi. Mógł mieć wypadek, a Pogotowie nie śpieszyło się z powiadomieniem kogo trzeba.

Zaleski, teraz już na dobre zaniepokojony, objechał najpierw miejskie szpitale, zajrzał do Pogotowia, do zespołu numer sześć, a potem – pełen wewnętrznych oporów – mimo wszystko, do Izby Wytrzeźwień i dzielnicowych komend milicji.

Wreszcie, porozumiawszy się z Radą Adwokacką, aby nie obciążać li tylko własnego sumienia, zajechał przed Pałac Mostowskich i poprosił o pomoc.

Kapitan Szczęsny znajdował się właśnie w gabinecie szefa wydziału, majora Daniłowicza, kiedy zdesperowany adwokat stanął w drzwiach i powiedział, że chce się włamać do mieszkania swego kolegi, wobec czego prosi o asystę i „środki techniczne”.

- Sądzi pan, że mecenas Raczek zachorował tak ciężko, że nie jest w stanie nawet podejść do telefonu? - spytał major z pewnym zdziwieniem. Skądinąd pamiętał adwokata jako mężczyznę o końskim zdrowiu i niespożytej energii.

- Ja już nie wiem... - westchnął Zaleski przyjmując od Szczęsnego papierosa. - Ale sam nie dam sobie rady na rozprawie... - to jest chciałem powiedzieć - poprawił się szybko - nie jestem przygotowany do przemówienia, w dodatku on ma u siebie różne dokumenty, które będą później potrzebne. W każdym razie, jeżeli dotąd nie odezwał się, nie dał znać depeszą ani telefonem, to sądzę, że mam prawo, może nawet i obowiązek, sprawdzić, czy żyje, do ciężkiej cholery!

- Swoją drogą... - zaczął Daniłowicz, ale machnął ręką i nie dokończył. Była to sprawa pomiędzy dwoma adwokatami, nie chciał się do niej mieszać. Należało jednak rzeczywiście sprawdzić, czy mecenas Raczek nie dostał zawału serca albo czegoś w tym rodzaju.

- Pojadę z panem - odezwał się nagle Szczęsny, który od paru minut intensywnie o czymś rozmyślał.

- Wezmę sierżanta Tuczyńskiego - zwrócił się do majora, ten skinął głową aprobująco. - W razie jakichś niespodzianek, zadzwonię po wóz techniczny.

- To ja już schodzę na dół - rzekł Zaleski - mam swój samochód, jasny trabant, sześćdziesiąt trzy końcówka numeru. Będę czekał.

Kiedy wyszedł, Daniłowicz spojrzał na kapitana pytająco.

- Widzisz, rozmawiałem wczoraj z Kanią - zaczął Szczęsny - tym podprokuratorem, który...

- Wiem, pamiętam, zabójstwo Maleckiego. Ale co to ma wspólnego z Raczkim?

- Kania powiedział mi, że Raczek telefonował do niego i umówił się na spotkanie właśnie w tej sprawie. Podobno miał w zanadrzu jakieś nowe informacje. Widział kogoś, kto w dniu zabójstwa przed południem odwiedził Maleckiego w

mieszkanii. Ale bliższe szczegóły miał podać dopiero przy spotkaniu.

Daniłowicz sięgnął po słuchawkę.

- Słuchajcie, poruczniku, niech tam ktoś sprawdzi, czy na telefonie adwokata Raczka z szóstego zespołu... nie, na jego prywatnym telefonie, czy nie założono jakiegoś podsłuchu... Oczywiście, że nie chodzi mi o... Tak. Niech sprawdzą w piwnicy, może być coś na kablu... Mogły zostać ślady... Nie sądzę, żeby w samym aparacie. Zresztą, kapitan Szczęsny jedzie teraz do jego mieszkania, więc w razie czego zobaczycie.

Kiedy trzech mężczyzn stanęło przed drzwiami, na których widniała mosiężna tabliczka z napisem: „Dr Józef Raczek, adwokat”, Szczęsny powiedział żartobliwie:

- Lepiej jeszcze raz zadzwońmy, bo może wrócił i zrobi nam awanturę. - To mówiąc, przycisnął biały guzik dzwonka. Ale w mieszkaniu panowała niczym nie zmacona cisza. Po kilku dzwonkach sierżant Tuczyński obejrzał dokładnie zamek i mruknął:

- Drobiazg. - Po czym wyjął z teczki dwa wytrychy, spróbował ostrożnie, w pewnej chwili zdziwił się: - Od wewnątrz nie zamknięte - przekręcił parę razy i drzwi otworzyły się. Weszli do środka.

Duży, dwuokienny pokój był pusty. Porozrzucana bielizna i części ubrania, przygotowany do spania tapczan robiły wrażenie, że właściciel mieszkania wyszedł tylko na chwilę do kuchni czy łazienki.

- Gdzież on jest? - zdumiał się Zaleski. Przyszło mu na myśl, że może u kogoś z sąsiadów, a raczej: sąsiadek, i przez chwilę pożałował pochopnej decyzji wezwania milicji. Ale w tej samej chwili Szczęsny zawołał z łazienki:

- Sierzancie, dzwońcie do komendy po wóz techniczny.

Tuczyński stanął we drzwiach. Na kamiennej podłodze, z głową tuż przy kaloryferze, leżało martwe ciało mecenasa Raczka, ubrane w pasiasty płaszcz kąpielowy i ranne pantofle. Obok głowy czerniała nieduża, od dawna widać zastygła plama krwi. Wanna była do połowy napełniona zielonkawą wodą, ze śladami piany mydlanej na krawędziach. Na dnie leżało mydło, nylonowa gąbka tkwiła w kącie pod umywalnią. Duży, kolorowy ręcznik frotté zwisał niedbale, rzucony na wiklinowy kosz z brudną bielizną.

- Co najmniej od wczorajszego wieczoru - rzekł sierżant, mimo woli zniżając głos.

- Dzwóńcie po wóz - powtórzył Szczęsny, przyklękając obok trupa. Delikatnym ruchem uniósł i odchylił zakrwawioną głowę, a wtedy dostrzegł na brzegu jednego z kaloryferowych „żeberek” wyraźny ślad krwi. Spojrzał na układ nóg, przy których leżała przekrzywiona wycieraczka ze sztucznego tworzywa, jaką można kupić w drogeriach i sklepach z plastykiem. Pod wycieraczką było jeszcze trochę wilgoci.

Zaleski patrzył na to wszystko przerażonym wzrokiem. Śmierć kolegi, którego posądzał o jakieś nieładne dekowanie się czy zbijanie pieniędzy na innych rozprawach, zupełnie wytrąciła go z równowagi. Żałował Raczka, ale jednocześnie - i może nawet o wiele więcej - martwił się jutrzejszą rozprawą, przemówieniem obrońcy, tysiącem kłopotów, które pojawiły się tak nieoczekiwanie. Poza tym, nie znosił widoku krwi.

- Zamordowano go? - szepnął, patrząc na śniadą twarz kapitana Szczęsnego, od której dziwnie odcinały się bardzo jasne, niemal białe włosy.

Oficer spojrzał na niego przelotnie swymi wąskimi, czarnymi oczami. Odsunął wysoko rękawy marynarki, aby nie pobrudzić ich krwią i nie zatrzeć

jednocześnie, co było o wiele ważniejsze, jakichkolwiek śladów.

- Nie przypuszczam - odparł po chwili. - Wygląda na to, że wychodząc z wanny pośliznął się na wycieraczkę i upadł, uderzając skronią o kaloryfer. Ma głęboką ranę na czaszce. Czy chorował na serce albo miał zawroty głowy?

- Nie wiem. Ale chyba nie. W każdym razie, nigdy o tym nie słyszałem. Był zawsze zupełnie zdrow i na nic się nie skarżył.

- Może zadzwonił telefon, śpieszył się i dlatego. Oczywiście, to są tylko moje pierwsze, bardzo powierzchowne oględziny. Zaraz zawiadomię lekarza sądowego.

Doktor Stern był w komendzie i zabrał się razem z wozem technicznym. Obejrzał dokładnie położenie zwłok, potem zbadał ciało, które było wiotkie, pozbawione charakterystycznego zeszywnienia.

- Dziś mamy piątek - powiedział, przyglądając się na wpół rozchylonym powiekom zmarłego. - To musiało stać się we środę wieczorem. Dlatego już nie jest sztywny. Prawie dwa dni temu.

- Wykąpał się, o czym by świadczyły te resztki piany mydlanej na brzegach wanny i właśnie wychodził z wody, kiedy coś spowodowało, że się

zaczął śpieszyć. Może telefon albo dzwonek u drzwi. Źle stąpnął, wycieraczka musiała być wilgotna, a on miał mokre nogi. Zdążył jednak nałożyć pantofle... - Szczęsny zamyślił się nagle.

- Nie chciał bosy biec po podłodze. To jasne. Jeżeliby nie wytarł nóg, zostawiłby plamy na wyfroterowanym parkiecie.

- Są jakieś ślady, poruczniku?

- Trochę linii papilarnych tu i ówdzie, wszystkie zdaje się jednakowe. Pewnie jego. Poza tym, nic godnego uwagi. Jak dotąd.

- Zależy mi na dużej ilości bardzo ostrych zdjęć łazienki i położenia ciała - powiedział Szczęsny do fotografa. - Tu obok, w kuchni, jest kontakt. Proszę włączyć duży reflektor. Błyskowe zdjęcia mnie nie uszczęśliwią. Kaloryfer, ta gąbka w kącie, mydło na dnie wanny, ręcznik... wszystko. Po kilka razy.

- Sądzicie, kapitanie, że to nie wypadek? - porucznik z ekipy technicznej uniósł brwi w górę.

Szczęsny nie odpowiedział. Podszedł do drzwi wejściowych i długo, starannie oglądał zamek, pomagając sobie lupą.

- Czy rana jest śmiertelna? - mruknął do Sterna, który przystanął obok niego.

- Myślę, że tak. Resztę powiem po sekcji. Ale to jest poważna rana, zwłaszcza że na skroni. Mogła być śmiertelna. Oczywiście, muszę jeszcze stwierdzić, jak to wyglądało z sercem, i tak dalej. Może zasłabł, leżał sam w mieszkaniu... organizm ludzki sprawia czasem różne niespodzianki.

Do mieszkania wszedł jeden z techników milicyjnych, specjalista od telefonów. Poszukał wzrokiem kapitana, a potem rzekł do niego:

- W piwnicy znalazłem ucięty kawałek obcego kabla, porzucony obok tego, który prowadzi do mieszkania mecenasa. Można przypuszczać, że był komuś potrzebny do jednego z tych mikroskopijnych, zagranicznych aparatów podsłuchowych. Ale to są tylko poszlaki, oczywiście. Jeżeli tak było, to zrobił to dobry fachowiec, tyle że roztargniony.

- Sierżancie - zwrócił się Szczęsny do Tuczyńskiego - dowiedzcie się od dozorczy, czy w ostatnim czasie nie reperowano czegoś w piwnicy. Może był tu facet z telefonów albo hydraulik.

*

W dwa dni później Szczęsny umówił się w komendzie z prokuratorem Kanią na ważną rozmowę. Kania przyjechał punktualnie, był ciekaw tej rozmowy.

Kiedy usiedli w kącie pokoju przy stoliku, kapitan odezwał się, gasząc zapalniczkę:

- Raczek został zamordowany.

- Co pan mówi? - Kania aż się uniósł w krześle. - Przecież to był wypadek.

- Nie. Raczką ktoś utopił, a następnie uderzył jego głową o kant kaloryfera.

- Nieprawdopodobne! Jak pan do tego doszedł?

- To wynik sekcji zwłok. Zna pan teorię obecności planktonu w narządach ciała ludzkiego?

- Chyba czytałem o tym, ale nie pamiętam - wyznał młody prokurator. - Proszę, niech mi pan przypomni.

- Po prostu, Stern zrobił badanie mikroskopowe wycinków narządów, czy nie znajdują się w nich okrzemki, takie drobne szkieleciki roślin i żyjątek wodnych. W tkankach ludzkich normalnie nie ma cząstek krzemu. Są one w wodzie, nawet filtrowanej. Doktor Stern pobrał wycinki z płuc, mózgu oraz krew z serca zmarłego, spalił je kwasem siarkowym czy azotowym, nie pamiętam. Cząstki organiczne oczywiście spłonęły, okrzemki nie. Pod mikroskopem wyglądają jak maleńkie muszelki albo spiralki czy gwiazdki. Gdyby plankton był tylko w płucach, nie byłby to żaden dowód utonięcia, bo woda może się

przedostać i do martwych płuc. Ale jeżeli człowiek dostał się pod wodę za życia, to okrzemki z płuc przenikają, w czasie kilku choćby oddechów, do krwi, a z nią do mózgu, wątroby, serca i tak dalej.

- Rozumiem. Stern znalazł okrzemki?

- Tak.

Chwilę milczeli. Kania marszczył brwi, na twarzy miał ciągle wyraz głębokiego zdumienia.

- Ale jak zabójca wszedł do mieszkania?

- Pewnie przy pomocy wytrychu. Drzwi wejściowe mają wprawdzie zasuwę i dodatkowy zamek yale, były jednak zamknięte tylko na jeden, zwykły klucz. Widocznie adwokat miał zwyczaj na dobre zamykać drzwi dopiero przed samym położeniem się spać. Prócz tego, znalazłem jeszcze inne ślady, które dają do myślenia... Biurko w pokoju było otwierane przy pomocy jakiegoś narzędzia, nie zaś właściwego kluczyka. W szufladach są też nikłe ślady, wskazujące na buszowanie w nich obcej osoby. Zabrano stamtąd jakieś rzeczy, widać puste miejsca w szufladach. Jest też trochę nieporządku. Zastanawia mnie brak większej gotówki. Wie pan przecież, że Raczek miał liczną klientelę i na pewno dobrze zarabiał. Tymczasem w biurku było tylko kilka tysięcy złotych.

- No, to jeszcze niczego nie dowodzi. Miał konto bankowe?

- Nie. Ani książeczki PKO. Chyba że na okaziciela i nie podał żadnego nazwiska przy otwieraniu.

- Gdyby to był zwykły mord rabunkowy - rzekł Kania w zamyśleniu - złodziej nie zadawałby sobie tyle trudu. Zastawszy mecenasa w kąpielni, rąbnąłby go czymś w głowę, i spokój. Albo utopił, bez tych wszystkich komplikacji z wyciąganiem ciała z wody, nakładaniem płaszcza kąpielowego i tak dalej. Złodziejowi nie zależy zazwyczaj na upozorowaniu wypadku czy samobójstwa.

- Na ogół nie, choć różnie bywa. Ale złodziej zabrałby przy tym te kilka tysięcy złotych, zegarek, sygnet z grubego złota, piękną leicę... Nie. Zaczynam przypuszczać, że Raczka zabito z zupełnie innego powodu. Czy pan wie, że na kablu jego telefonu założono podsłuch?

- W jaki sposób?

- Taki specjalny aparat, w piwnicy. Jakiś czas przed zabójstwem do piwnicy zachodził parokrotnie hydraulik, o czym wiemy od dozorca. Hydraulika, jak się potem okazało, nikt w kamienicy nie wzywał. Mamy dość ogólnikowy rysopis: szczupły, niewysoki, w czapce i kombinezonie roboczym, podobno żonaty

i mieszka gdzieś na Żoliborzu. Pali sporty, nie nosi wąsów ani okularów, w wieku około trzydziestu lat. Mówił, że go prywatnie wzywano, a dozorca nie sprawdzał.

- Z tego wynika, że jakaś rozmowa telefoniczna Raczka była powodem do zamordowania go. Prokuratura na Żoliborzu wszczęła śledztwo?

- Tak. Prowadzę dochodzenie, ale na razie wiem tyle co nic. Mecenas miał tak rozległy krąg znajomych i klientów, że można się w tym zgubić. Wiemy też coś niecoś o jego jeszcze innych powiązaniach i być może właśnie tam należy szukać zabójcy, ale to bardzo skomplikowane sprawy. Nie mogę jednak pominąć tego, o czym pan mi mówił kilka dni temu - waszej rozmowy telefonicznej dotyczącej Maleckiego.

- Myśli pan, kapitanie, że morderca podsłuchał tę rozmowę i dlatego sprzątnął mecenas?

- Mógłby to być podwójny morderca. Przecież Raczek powiedział panu wtedy, że wie, kto był w mieszkaniu Maleckiego przed południem w dniu zabójstwa. Chyba że w dalszym ciągu - za przykładem prokuratury - będziemy się trzymać wersji samobójstwa.

- Nie wierzę w samobójstwo Wacka. Absolutnie nie wierzę. Mamy wobec tego jakieś powiązanie tych dwóch morderstw. Powiązanie osobowe.

- Albo też chodziło o zupełnie inną rozmowę i jestem na fałszywym tropie.

- Ma pan cholernie ciężkie zadanie. W tej sprawie nie będę mógł pomóc, bo Raczka znałem bardzo mało. Ale jeżeli myśli pan jednocześnie o wykryciu zabójcy Maleckiego, to jestem do dyspozycji.

Rozmawiali jeszcze przez jakiś czas, po czym Kania pożegnał się i wyszedł. Szczęsny siadł za biurkiem nad teczką, w której były pierwsze meldunki i notatki dotyczące śmierci Raczka.

W godzinę później na biurku zadzwieczał telefon milicyjnego kabla. Nie odrywając wzroku od papierów, sięgnął po słuchawkę.

- To ja, kapitanie. W drugiej grupie zabrakło jednego faceta, co już, oczywiście, wiecie ze szczegółami. Ale tamci wiedzą tylko, że to był wypadek, tak jak podały gazety. Wczoraj grali we czwórkę z tym, co najczęściej tylko im kibicuje. Siedziałem przy sąsiednim stoliku i parę zdań udało mi się wyłowić. Takich zdań, które coś znaczą.

- No?

- Pan inżynier Maliniak powiedział w pewnej chwili: „On w mieszkaniu nic nie trzymał. Nie macie się czego obawiać...” A na to ten przystojny, co mnie raz podwiózł autem: „Na taką rzecz każdy z nas jest przygotowany. Można wpaść pod samochód, dostać ataku serca czy, jak on, zginąć w taki głupi sposób. Mieszkanie zawsze musi być czyste. On był za mądry, żeby na coś się narazić. Siebie albo nas”. Maliniak powiedział jeszcze: „Siebie tak, ale nas? Gównem by go to obchodziło”. Wtedy Zdanowicz, ten elegancki, pokazał oczami na mój stolik, ale nie na mnie, tylko tak w ogóle. I już przestali o tym rozmawiać.

- Sądzicie, że zabójcą Raczka nie jest żaden z nich?

- Tego nie byłbym pewien, kapitanie. Trzech może wierzyć, że to był wypadek, a czwarty może być zabójcą, ale się przed nimi nie zdradzi. Tylko nie rozumiem, o czym oni mówili przy stoliku. Czego mają się nie obawiać?

- No, cóż. Wygrywali w pokera duże sumy, więc pewnie wydawali je na kupno waluty obcej czy złota i, być może, Raczek przy swoich podejrzanych znajomościach załatwiał im takie sprawy. Może prowadził rejestr transakcji, może notował coś, czego oni woleliby nie ujawniać. Pamiętajcie, że na

przykład Maliniak jest znanym i cenionym inżynierem z doskonałą opinią, a Zdanowicz również cenionym starszym księgowym w państwowej instytucji. Widocznie zależy im na tej opinii.

- A przy rewizji u Raczka nic trefnego nie było?

- Nie. Oczywiście, żaden z nich nie zainteresował się oficjalnie „wypadkiem”, bo wolą siedzieć cicho. Myślę, że nie będą również na pogrzebie.

- A kto mu sprawia pochówki?

- Koledzy z zespołu adwokackiego. W każdym razie, bądźcie na pogrzebie, gdzieś z boku i w nieco innej niż zwykle postaci. Ciekaw jestem, czy jednak któryś z nich się pojawi.

Rozdział 4

Ciemnopopielaty volvo, model zaledwie sprzed dwóch lat, skręcił przed kawiarnią i zatrzymał się miękko po przeciwnej stronie. Andrzej Bryja zamknął wóz, obrzucił go wzrokiem, w którym była czułość i zadowolenie posiadacza, zdmuchnął smugę kurzu na lśniąącym lakierze. Volvo był piękny i pożądany jak kobieta. Nad kobietami miał tę przewagę, że się nie przykrzył.

W „Świteziance” zabrakło wolnych stolików. Stał więc obok szatni, przejrzał się w lustrze. Krawat nie pasował do ubrania, ale było już za późno, aby pojechać do domu i zmienić go. Hanka mogła nadejść w każdej chwili. Poprawił więc tylko węzeł, obciągnął marynarkę. Pomyślał nie po raz pierwszy, że jest przystojny, choć nieco krępy i za niski. Maliniak był zdecydowanie brzydki, ale miał wspaniałą figurę.

- Podziwia pan swoją urodę? - zadrwił kobiecy głos tuż nad jego uchem.

Odwrócił się szybko, uśmiech rozjaśnił mu twarz. Hanka wyglądała ślicznie w letnim kostiumie pastelowego koloru – był to jakiś seledyn z odcieniem niebieskiego – i w białym, dużym kapeluszu na rudych włosach. Z satysfakcją stwierdził, że nie jest wyższa od niego. Wysokie kobiety krępowały go, czuł w tym niesprawiedliwość losu i raczej takich kobiet unikał.

Pocałował ją w rękę, dziwiąc się przelotnie, że jest szorstka i trochę zaniedbana, z krótko obciętych paznokciami. Nie pasowało to do wypielegnowanej twarzy i starannie uczesanych włosów.

- Nie ma wolnego stolika, proponuję więc przejażdżkę na Saską Kępę – powiedział, wyprowadzając ją w stronę samochodu. - Tam są takie małe, przyjemne kawiarenki.

Zgodziła się łatwo. Jazda pięknym volvo mogła zadowolić każdą kobietę, na Saską Kępę czy na Targówek, cel był obojętny. Bryja prowadził wóz z ogromną wprawą, ale spokojnie. Szaleństwa motoryzacyjne nie leżały w planach tego wieczoru.

Znaleźli stolik w „Bistro”, zamówili kawę i likier. Przy bufecie grał adapter, Niebiesko-Czarni zapewniali, że pójdą za kimś w świat, właściwie był to jeden Niebiesko-Czarny o gardłowym,

fascynującym głose, reszta pomrukiwała melodyjnie do wtóru. Piosenka niepokoiła, drażniła nerwy.

- Nie powinien pan pić - powiedziała z żartobliwą naganą, wskazując na kieliszek z likierem. - Prowadzi pan wóz.

Roześmiał się. Nie było to żadne picie, zdarzało mu się znaleźć za kierownicą po ćwiartce, a nawet i więcej.

- Bez wypadków! Już tyle lat...

- Zawsze kiedyś jest ten pierwszy raz.

- Pani się boi?

Wzruszyła ramionami.

- Nie. Mam już do pana tę odrobinę zaufania, o którą pan kiedyś prosił... Właściwie, zastanawiam się w tej chwili, czy już wypić z panem na ty, czy jeszcze nie. Widzimy się chyba trzeci raz, prawda?

- Trzeci. Dopiero. Ale to nie przeszkadza. Mój warunek: musimy się natychmiast pocałować.

- Tutaj? - zaśmiała się. - Żeby wszyscy zaczęli się na nas gapić? To nie Paryż, panie Andrzeju. Był pan w Paryżu?

- Tak. W zeszłym roku, przez kilka tygodni, podczas wystawy samochodowej. Ale ma pani rację.

Pierwszy pocałunek nie powinien być w takim otoczeniu. Obojętnym albo ciekawskim.

- Tylko gdzie?

Spojrzał jej prosto w oczy. Zawahał się, nie był jeszcze pewien, czy nie oberwie. W końcu, nie była to pierwsza lepsza dziewczyna, to można było od razu wyczuć, choć nie wiedział o niej literalnie nic poza imieniem. Sądził, że jest trochę znudzoną młodą mężatką albo rozwódką. Miała obrączkę na palcu. Nagle zdecydował się.

- U mnie - powiedział podając jej papierosy. - Nie będę roztaczał przed panią uroków mojego przytulnego mieszkanka, pełnego najnowszych płyt i tak dalej. Za bardzo mi na pani zależy. Chciałbym, żeby pani przyszła nie dla płyt, ale dla mnie samego. Żeby pani wyraźnie to powiedziała: przyjdę do ciebie i...

„Pójdę za tobą w świat...” - zanucił Niebiesko-Czarny.

Roześmieli się.

- W świat to nie. Za daleko. Ale do pana, owszem, przyjdę. Wolę jasne sytuacje, bez tych tam takich... Podobasz mi się, Andrzej.

- Więc po co my tu siedzimy? - spytał cicho.

- Właśnie: po co? - z wolna opuściła powieki. Na jej twarz wystąpił lekki rumieniec.

Skinął na kelnerkę, zapłacił i wyszli. Nie mówili już nic do siebie. Wszystko co trzeba zostało przecież powiedziane. Volvo zamruczał łagodnie i pośpieszył do domu.

Kiedy całował jej nabrzmiące od krwi wargi i szeptał słowa banalne, że jest śliczna, że jej pragnie - słowa przychodziły same, miał przecież wprawę, a właściwie przyzwyczajenie - Hanka uśmiechała się tylko pod pocałunkami, pieszcząc jego ciemne, gęste włosy. Była za młoda, aby pomyśleć, że jest którąś tam z kolei, leżącą na tym tapczanie. Podobał jej się, to wystarczało.

O którejś godzinie poczuli nagle, że są głodni.

- Zaparzę kawę - zaproponował, choć nie chciało mu się wstawać. - Mam w lodówce baleron, chleb też jest. Można zrobić kanapki.

Miał cichą nadzieję, że ona zerwie się i powie: „Ja zrobię, powiedz mi tylko, gdzie jest kawa” - albo coś w tym rodzaju. Wszystkie poprzednie tak robiły, miał wygodę. Ale Hanka była inna. Przeciągnęła się, założyła ręce pod głowę i mruknęła sennie:

- To świetnie. Zrób kanapki, ja się zdrzemnę parę minut.

„Ma klasę” – pomyślał, dźwigając się niechętnie z tapczanu. Wsunął bosc stopy w pantofle, przyczesał roztargane włosy i poczłapał do kuchni. W lodówce był nie tylko baleron, ale puszka wędzonych rybek w oliwie i ser. Znalazł pół kostki masła, o którym zapomniał, i zabrał się z westchnieniem do robienia kanapek. Bądź co bądź, dziewczyna była warta zachodu.

Hanka wodziła wzrokiem po pokoju, oglądając go z zaciekawieniem. Na biurku zobaczyła coś, co spowodowało, że wstała i podeszła bliżej. Oglądała to z uwagą, a twarz jej w niczym nie przypominała teraz twarzy bezmyślnej, ładnej dziewczyny, z jaką najchętniej mężczyźni idą do łóżka. Zmarszczyła wąskie, ciemne brwi. – Ciekawe... – mruknęła do siebie.

Andrzej ukazał się na progu pokoju, z puszką neski w ręku.

– Mówiłaś coś? – spytał. I nagle oczy jego zabłyśły dziwnie. Podeszedł do niej szybkim krokiem, wyrwał niemal z ręki oglądany przedmiot i wrzucił do szuflady biurka, którą zamknął na klucz.

Patrzała na niego ze zdumieniem.

– Co ci się stało? Co to było, ten kawałek czegoś?...

- Nic - odparł krótko.

Postanowiła się obrazić. Odwróciła się do niego nagimi plecami, zaczęła pogwizdywać. Sięgnęła po swoją bieliznę.

- Hanka - postawił neskę na biurku i objął ją za ramiona - nie gniewaj się, ale mogłaś zepsuć. To było... mam znajomego chemika i to są jego takie próby ze sztucznym tworzywem. Przepraszam cię, kochanie... No, daj się przeprosić.

Jeszcze nadąsana, odwróciła się i przylgnęła do niego całym ciałem. Mimo wszystko wciąż jej się podobał.

*

Podprokurator Kania wyminął idącą przed nim parę i pierwszy dopadł wolnego stolika. Usiadł, rozejrzał się dokoła, ale Szczęsnego jeszcze nie było. Pomyślał, że pewnie ma wiele roboty i spóźni się. Nie szkodzi, można będzie spokojnie o wszystkim pomyśleć. Nazbierało się do myślenia, nawet trochę za dużo.

Ktoś znajomy pozdrowił go od stolika, odpowiedział roztargnionym ruchem głowy. Zamówił fructovit i lody.

W środowisku prawników sprawa tajemniczej śmierci adwokata Raczka była ciągle zasadniczym tematem plotek i poważnych dyskusji. Niektórzy wiedzieli już, że nie był to nieszczęśliwy wypadek; prokuratura na Żoliborzu prowadziła śledztwo, choć w prasie nie było o tym ani słowa. Brak wyraźniejszych śladów w mieszkaniu zamordowanego pozwalał przypuszczać, że zabójca – kimkolwiek on był – nieprędko stanie przed obliczem sprawiedliwości. W takich wypadkach ani milicja, ani prokuratura nie kwapiły się z podawaniem prasie informacji.

Prawnicy podejrzewali, iż mordercą był któryś z dawnych klientów mecenasa Raczka, jako że miał on zwyczaj bronić przestępców najgorszego gatunku, mściwych i bezwzględnych. Być może, zaszło pomiędzy nimi coś, czego konsekwencją stało się zabójstwo, i to tak wyrafinowane. Raczek nie był lubiany wśród adwokatów; zarzucano mu nadmierną chciwość, podejrzewano o „ciemne” interesy, choć nikt nie potrafiłby tego udowodnić. Toteż nie tyle żałowano kolegi, ile oburzano się na sam fakt morderstwa adwokata, bądź co bądź członka jednego z zespołów i Zrzeszenia Prawników Polskich.

Prokurator z Żoliborza wymownie rozkładał ręce: milicja, jak dotąd, była bezsilna... Komenda Miasta wolała milczeć; wydawało się, że sprawa jest beznadziejna, ale przecież nie takie wykrywali, tylko nie od razu. Trudne sprawy wymagają czasu.

- Dobry wieczór - powiedział kapitan Szczęsny siadając przy stoliku. - Przepraszam za spóźnienie, ale major mnie zatrzymał.

- Nie szkodzi - mruknął Kania, wygrzebując resztki lodów z pucharka. - Jest coś nowego?

Szczęsny wzruszył ramionami.

- Ten Raczek to miał trochę zapaskudzoną hipotekę - rzekł, nalewając sobie fructovitu. - Dochodzę do wniosku, że mogło go zakatrupić co najmniej ze sześciu bandziorów. Ciągnął z ich rodzin jak pijawka. Mamy na razie na oku Czarnego Józka z Woli, Kulawego z Żoliborza i takiego małego, chudego cwaniaka z jednym okiem. Ci trzej byli w stanie zrobić to właśnie w taki sposób. Nieprawdopodobnie sprytni ludzie, zdolni do wszystkiego. Kulawego nawet zatrzymałem, bo ma wyjątkowo niezdarnie przygotowane alibi, wszystko tam się rwie.

- Nie uważa pan, że bandzior by go zwyczajnie utopił w wannie, bez wywleknięcia i tak dalej?

- Zwykły bandzior tak, ale nie ci trzej. Mają już tyle za sobą, że każda następna sprawa z dwieście dwadzieścia pięć, to dla nich czapa murowana.

- No, ale jak pan chce któremuś z nich to udowodnić, jeżeli w mieszkaniu nie zostały żadne ślady?

- Ba! - Szczęsny zamówił drugi fructovit. - Jeżeli nie zbierzemy przekonujących dowodów, to sprawa leży.

Ruda, ładna dziewczyna stanęła przy nich, uśmiechając się do Kani, który zerwał się, aby ją przywitać.

- Jak się masz, Haneczko! Pozwól, że ci przedstawię... - zająknął się, nie wiedział, czy Szczęsny chce być „ujawniony”, ale kapitan go wyręczył:

- Pani pozwoli, Zarzecki jestem. Proszę - odstąpił jej swoje krzeselko, sam zakrzętnął się i po chwili przyniósł jakiś taboret.

- Umówiłam się tu z Ireną, ale nie przyszła jeszcze, więc postanowiłam wam trochę poprzeskadzać - mówiła Hanka rzucając ciekawe spojrzenia na Szczęsnego. - Tak poważnie rozmawialiście...

- Widzi pani, jestem lekarzem, a pan Kania prokuratorem, oba zawody bardzo poważne. Dla mnie to, co mówi prawnik, jest mało znane i ciekawe.

- A ciebie, Sławku, interesuje medycyna? - zdziwiła się przyjmując podawanego jej papierosa.

- Medycyna interesuje każdego Polaka, moje drogie dziecko. Powiedz mi lepiej, jak ci poszły egzaminy? Hanka studiuje chemię na uniwerku - rzucił Szczęsnemu w formie wyjaśnienia. - Trzeci rok.

- Jeszcze nie poszły, dopiero się zaczynają - westchnęła. - Akurat dzisiaj miałam jeden. Ale zdałam na „dobrze”, więc jestem w wesołym nastroju. Swoją drogą, na to konto mógłbyś, Sławku, postawić kielicha. Jakiś wermut albo likier...

- Służę ci! - zatrzymał przechodzącą kelnerkę, zamówił istrę i ciastka. - Powiedz, Haneczko, a o co cię pytali?

Skrzywiła się.

- Ech, nie chce mi się o tym mówić. Żywnice epoksydowe, sztuczny kauczuk i takie tam... Ciekawe, że dzień przedtem oglądałam to u jednego ze znajomych.

- Coś oglądała? - zdziwił się Kania.

- Sztuczny kauczuk amerykański, tak zwany neopren.

Czarne oczy Szczęsnego błysnęły na moment i skryły się pod powiekami.

- Jak wygląda taki kauczuk? - spytał z żartobliwym uśmiechem. - Można z niego robić na przykład kalosze?

- Niech pan się nie śmieje - zaprotestowała z oburzeniem. - Neopren to droga rzecz i bardzo potrzebna w przemyśle. U nas tego dostać nie można. Właśnie... - urwała. Kapitan nie spuszczał z niej wzroku.

- A któryż to z twoich znajomych ma takie zagraniczne cuda, Haneczko? - rzucił Kania. - Czyżbyś odwiedzała go w mieszkaniu?

Roześmiała się. Był wyraźnie zazdrosny. A myślała, że mu dawno przeszło.

- Nie wolno? - rzuciła lekko. Ubawiło ją jego wyraźne zmieszanie.

- Mój Boże, nie mam żadnego prawa... Pewnie któryś z kolegów chemików zabawiał się w wolnych chwilach produkowaniem kauczuku. Uważaj, żeby domu nie wysadził w powietrze razem z tobą.

- To nie kolega i nie chemik. Ma wspaniały samochód i... A w ogóle widzę, że jesteś zazdrosny.

Nie myśl, że ci zdradzę jego nazwisko.

- Przepraszam - powiedział nagle Szczęsny - miałem zadzwonić do żony. Zaraz wrócę.

W szatni odnalazł telefon, połączył się z komendą i umówionym szyfrem poprosił do aparatu dyżurnego oficera ze swego wydziału. Mówił cicho i na pozór niezrozumiale, dla tamtego jednak wszystko było jasne.

- Cioci rączki ucałuj - zakończył kapitan, odkładając słuchawkę, a dyżurny zanotował w tym momencie: „Pośpieszyć się”.

Wróciwszy do stolika, Szczęsny rozpoczął tak wyraźny, a jednocześnie niezdarny podbój serca rudej studentki, że ubawiony Kania pomyślał w pewnej chwili: „Przystojny to on jest, ale wobec kobiety zupełny tuman”. Hanka zaśmiewała się i podrwiwała z zalotów niespodziewanego adoratora, mrugając do Kani zupełnie ostentacyjnie. Ani ona, ani prokurator nie zwrócili też uwagi na młodego mężczyznę w kolorowej koszuli, z twarzą bezbarwną i nijaką, który usiadł niedaleko nich i natychmiast zasłonił się płachtą gazety. Tylko Szczęsny od tej chwili jak gdyby oklapł w swej adoracji, przycichł, zdawało się, że jego inwencja w tym kierunku została wyczerpana.

- O, jest Irena! - ucieszyła się Hanka, znudzona już widać towarzystwem obu mężczyzn. Kania spojrzał na zegarek.

- Na mnie czas - podniósł się z krzesła. - Pan zostaje?

- Nie, żona prosiła, żebym coś kupił, a niedługo zamkną „Delikatesy”. Wobec tego zostawiamy paniom stół do dyspozycji.

Uregulowali rachunek, pożegnali się i wyszli.

- Zabawny facet - powiedziała Hanka do swej znajomej. - Jakiś lekarz, pewnie z prowincji. Ale posłuchaj, jaką miałam wczoraj wspaniałą przygodę!...

Po godzinie, kiedy obie wychodziły z kawiarni, młody mężczyzna w kolorowej koszuli również wstał i wyszedł za nimi. Na rogu ulicy rozstały się, Hanka szła Marszałkowską. W pewnej odległości za nią, wodząc roztargnionym wzrokiem po przechodniach, podążał mężczyzna z kawiarni.

W kilka dni później ten sam człowiek położył przed kapitanem Szczęsnym na biurku notatkę służbową:

„Andrzej Bryja, lat trzydzieści sześć, właściciel warsztatu samochodowego na Pradze-Południe, ulica Ciesielska czternaście. Zatrudnia trzech

pomocników, płaci dobrze, są ubezpieczeni. Rozległe kontakty towarzyskie i znajomości. Nieżonaty, często przyjmuje kobiety w mieszkaniu przy ul. Podskarbińskiej czterdzieści dwa. Z podatkami nie zalega, wydział finansowy nie ma do niego pretensji. Nie karany. Społecznie nie udziela się, aczkolwiek chętnie daje na różne cele. Wiadoma osoba odwiedziła go ostatnio w dniu wczorajszym, to znaczy we środę, około godziny dziewiętnastej i pozostała w mieszkaniu do północy”.

- I pozostała do północy... - szepnął do siebie Szczęsny z lekkim uśmiechem. - Przedtem prokurator, teraz właściciel warsztatu. Ciekawym, kto będzie następny.

Złożył notatkę i wsunął ją do teczki opatrzonej nic nie mówiącym napisem: „Sprawy dodatkowe”.

*

Wszystkie stoliki były obsadzone graczami. Mężczyzna szczupły, o ciemnych, ukośnie biegnących brwiach stanął w progu i skrzywił się niechętnie. Stojąc tak, ugiął się lekko na nogach i długimi, wąskimi palcami strzepywał co chwila w powietrzu; był to jego tick nerwowy.

Gospodarz przyjrzał mu się z uwagą; nie, mógł się nie obawiać. „Hrabia”, chociaż wstawiony, nigdy nie robił awantur.

- Jeden głębszy? - zaproponował uprzejmie, pokazując na bufet.

- Dziękuję, panie Antoni - „Hrabia” potrząsnął przecząco głową. - Może później.

Przesuwał się ostrożnie pomiędzy stolikami, szukając wolnego miejsca. Jedyne krzesło stało obok inżyniera Maliniaka. „Hrabia” zawahał się; z tymi partnerami jeszcze nie grał i nie był pewien, czy mu na to pozwolą. Postąpił niepewnie parę kroków, napotkał spojrzenie Bryi i uśmiechnął się pytająco. Andrzej poznał go.

- Siadaj pan - rzucił, nie odrywając wzroku od kart. Nie siedł teraz, ale pochłaniała go rozgrywka między tamtymi.

- Gram - mruknął Zdanowicz, oblizując zaschnięte wargi.

Nos Maliniaka poczerwieniał.

- Dwie.

- Trzy.

Oziębło oczywiście odpadł przy otwarciu.

- Ten zawsze tchórzy. Człowieku! - krzyknął Bryja, zajrzawszy w jego karty. Napotkał wymowne spojrzenie „Hrabiego” i odpowiedział mu takim samym. Oziębło odpadał zwykle ze strachu.

- No, dobra - Zdanowicz obojętnie zgarnął pulę i obrzucił magazyniera drwiącym spojrzeniem. - Życie pan przegra z takim charakterem.

„Już przegrałem” - pomyślał Oziębło patrząc ponuro na stos banknotów, ale nic nie powiedział.

Ktoś stanął w drzwiach, a potem lekko utykając zbliżył się do ich stolika. „Hrabia” uniósł wzrok. Zobaczył szczupłego, starego człowieka w niebieskich okularach, z twarzą pooraną bruzdami i nieruchomą. Bryja popatrzał również i zrobił ruch, jakby chciał unieść się z krzesła, ale doktor Hacen położył mu rękę na ramieniu.

- Grajcie dalej - rzekł cicho. - Poczekam.

Oddalił się w głąb mieszkania tak szybko, że „Hrabia” nawet nie zorientował się kiedy.

- Profesor nie gra? - strzelił na ślepo. Nikt mu nie odpowiedział, więc na tym poprzestał. Przebierał palcami na brzegu stolika, marszcząc nerwowo brwi i krzywiąc twarz.

- Panowie, za dziesięć minut kończymy - odezwał się Zdanowicz.

- Tak. Nie powinien długo czekać. Jutro wyjeżdża.

- Leci czy „Batorym”?

- Leci, wraca „Batorym”.

- Cóż to za kombinacja? - Maliniak wzruszył ramionami.

- Tak mu się lepiej układa. Przestań pan stukać! - zdenerwował się Zdanowicz, patrząc niechętnie na wykrzywioną twarz „Hrabiego”.

- Przeszkadzam, mogę iść - mruknął, dźwigając się z krzesła. Podszedł do bufetu, zamówił kieliszek koniaku, pił wolno, małymi łykami, wstrząsając się po każdym nerwowo.

- Cóż to za łajza - mruknął Maliniak. - Nie wiem, po co Antoni go toleruje.

- Ech, taka nieszkodliwa pijanica. No, idziemy.

Doktor Hacen czekał na nich jak zwykle, zanurzony w wiklinowym fotelu pod oknem. Ostatnie transakcje poszły wyjątkowo łatwo i bez kłopotu; następna partia miała nadejść za trzy tygodnie, ale Hacen od razu uprzedził, że w tym czasie jeszcze go w kraju nie będzie.

Bryja machnął ręką lekceważąco; „źródło” było już znane, droga przetarta. Zaofiarował się sam to załatwić. Po krótkiej dyskusji zgodzili się; Zdanowicz dodał, że ceny ostatnio podskoczyły.

- Na sześciu, to wypada... - zaczął i nagle umilkł.
- Na pięciu - poprawił go Maliniak.

Nastąpiła chwila ciszy. Nie odparty niczym fakt, że po śmierci Raczka na każdego z nich przypada więcej pieniędzy, utrudniał nieco żal po śmierci partnera.

- Kolego Zdanowicz, a ile to będzie na czterech?

W głosie Andrzeja Bryi była wyraźna drwina. Doktor Hacen obrócił na niego swoje błękitne okulary i patrzył tak długą chwilę.

*

- Kapitanie, jeden z nich jutro wyjeżdża. Żaden z czwórki pokerzystów, ale taki stary, siwy, w niebieskich okularach, który dotychczas rzadko się pokazywał. Pamiętajcie, raz kiedyś powiedziałem wam, że mi się ten facet nie podoba. Okazuje się, że jest między nimi jakieś powiązanie. On wyjeżdża za granicę.

- Dokąd?

- Nie wiem, ale to jest tak ułożone: on w pierwszą stronę leci samolotem, a wraca „Batorym”. Cholernie źle, że nie znam jego nazwiska. Da się to chyba ustalić?

- Mówicie, że wraca „Batory”? Wyglądałoby to na Anglię. „Batory” zatrzymuje się w Southampton, tam zabiera jeszcze pasażerów do Kanady i po kilku tygodniach wraca zatrzymując się znowuż w Southampton, więc tam by gość musiał wsiadać.

- „Batory” nie płynie przez Kanał Kiloński?

- Nie. Prawda, wobec tego facet może również jechać do Danii. Nic więcej nie wiecie?

- Ja nawet wyszedłem za nim po grze, ale... nie wiem, albo nie wyszedł z tego domu, albo coś wyniuchał i umknął tylnym wyjściem, tam można przez dwa podwórza i na inną ulicę. Samemu ciężko, kapitanie. I mógłbym podpaść.

- Mało czasu. Ogromnie mało czasu, żeby coś zdziałać.

- Myślę, kapitanie, że to jest u nich taki ważniejszy gość. Liczą się z nim, chyba nie tylko dlatego, że stary. Oni się z nim spotykają w tym ostatnim pokoju, jak już kiedyś mówiłem.

- Wszystko możliwe, ale właściwie nie mamy żadnych, absolutnie żadnych podstaw, aby go zatrzymać, jeżeli bym nawet dowiedział się, kto to jest. Trudno; jedyna rada, to żebyście jutro od świtu do wieczora tkwili na lotnisku. Ja też tam będę i w razie czego wam pomogę. Mnie się jednak zdaje, że

większą uwagę trzeba by skierować na czwórkę pozostałych. W końcu, to z nimi grał Malecki, z nimi kontaktował się Raczek. A jeżeli w mieszkaniu Bryi był kawałek skradzionego kauczuku, to wszystko to może mieć ze sobą powiązanie. Kradzież i morderstwa.

- Bardzo przyjemne powiązanie. Nie dałbym trzech groszy na przykład za tego Maliniaka, że nie sprzątnął już kogoś w życiu. Albo za Zdanowicza. Tamci to chyba nie, a ten siwy to stary i kulawy, więc też odpada. Może się pozarli o pieniądze i jeden drugiego uziemił. Dobrze, będę od rana na lotnisku. Gdzie was znajdę, bo będę musiał się ucharakteryzować, więc moglibyście mnie nie poznać.

- U dyżurnego, na górze. Zawsze was poznam. Ale powiedzcie, że w sprawie jelonka.

- Jelonka? Dobrze, może być jelonek.

*

Porucznik Wojsk Ochrony Pogranicza, szczupły, w dobrze dopasowanym mundurze i ciemnych okularach na opalonej twarzy, spojrzął do swego kalendarzyka, po czym jakby od niechcienia wolnym

krokiem podszedł do drzwi wychodzących na płytę lotniska.

- Pasażerowie jadący do Kopenhagi i Londynu proszeni są o udanie się do samolotu - śpiewnie powiedział megafon.

Grupa osób rozproszonych po budynku skupiła się przed drzwiami wyjściowymi; ktoś śpiesznie kończył kawę przy bufecie, ktoś inny żegnał się długo i czule. Porucznik WOP obserwował to wszystko z pobłażliwym uśmiechem. Z takim samym uśmiechem odprowadzał wzrokiem każdego pasażera, który wychodził na płytę lotniska. Nie ruszył się z miejsca, dopóki Super Constellation nie wystartował, wtedy znów popatrzył w kalendarzyk. Był to już drugi tego dnia samolot do Londynu. Pozostały jeszcze dwa, ale następny odlatywał dopiero za trzy godziny.

Oficer udał się więc do bufetu, zamówił obiad. Miał ogromną ochotę poprosić kelnera o przyniesienie czegoś mocniejszego, ale przypomniał sobie o mundurze. Mogło to zwrócić uwagę innych wojskowych.

- Cholera! - zaklął pod nosem. Kelner, stawiając przed nim talerz z pomidorową zupą, rzucił na oficera szybkie, fachowe spojrzenie i powiedział nachylając się nad stolikiem:

- Może filiżaneczkę?...

Porucznik spojrział na niego ze zdumieniem.

- Filiżaneczkę? - powtórzył niepewnie. I nagle twarz mu się rozjaśniła. - Oczywiście - odparł śpiesznie. - Jak najmocniejszą filiżaneczkę. Może być fajansowa - dodał nedorzecznie i obaj roześmieli się.

W grubej filiżance do barszczu kelner przemycił sto gramów; porucznik stwierdził, że jakoś wytrzyma do wieczora albo jeszcze raz zamówi „barszcz”.

Kiedy megafony zapowiedziały trzeci samolot w kierunku Kopenhagi i Londynu, WOP-ista znowu tkwił przy drzwiach, którymi wypuszczano pasażerów na płytę lotniska. Potem, z twarzą nieco zafrasowaną, powlókł się na fotel pod oknem w poczekalni.

Ostatni samolot odlatywał o dziewiątej wieczór. Tym razem porucznik - po krótkiej, lecz gwałtownej wymianie zdań z celnikiem - stanął tuż obok schodków przystawionych do samolotu. Była to angielska maszyna, ogromny Caravelle, lecący via Londyn do Montrealu. Pasażerowie, w większości cudzoziemcy, zmęczeni lub rozgadani, uśmiechnięci i zasępieni, jak tam komu wypadło, wchodzili ostrożnie po schodkach, a porucznik niemal

arogancko zaglądał im w twarze, przy czym - ku zdziwieniu obsługi - interesowali go tylko mężczyźni.

Wreszcie ostatni z mężczyzn znikł w kabinie, trzasnęły drzwi, obsługa pośpiesznie zabrała schodki. Zahuczały motory.

- Poruczniku, proszę się odsunąć - upomniał go któryś z mechaników.

Caravelle wystartował. Oficer, z twarzą zdziwioną i zakłopotaną, upewnił się jeszcze, że to ostatni samolot w interesującym go kierunku, a potem udał się do dyżurnego. Zatrzymującemu go wartownikowi mruknął hasło, wszedł do pokoju i zapytał o kapitana Szczęsnego. Pokazano mu następne drzwi.

Szczęsny w towarzystwie jakiegoś pilota przeglądał najświeższy numer amerykańskiego miesięcznika motoryzacyjnego. Na widok wchodzącego odłożył pismo. Pilot pokręcił się i znikł w drugim pokoju, zamykając drzwi za sobą.

- Kłapa, kapitanie - rzekł WOP-ista, zdejmując okulary i rzucając je na stół. - Nie poleciał.

- Przyglądaliście się im uważnie? - Szczęsny był zmartwiony. Tyle zmarnowanego czasu!

- Na chama. Na pewno nie poleciał. Jeszcze się dowiem, czy ktoś w ostatniej chwili nie przesunął sobie lotu na jutro. Poczekajcie.

Ale okazało się, że nic takiego nie zaszło. Wszyscy pasażerowie, którzy wykupili na ten dzień bilety, byli już daleko poza Warszawą.

- W takim razie - stwierdził Szczęsny - to jednak nie miała być Anglia ani Dania. Albo też gość zachorował i nie zdążył odwołać lotu.

- Albo go zamordowali - dodał porucznik z kwaśną miną. Szczęsny zachnął się, zagryzł wargi.

- Idźcie do tej spelunki - zdecydował. - Może któryś z czwórki wygada się, co zaszło.

Porucznik westchnął, nałożył czapkę, wstał.

- Czekaście, podwiozę was do domu. Mam tu swój motor.

- Dorobilibyście się wreszcie samochodu - sarknął w chwilę później WOP-ista lokując się na wąskim siodełku jawy. - Choćby do wożenia znajomych.

- Przyzwyczaiałem się. Z samochodem większy kłopot. A znajomi mogą jeździć tramwajem. - Szczęsny był zły.

Gdzieś o trzeciej rano z głębokiego snu wyrwał go uporczywy telefon. Zanim wymacał słuchawkę, niespokojna myśl przeszła go jak igła: „Zabito tego starego, siwego...” Zapalił lampkę przy tapczanie i powiedział:

- Szczęsny... Kogo zabili?

- Nikogo, kapitanie - usłyszał znajomy głos. - Ale ten kulejący, w niebieskich okularach, jednak poleciał.

- Cholera! Przeoczyliście go.

- Jak pragnę awansu! Wykluczone. Dowiedziałem się jeszcze dzisiaj, Maliniak się wygadał, że ten stary to lekarz. Mówią o nim doktor.

- Może być doktor prawa. Albo ekonomii. Co mówili o wyjeździe?

- Jeden się spytał, kiedy doktor właściwie wraca, bo dokładnie nie powiedział. A na to Zdanowicz, że nie musiał mówić, bo wróci „Batorym”, a o tym cała prasa zawsze pisze. Wiecie, „Batory” powrócił z kolejnego rejsu, przywiózł na pokładzie, i tak dalej. Kapitanie, może on jednak pojechał pociągiem.

- Dopóki nie dowiecie się jego nazwiska, będziemy ciągle działać na ślepo. Spróbuję jutro zapytać, czy ktoś z warszawskich lekarzy nie brał ostatnio paszportu do Londynu lub Kopenhagi. Może da się ustalić w przybliżeniu, według rysopisu. Utyka, siwy, niebieskie okulary, to są dość charakterystyczne cechy... - Nagle zamyślił się.

- Halo? - spytał zdziwiony głos.

- Jestem, jestem. Przyszło mi na myśl, czy nie udałoby się wkręcić do tej karciami kogoś, aby wam

pomógł.

- Nie, kapitanie. To długa i ciężka historia, lepiej nie ryzykować, bo wszystko się popsuje. Mnie już znają, przyzwyczaili się. Będę się starał wyciągnąć z tej czwórki, ile tylko się da. Może macie rację, że nie warto sobie głowy zawracać doktorem, kiedy całość sprawy pozostaje tutaj, na miejscu. Zadzwonię jutro. Dobranoc.

Szczęśny odłożył słuchawkę. Chciało mu się pić, więc wyciągnął z kuchennej szafki butelkę piwa. Długo szukał otwieracza, wreszcie zerwał kapsel o kant stołu. Piwo było letnie, pił je z niechęcią, ale woda z kranu była jeszcze gorsza, smakowała chlorem, fenolem, Bóg wie czym. Zapalił, wrócił do pokoju i wyciągnąwszy się na tapczanie rozmyślał, wytrzeźwiony telefonem. Jego rozmówca na pewno nie przegapił kulejącego doktora. Rzecz polegała więc na czymś innym.

*

Nad Kanałem la Manche zaczęło mocno rzucać. Stewardessa Polskich Linii Lotniczych uśmiechała się do pobladych twarzy; taki uśmiech pomagał więcej niż koniak lub pigułki. Te ostatnie zresztą też rozdawała.

Wyciągnął się w fotelu i żuł miętowego cukierka, spoglądając raz po raz w dół, na wzburzone, szare fale Kanału. Jego sąsiad był handlowcem z Niemiec Zachodnich; zdążył już opowiedzieć to i owo o swoich sukcesach w branży kosmetyczno-mydlarskiej i teraz podsuwał mu pod nos plik kolorowych prospektów reklamowych.

Odparł żartobliwie, że jemu to niepotrzebne. Sam nie używa, żony nie ma, na kochanki go nie stać. A w każdym razie, na zagraniczne kosmetyki dla kochanek.

Niemiec zaśmiał się, a potem pokazał palcem na rysunek w prospekcie, przedstawiający wytwornego pana z bujną czupryną. Napis w kilku językach głosił, że płyn na porost włosów, marki Schilkrauzena, gwarantuje takie uwłosienie w przeciągu najdalej trzech miesięcy.

- Mnie już nie pomoże - zastrzegł się.

Niemiec zamachał rękami z oburzeniem. Firma Schilkrauzen zwraca pieniądze, jeżeli po tym terminie włosy nie wyrosną. Oczywiście, jeżeli stosuje się ten cudowny środek ściśle według przepisu.

Przekomarzali się tak, aż samolot zatoczył długie koło nad londyńskim lotniskiem. Nad drzwiami do

kabiny pilotów zabłysło czerwone światełko przypominające o zapięciu pasów i niepaleniu. Pasażerowie, zmęczeni kołysaniem, ożywili się. Wszyscy mówili teraz, że lot był bardzo przyjemny i wcale nie „rzucało”.

Wychodził jako jeden z ostatnich, żegnany – jak i tamci – uprzejmym uśmiechem stewardessy. Zbiegł ze schodków, pożegnał ją jeszcze z dołu kiwając ręką, po czym rażnym krokiem udał się do budynku, gdzie urzędowali celnicy.

Nie trwało to długo. Flegmatyczny Anglik, po niedbale rzuconym pytaniu o wódkę i papierosy, postawił na walizce kredą biały krzyżyk, znak dokonanej odprawy celnej.

Wyszedł przed budynki portu lotniczego rozglądając się z zaciekawieniem. Był tu bardzo dawno temu, ale na oko nic się nie zmieniło. Postanowił wziąć taksówkę, choć wiedział, że będzie to kosztowało parę funtów. Niemal z rozrzewnieniem popatrzał na czarne, staromodne limuzyny z kierownicą po prawej stronie i otwartym miejscem na bagaż obok szofera.

- Numer trzy, Wharfe Dale - powiedział do kierowcy, starając się mówić wyraźnie i powoli. Jego angielszczyzna nie była najlepsza.

Anglik oczywiście nie zrozumiał, potem zaś nie wiedział, gdzie to jest. Wyjaśnił, że przy Earls Court, niedaleko ogromnej kopuły, gdzie corocznie odbywała się wystawa samochodowa. Cierpliwie tłumaczył, że w dzielnicy Kensington, w końcu wyjął plan Londynu i pokazał palcem.

- O, yes! Wharfe Dale - powiedział kierowca, akcentując to zupełnie inaczej. - Dlaczego pan tak od razu nie mówi? Mieszkam obok, na Finborough Road.

Umilkł, skonsternowany. Okazało się, że jego akcent pozostawia wiele do życzenia.

Jechali długo przez zatłoczone o tej przedwieczornej porze ulice Londynu. Po Warszawie przyciągały wzrok bajecznie kolorowe wystawy, zwłaszcza księgarnie i sklepy z wyrobami ze sztucznego tworzywa. Pomyślał, że trzeba będzie niektórymi zainteresować się bliżej. Dobrze, że ma trochę waluty w jednym z londyńskich banków. Nie jest to zbyt dużo, ale na przyjemny kilkutygodniowy pobyt wystarczy.

Zajechali wreszcie na maleńką uliczkę Wharfe Dale, zastawioną wbrew przepisom po obu stronach samochodami. Zapłacił, potem popatrzał na zegarek. Znajomy był uprzedzony, powinien o tej porze

znajdować się w domu. Poszukał oczami dzwonka, ale w tej samej chwili drzwi nad kamiennymi schodkami otworzyły się i stanął w nich tęgi mężczyzna w okularach.

- Jak się pan miewa? Witam w londyńskich progach - powiedział po angielsku i nie śpiesząc się, zszedł na chodnik. Odebrał od niego walizkę i uprzejmym, acz nie wylewnym gestem zaprosił na górę. - Hotel ma pan zarezerwowany - rzekł, kiedy usiedli przy szklaneczkach whisky. - O interesach będziemy mówić jutro. Dziś niech pan wypoczywa. Mam tutaj wóz, to odwiozę pana później do hotelu. Jaka w Warszawie pogoda? Bo u nas od dwóch dni popsuała się. Chłodno i pada.

Póki się dało, rozmawiali o pogodzie. Wreszcie, widząc, że gospodarz może na ten temat jeszcze z godzinę, wstał i poprosił o odwiezienie. Anglik zgodził się chętnie; widocznie i on miał dosyć gościa na ten wieczór. Wyszli na podwórze, gdzie stał niski, granatowy jaguar.

- Piękny wóz! - zachwycił się szczerze.

- Niebrzydki - zgodził się właściciel z pewną dumą.

Pokój w hotelu był zimny i trochę ponury, ale wygodny, cena umiarkowana. Na dole w restauracji

zjadł befsztyk z jadowicie zielonym groszkiem i smażonymi kartoflami, potem wyszedł jeszcze trochę na miasto, ale piekielny ruch i duszne powietrze, przesiąknięte zapachem spalin i benzyny, zmęczyły go szybko. Wrócił więc do hotelu. W barze wypił na stojąco jeszcze jedną whisky and soda, a potem koniak.

Bał się, że nie zaśnie, ale usnął dość szybko. Sen miał mocny.

*

Starszy z monterów wyjrzał na dziedziniec i rzekł do Bryi:

- Klient, szefie. Jakiś obcy.

Bryja wyszedł przed warsztat. Na widok samochodu oczy mu zabłyśły. Był to biało-granatowy citroen, jeden z ostatnich modeli, niski i długi jak cygaro, wyścigowy wóz. Miał francuskie znaki rejestracyjne.

Z samochodu wydostał się niemłody, wytworny pan ze srebrzystą muszką pod brodą, w przeciwsłonecznych okularach. Łamaną polszczyzną poprosił o przejrzenie motoru; coś podejrzenie w nim stukało.

- Dobrze - Andrzej skinął głową i sam zabrał się do naprawy. Sprawiało mu przyjemność zajmować się tak piękną maszyną; wolał zresztą nie powierzać jej swoim pomocnikom.

Zagraniczny gość zrzucił marynarkę i gorliwie pomagał, choć Bryja uprzejmie usiłował go od tego powstrzymać. Wytworny pan nie miał pojęcia o mechanizmie swego wozu.

- U nich to tak jest - mruknął starszy monter do pomocnika - umieją tylko jeździć, ale z byle głównem lecą do stacji obsługi. Byłem we Francji, to wiem.

Naprawa nie wymagała wielkiego zachodu; po kwadransie samochód był gotów do jazdy. Andrzej zaprosił właściciela do kantorku na papierosa. Francuz poczęstował go pall-mallami, po czym zwierzył się, że w Polsce ma ciągle kłopoty z naprawą. W państwowych stacjach obsługi dają niemożliwe terminy i zawsze brak im części. Bryja zaproponował: u niego można naprawić wóz z miejsca, chyba że rzecz wymaga naprawdę dłuższego czasu. A części jakoś się znajdą.

Wytworny pan podziękował. Przy okazji wyjaśnił, że jest we Francji właścicielem wytwórni fenoplastów i innych wyrobów chemicznych. Ma nawet ze sobą próbki. Przyniósł je z samochodu i

rozłożył na stole, wyjaśniając, co do czego służy i co się da z tego zrobić. Andrzej słuchał z dużym zainteresowaniem. Niejedno z tego bardzo by się przydało, oczywiście w większej ilości.

Pan zastanowił się przez chwilę. Jak już będzie opuszczał ten miły i gościnny kraj, pozwoli sobie zaofiarować właścicielowi warsztatu wszystkie próbki. Ma ich sporo w hotelu.

- Bardzo dziękuję - odparł Bryja z zadowoleniem.
- Wzajemnie, proszę do mnie wstępować, ilekroć coś w maszynie będzie „stukąło”.

Przyjął niewielką sumę za naprawę, nie chciał więcej, mimo iż tamten wciskał mu do ręki setkę. Był zdania, że ta znajomość warta jest więcej niż nawet kilka setek, dlatego należy wywrzeć jak najlepsze wrażenie na cudzoziemcu.

Wytworny fabrykant był wyraźnie zażenowany. Obiecał, że wstąpi na pewno z próbkami, nawet jeszcze przed wyjazdem z Polski. Niektóre wyroby nie były mu już potrzebne. W rezultacie umówili się na kolację w Grand Hotelu na następny dzień.

- Szefie - odezwał się pomocnik, kiedy samochód znikł już za rogiem ulicy - dlaczego pan wziął tak mało forsy? Setka przecież piechotą nie chodzi. Ci zagranicznicy to mogą płacić.

- Głupiś - odparł krótko Bryja, wracając do kantorku.

A starszy monter rzekł pouczająco:

- Nigdy nie rób uwag swemu szefowi. Kto wie, co on tam miał na myśli, kiedy wziął tylko sześćdziesiąt złotych. Może jakieś swoje sprawy, które ciebie i mnie nie powinny interesować. Zarabiasz u niego i tak dużo więcej niż gdzie indziej. Bądź zadowolony i siedź cicho.

Pomocnik pomyślał, że to prawda. Bryja był szefem wymagającym, ale sprawiedliwym i płacił dobrze. Za te pieniądze można było nie widzieć i nie słyszeć wielu rzeczy, które się tu odbywały.

Tej nocy Andrzej Bryja, całując rude, wijące się włosy Hanki, myślał jednak nie o niej, lecz o francuskim właścicielu fabryki tworzyw sztucznych. Gdyby dało się nawiązać bliższy kontakt...

Dziewczyna wyczuła rezerwę swego partnera i była urażona. Pokrywał jej twarz pocałunkami, zastanawiając się jednocześnie, czy przy pomocy kontaktu z fabrykantem nie dałoby się zorganizować wyjazdu do Paryża. Tęsknił już za tym miastem.

- Andrzej, ty wcale nie słuchasz! - zawołała gniewnie.

- Słucham, dziecino - przytulił ją do siebie - tylko jestem dziś trochę nie w formie. Głowa mnie boli od rana.

- To po coś się umawiał? Byłabym przyszła kiedy indziej. Nie lubię, jak jesteś myślami gdzieś daleko...

- Jestem każdą myślą przy tobie - zapewnił ją gorąco. Na taką okazję miał zawsze duży wybór ciepłych słów i zwrotów, niczym doskonały automat.

Rozdział 5

Naczelnik powiódł wzrokiem po zebranych i zakończył z nagłym porywem optymizmu:

- Mimo tych trudności, towarzysze, jestem pewien, że wykonamy plan czerwcowy w terminie, obywając się bez godzin nadliczbowych. W ubiegłym roku mieliśmy daleko gorszą sytuację, a jednak wszystko skończyło się dobrze. Ufam, że i teraz resort na nas się nie zawiedzie. Nasz kraj wymaga od nas wielu ofiar i wysiłków.

Nazywało się to „działaniem na ambicję” i przechodziło bez wrażenia. Pracownicy Biura Projektów przyzwyczaili się już do swego naczelnika, darowując mu wspaniałomyślnie wszelkie slogany i hasła, którymi ich obficie częstował. Plan wcale nie był zagrożony, kraj wymagał po prostu dobrej roboty, a godzin nadliczbowych – gdyby nawet okazały się potrzebne – w ogóle nie brano pod uwagę, gdyż resort w tym roku skreślił je z budżetu. Wszystko szło więc swoją koleją, a naczelnik musiał się wygadać.

Kiwali aprobująco głowami, spoglądając ukradkiem na zegarki. Sekretarz organizacji partyjnej, energiczny młody człowiek, mruknął nieosobowo, że w pokojach pełno interesantów, kogoś innego wywołano do telefonu, bo dzwonili z ministerstwa w ważnej sprawie. Naczelnik zakończył więc naradę, zadowolony z siebie i podwładnych.

Starszy księgowy Jerzy Zdanowicz wrócił do swego pokoju, który z racji dość poważnego stanowiska zajmował sam. Na biurku czekały teczki z rozliczeniami i wielkie arkusze pracowicie wypełniane przez pracowników księgowości. Trzeba było to wszystko sprawdzić, opatrzyć własnym podpisem, skorygować niejedno, odesłać wyżej, do naczelnika. Zdanowicz zagłębił się w robocie.

Pracował szybko, z ogromną wprawą; jego bystre, ciemnoniebieskie oczy natychmiast wyławiały każdy błąd, każde niedopatrzenie któregoś z urzędników. Chwilami krzywił się lekko, jeżeli błąd należał do poważnych. Ci młodzi pracownicy byli czasami zupełnie nieodpowiedzialni.

Ktoś zapukał do drzwi, potem uchylił je ostrożnie.

- Proszę - rzekł, nie odrywając wzroku od arkuszy uposażeniowych.

Mężczyzna o bladej, jakby nalanej twarzy i oczach pełnych niepokoju stanął w progu. Zdanowicz spojrział na niego przelotnie, potem powiedział z niezadowoleniem:

- Interesantów przyjmuję od jedenastej, przecież na drzwiach wisi kartka. Teraz jestem zajęty.

- Ja w innej sprawie - odparł mężczyzna. Postąpił kilka kroków, obejrzał się na boczne drzwi, ale były zamknięte. - To bardzo pilne.

- Co to znaczy: w innej sprawie? Ja nie mam czasu, niech pan poczeka do jedenastej. Przecież pan widzi - wymownym ruchem pokazał na leżące przed nim papiery.

- Ja nie o tym... Mnie się bardzo śpieszy, panie Zdanowicz.

W głosie przybysza było coś, co zaintrygowało starszego księgowego. Odłożył pióro i ruchem ręki wskazał krzeselko.

- Słucham pana, o co chodzi? Ale uprzedzam, że mam bardzo mało czasu, więc niech pan się streszcza.

Obcy usiadł, rozejrzał się po pokoju, jakby zbierając myśli.

- Mnie chodzi o doktora - rzekł ścisząc głos. - Muszę się z nim jak najszybciej zobaczyć, a w domu

go nie ma od paru dni. Może pan wie, kiedy wraca?

Zdanowicz oparł się o poręcz krzesła i wsunął rękę w kieszenie spodni. Nie odrywał wzroku od napuchniętej twarzy przybysza.

- Jakiego doktora? - spytał spokojnie.

Obcy uśmiechnął się przelotnie.

- Niby to pan nie wie... - mruknął.

- Chodzi panu o jakiegoś lekarza? Bo nie rozumiem. Kto pana do mnie przysłał?

- Właśnie on. To znaczy, mówił, że jakby coś nie tego... wie pan, to pan już będzie wiedział. A ja mam dla doktora informację. Chodzi o te wołgi. Wie pan, samochody.

- W dalszym ciągu nie rozumiem. Co ma lekarz do samochodów? I o kogo panu właściwie chodzi? Tutaj jest Biuro Projektów, ale nie Przemysłu Motoryzacyjnego. A ja żadnych prywatnych interesów nie załatwiam podczas pracy.

- Panie Zdanowicz, co się będziemy kiwać - mężczyzna znów się uśmiechnął. - Mój brat w Gdańsku pomagał doktorowi w sprzedaży tych zagranicznych chemikali, co to przyszły w początkach maja. No, te zabrane z wagonów... Ja swój człowiek, pan się nie musi mnie obawiać. Tylko

tak się teraz złożyło, że muszę wiedzieć, kiedy doktor wraca, bo mam kupca na dwie wołgi.

Gładko wygolona, różowa twarz Zdanowicza nawet nie drgnęła. W dalszym ciągu siedział nieruchomo, rozparty w krzesle; papieros do połowy wypalony gasł na popielniczce.

- To jakże będzie, panie Zdanowicz? Kiedy doktor wraca?

- Zdaje mi się - odparł w końcu starszy księgowy - że pan się bardzo pomylił. Może jest jakiś inny Zdanowicz, w innym biurze projektów, który zna pańskiego tajemniczego doktora i podejrzane transakcje z samochodami marki wołga. Ja w każdym razie nim nie jestem. Do widzenia panu!

Podniósł się z krzesła, podszedł do drzwi i ostentacyjnie otworzył je na korytarz.

- No, dobra - mruknął przybysz. - Jak pan tam chce. Ale tego kupca to ja stracę. Tylko to już nie będzie na mnie.

- Do widzenia - powtórzył księgowy.

Zamknął starannie drzwi za obcym mężczyzną, wrócił za biurko i przez kilka minut siedział pogrążony w papierach. Potem wstał nagle, na palcach przeszedł przez pokój i szybkim ruchem otworzył drzwi. Ale na korytarzu nie było nikogo.

Przeszedł się do klatki schodowej, postać chwilę przy windzie i po namyśle zszedł do portierni.

- Panie Kowalczyk - rzekł do woźnego - nie zauważył pan takiego faceta w jasnym prochowcu, blady na twarzy? Nie schodził parę minut temu?

- Taki spuchnięty, jakby od zęba? A schodził. Wyszedł na ulicę. Może co ukradł?

- Nie, nie. Dziękuję panu.

Kupił w kiosku papierosy, zawrócił na górę. Zamknawszy starannie drzwi, ujął za słuchawkę i nakręcił jakiś numer.

- Z panem Bryją proszę... Zdanowicz mówi, dzień dobry. Przysyłał pan do mnie kogoś w sprawie porzeczek?... Ano, był tu przed chwilą jakiś obcy gość, powoływał się na ogrodnika... Nic pan o tym nie wie? Wobec tego może dziś zagramy?... Tak. Jak zwykle. Do zobaczenia.

Odłożył słuchawkę, zastanawiał się przez chwilę, a jego gładkie czoło pokryła sieć drobniutkich zmarszczek. Potem znowu sięgnął po słuchawkę.

- Inżynier Maliniak?... Zdanowicz, dzień dobry. Był u mnie przed kilku minutami nieznajomy facet, w sprawie porzeczek. Powoływał się na naszego ogrodnika. Czy pan... Nie, ja go nigdy nie widziałem... Właśnie to mnie uderzyło, że wymienił

tylko zawód, bez nazwiska... Tak, właśnie umówiłem się z Andrzejem... Do widzenia.

Zabrał się z powrotem do pracy. O jedenastej zaczął się napływ interesantów, potem dyrektor departamentu w ministerstwie wezwał go do siebie w sprawie budżetu i trzymał do końca urzędowania.

O wpół do czwartej Zdanowicz zjadł w domu obiad, wysłuchał wszystkiego, co chorowita żona miała mu do powiedzenia o kłopotach z gosposią i brakach w zaopatrzeniu, po czym położył się na tapczanie i zasnął. Żona zabrała dzieci do ogródka - mieszkali w domku jednorodzinny - aby nie przeszkadzały ojcu w drzemce.

Pod wieczór cała czwórka oglądała program telewizji, a dwunastoletnia Halinka wymogła na ojcu obietnicę nowego zagranicznego adaptera. Wreszcie była kolacja, po której pan domu ucałował dzieci na dobranoc i powiedział do żony, że ma jeszcze na parę godzin roboty w biurze. Westchnęła z żalem.

- Przemęczasz się, kochanie - musnęła wargami jego policzek. - Przygotuję ci kanapki, będą w lodówce.

Wsiadł do swojej octavii pełen sprzecznych uczuć. Był niewątpliwie przywiązany do żony, a zwłaszcza do dzieci, co nie przeszkadzało mu każdego roku

spędzać urlopu z niezrównaną, wciąż pociągającą Ireną o migdałowych oczach i sennym spojrzeniu spod długich, czarnych rzęs. Przyznawał żonie wiele zalet – była dobrą matką, dobrą panią domu, nawet dobrą żoną. Cóż z tego, kiedy uroda jej nie dorównywała w żadnym stopniu jasnowłosej Irenie, która miała ciało o barwie kości słoniowej i kwalifikacje francuskiej kurtyzany.

Prawda, że kosztowała sporo. Tym bardziej ją cenił, im więcej wydawał na nią pieniędzy. Dwa tygodnie urlopu z Ireną to był wydatek dwukrotnie większy niż drugie dwa tygodnie spędzane przykładnie z żoną i dziećmi na Wybrzeżu czy w Zakopanem. A trzeba przyznać, że rodzinie również nie skąpił. Wprawdzie ją zdradzał, lecz był sprawiedliwy.

Zanim zasiedli do gry, przeszli do ostatniego pokoju i Zdanowicz opowiedział raz jeszcze o tajemniczym nieznajomym, który go dziś odwiedził. Zastanawiali się wspólnie, kto to mógł być. Bojaźliwy Oziembło zaproponował nawet, żeby zrezygnować z wołg, ale Bryja bez ogródek nazwał go tchórzem.

W końcu doszli do wniosku, że mógł to być rzeczywiście jeden z paserów, znanych tylko Hacenowi. Skąd by inaczej wiedział nie tylko o

samochodach, lecz również o chemikaliach z wagonów. Wtedy Zdanowicz przypomniał sobie, że obcy powoływał się na Gdańsk. Miał tam mieć brata, również pasera.

- Porozumiem się z Gdańskiem - rzekł Maliniak. - Nie znam wprawdzie tego gościa... Raczek załatwiał zwykle tamten okręg, ale mam adres i nazwisko. Zadzwońię do niego i spytam, czy ma w Warszawie brata.

- Ale nic więcej przez telefon! - przypomniał Zdanowicz. - Zaraz, przecież pan jeździł do Gdańska sprzedawać pierwszą wołgę - zwrócił się do Bryi. - Czy to ten sam paser?

- Nie - odparł Andrzej lakonicznie. Miał w Gdańsku różne kontakty, z którymi wolał się nie zdradzać.

- No, dobrze - księgowy podniósł się z fotela. - Gramy?

Wyszli. Maliniak zahaczył po drodze o kuchnię i zamówił u żony Antoniego mocną kawę z kilkoma kanapkami. Nie jadł obiadu, bo mieli zebranie rady robotniczej, do której należał.

Okolo jedenastej wieczorem, wróciwszy do siebie, zamówił rozmowę z Gdańskiem. Telefonistka poprosiła, aby nie odkładał słuchawki; o tej porze

łączyła od razu. Po kilku minutach odezwał się nieznany męski głos:

- Proszę, Biedrzoń... kto mówi?

- Dzwonię w takiej sprawie - zaczął inżynier, ale tamten przerwał mu szorstko, pytając o nazwisko. Wymienił je niechętnie, dodając, iż swego czasu mecenas Raczek, wspólny znajomy, dał mu numer telefonu.

- Słucham pana - głos był odrobinę uprzejmiejszy.

- Chodzi mi o pańskiego brata, tu, w Warszawie...

- Czy coś mu się stało? - Biedrzoń zaniepokoił się.

- Nie. Wie pan, chciałem tylko sprawdzić, czy pan rzeczywiście ma tutaj brata.

- Mam. Jan Biedrzoń, to mój rodzony brat. A o co chodzi?

- Naprawdę już o nic. Mógłby mi pan tylko podać jego adres?

- Mieszka na Mokotowie... zaraz, jak ta ulica się nazywa... aha, Madalińskiego sześć albo osiem. Ja tam trafiam na pamięć. Chyba osiem. Ma pan z nim jakiś interes?

- Nie! - Maliniak przestraszył się, że tamten rozgada się przez telefon. - Dziękuję panu i przepraszam za tak późną porę. Do widzenia.

Odłożył słuchawkę i połączywszy się ze Zdanowiczem poinformował go krótko o rozmowie. A więc, wszystko było w porządku.

- Chodzić tam nie będę - powiedział Zdanowicz tłumiąc ziewanie. - Ale jeżeli on jeszcze raz do mnie przyjdzie, to postaram się mu pomóc, bo ma, zdaje się, jakieś kłopoty.

Mężczyzna ze spuchniętą twarzą i w jasnym prochowcu pojawił się na progu pokoju starszego księgowego zaraz następnego dnia.

- Przyszło mi na myśl - rzekł bez wstępów - że ja panu nie powiedziałem, jak się nazywam, i dlatego pan nie chciał ze mną rozmawiać. Ja jestem...

- Wiem - przerwał Zdanowicz - Jan Biedrzoń. Niech pan siada, panie Biedrzoń. Mieszka pan na Madalińskiego, tak?

- Pod ósmym - odparł przybysz, wyraźnie uradowany. - Ale skąd pan wie?

- Mniejsza o to. Więc jakie pan ma kłopoty z... - urwał, ściszył głos - z tymi samochodami?

- Kupiec jeszcze nie stracony, bo ja mu wczoraj nic nie mówiłem - uśmiechnął się Biedrzoń. - Jak zobaczyłem, że pan trochę nerwowy, to chciałem przeczekać. To dobrze, że pan tak ostrożnie... Nigdy

nie wiadomo, co w człowieku siedzi. A kłopoty są, ale to już pan doktor musi załatwić.

- Doktor Hacen wraca „Batorym”. Dowie się pan z gazet, kiedy statek przy pływa, ja nie pamiętam. Można zresztą spytać w Polskich Liniach Oceanicznych, na Hibnera. W każdym razie to nie będzie wcześniej niż za dwa, trzy tygodnie.

- Dwa, trzy tygodnie? - powtórzył paser i mina mu się przeciągnęła. - Trochę długo.

- Chwileczkę - rzekł Zdanowicz, któremu coś się przypomniało. - Ale przecież sprzedaż tej wołgi załatwia Bryja.

- Pan Andrzej Bryja? No, ja nic o tym nie wiem. Może chodzi o inne wołgi; moje to mają przyjść za dziesięć dni. I nie jedna, ale trzy. Doktor Hacen kazał mi szukać kupca, to ja znalazłem. Dobry kupiec, zapłaci tyle, ile trzeba. Pan Andrzej może załatwia co innego.

- Może - zgodził się Zdanowicz. Przyszło mu na myśl, że Hacen powinien był przed wyjazdem bardziej wtajemniczyć ich w nowe transakcje. Widzieli go przecież w przeddzień odlotu.

- Ja się jutro dowiem, albo jeszcze dzisiaj, kiedy ten statek przy pływa... to „Batory”, tak? A kupiec poczeka. Do widzenia panu.

Wyciągnął rękę, która wbrew pozorom okazała się muskularna i silna. Na prochowcu miał tłuste plamy, w ogóle wyglądał nieporządnie i brudno. Zdanowicz pomyślał, że jako paser zarabia przecież na pewno nieźle i widać jest już taki niechlujny z natury.

*

Kapitan Szczęsny starannie wertował listę lekarzy zarejestrowanych w Warszawie i województwie. Nie znalazł jednak żadnego, który nazywałby się Hacem lub Chacen albo coś w tym rodzaju. Nazwisko było niecodzienne i żaden lekarz takiego nie miał.

„Pewnie prawnik” – zdecydował. Sięgnął po inną listę. Adwokaci, prokuratorzy, sędziowie, radcy prawni, doradcy dyrektorów... wszyscy, którzy mogliby się wykazać tytułem doktora prawa.

I tutaj jednak nie było doktora Hacena. Połączył się więc z Biurem Ewidencji Ludności, prosząc o możliwie szybkie odnalezienie adresu i bliższych personalii człowieka, który nazywa się Hacem. Po godzinie otrzymał telefon: nikt o podobnym choćby nazwisku nie jest zameldowany w Warszawie ani też nigdzie w Polsce.

- Nieprawdopodobne! – mruknął do siebie. Czyżby pseudonim? Więc jak naprawdę nazywa się ten

siwowłosy kulawy pan w niebieskich okularach...

Zastukano do drzwi. Wszedł sierżant Tuczyński, który wraz z kilkoma innymi pracownikami służby kryminalnej Komendy Miasta zajmował się w dalszym ciągu nie wykrytą sprawą zabójstwa Wacława Maleckiego. Prokurator wprawdzie umorzył śledztwo, ale milicja nie zrezygnowała.

- Znaleźliście coś, kapitanie? - spytał przysiadając po drugiej stronie biurka.

Szczesny potrząsnął głową.

- Ani lekarz, ani prawnik, ani w ogóle w żadnych spisach meldunkowych. Nazwisko musi być fałszywe.

- Nie musi. Pewnie gość mieszka nie meldowany. Mało to takich w Warszawie? A może kapral Jankowski się przesłyszał?

- Wątpię. Zdanowicz miał powiedzieć zupełnie wyraźnie: „Doktor Hacen”. Potem zresztą Jankowski w dalszej rozmowie to nazwisko powtórzył i widać dobrze, bo tamten się nie zdziwił ani nie zaprzeczył. Przynieśliście spis pasażerów „Batorego” w powrotną stronę?

- Nie mają kompletnej. Połowa miejsc wolna, ludzie mogą kupować i wsiadać w Anglii. To, co mi dali, przyniosłem - położył listę na biurku. - Żadnego

Hacena tam oczywiście nie ma. Kapitanie, to pewnie jakiś zagranicznik. Takie dzikie nazwisko.

- Hacen... - zadumał się Szczęsny. - Pliocen, miocen, oligocen...

- Co? - zdziwił się Tuczyński. - Są takie nazwiska?

- Nie - roześmiał się. - To ery w dziejach świata. Cholera wie, może macie rację. Zagraniczny gość może być nie meldowany. Mieszka u kogoś z dyplomacji, kursuje z kraju i do kraju... wobec tego placówki WOP muszą go mieć odnotowanego.

Ale placówki nie miały.

Po naradzie z majorem Daniłowiczem i innymi oficerami, Szczęsny postanowił podejść do zagadki od innej strony.

*

- Kapitanie, to może być dobry pomysł, ale wymaga czasu. A on przecież niedługo wraca.

- Wiem. Ale nie możemy wejść tam oficjalnie, zaarrestować całą piątkę i rozpocząć dochodzenie. Zarzucamy im kradzież? W porządku, gdzie dowody? Zarzucamy zabójstwo, jedno czy nawet dwa. Jakie dowody? Nie przyznają się do niczego, podniosą krzyk, adwokaci nas zjedzą przy pierwszej

rozprawie, o ile w ogóle którykolwiek z prokuratorów doprowadzi w tym stanie do rozprawy. To, czym obecnie dysponujemy, to tylko słowa, których oni się wyprą. Diabelnie mało. Gra idzie o wielką stawkę, po obu stronach. Myślicie, że oni tego nie wiedzą?

- Wiedzą, psia ich mać. No, więc dobrze. Mam na taśmach wszystkie głosy, całej piątki. Z pokerzystami nie było kłopotu, aparat siedział u mnie w kieszeni, ale starego nie mogłem złapać, bo się długo nie pokazywał. Wreszcie udało mi się. Rozmawiał w kuchni z gospodarzem, tym Antonim, a ja szedłem do ubikacji, ale bardzo wolno sobie szedłem, wiecie, byłem wstawiony...

- O czym rozmawiali?

- A, takie tam. Nic ważnego. Aha, o tej jego kulawej nodze, że rwie na deszcz. Gospodarz radził mu nacieranie mrówczanym spirytusem. Jutro rano przyniosę wam wszystkie taśmy.

Szczesny odłożył słuchawkę i poprosił do siebie porucznika Kręglewskiego i podporucznika Steckiego, po czym wytłumaczył im swój plan. Należało roztoczyć ścisłą obserwację kilku fabryk i instytucji, w których ostatnio zdarzyły się większe kradzieże. W grę wchodziły: fabryka „C-4” i Zakłady

Przyrządów Pomiarowych oraz Centrala Handlowa, która je zaopatrywała.

Każdy z oficerów miał sobie dobrać dwóch albo nawet trzech pracowników służby wywiadowczej, których zadaniem będzie odtąd baczne przyglądanie się ludziom mającym jakąkolwiek styczność z dostawami. Magazynierzy w zasadzie nie wchodzili w rachubę, gdyż kradzieże odbywały się raczej poza murami zakładów. Ściślej mówiąc: zanim jeszcze surowce czy wyroby dotarły do celu.

W trakcie dyskusji doszli jednak do wniosku, że kontakty ze złodziejami mogły zahaczać i o magazynierów. Lista osób, które należało wziąć pod uwagę, rozszerzyła się więc od razu i Kręglewski zwątpił, czy dwóch, a nawet trzech wywiadowców wystarczy.

Szczęśny potrząsnął głową z powątpiewaniem. Wiedział, że major więcej ludzi nie da.

- Nie rozumiem - rzekł Stecki - mamy przecież w zasadzie zajmować się zabójstwem Maleckiego i Raczka.

- Raczka przejęli pracownicy kapitana Bożka. Zresztą, będziemy dzielić się informacjami, w razie potrzeby, ale oficjalne dochodzenie prowadzi Bożek. Co do Maleckiego, jestem wciąż przekonany, że łączy

się ono w jakiś sposób z kradzieżami. Inaczej mówiąc: z tymi pięcioma ludźmi, którzy zbierają się na pokera i na tajemnicze rozmowy w szulerni na Nowogrodzkiej.

- Jeżeli to był ich wspólnik, po cóż by go zabijali?

- Z różnych przyczyn. Na razie zajmijmy się kradzieżą dostaw i obserwacją. Pamiętajcie, że robimy to poza plecami wydziału czwartego Komendy Głównej. To, czego oni się dotychczas dowiedzieli, da się zamknąć w jednym słowie. Brzydkim słowie. A ponieważ wiem, że czwarty ma dobrych pracowników, doświadczonych, dlatego postanowiliśmy z majorem zastosować zupełnie coś innego. Prócz normalnej obserwacji, każdy z waszych ludzi musi zdobyć na taśmie magnetofonowej próbę głosu każdego faceta, który mógłby mieć coś wspólnego z dostawami.

Obaj oficerowie spojrzeli na mówiącego z zaciekawieniem.

- Zdaje się, że było coś takiego w Brazylii - rzekł Kręglewski niepewnie. - Chodzi ci o przeniesienie zapisu z taśmy magnetofonowej na taśmę filmową?

- Tak. Są trzy cechy charakterystyczne, które pozwalają odróżnić poszczególne głosy: natężenie, wysokość i barwa. Głos ludzki jest bardzo typowy dla

człowieka i nie sposób zatrzeć jego podstawowych cech.

- Jak to się robi? - spytał Stecki, trochę zawstydzony, że nie wie.

- Jest taki specjalny aparat „Fotofone”. Na fonogramach zapisuje się oderwane słowa, bo do oznaczenia barwy głosu i innych jego cech wystarczy przeanalizować poszczególne sylaby. Na taśmę filmową nanosi się w pewnych odstępach znaczki, puszcza film z szybkością - nie pamiętam dokładnie, ale chyba coś około 27,5 metrów na minutę, a potem go się powiększa parokrotnie, chyba ponad sześć razy. Perforacja jest na ogół dobrze widoczna. Zastosowała to kiedyś policja brazylijska. Biegły w sądzie miał dwie płyty gramofonowe, z dwoma głosami. Na jednej płycie był głos oskarżonego, na drugiej - uważano, że również jego głos, w pewnym dialogu z żoną. Ekspert po próbie identyfikacji zdecydował, że oba głosy należą do tego samego człowieka, bo mają jednakowe tony harmoniczne i ton podstawowy.

- Oczywiście, na tym nie można opierać aktu oskarżenia - zauważył Kręglewski.

- Nie można - zgodził się Szczęsny. - Ale nam pomoże to w identyfikacji człowieka, który nosi

nazwisko Hacen. Bo sędzę, że to nie jest jego prawdziwe nazwisko. Wasi pracownicy dostaną również dość dokładny rysopis doktora Hacena. Zdjęcia nie udało się niestety dotąd wykonać. Z tym było trudniej niż z ukrytym magnetofonem, zwłaszcza że pracownik „X” działa na bardzo ograniczonej powierzchni lokalowej: pokój, wąski i ciemny korytarz, to wszystko. W pokoju sporo ludzi, którzy mogą obserwować jeden drugiego, a na pewno robi to gospodarz.

- Jak wygląda Hacen?

- Niewysoki, szczupły, siwowłosa, w wieku około pięćdziesięciu lat. Nosi okulary z niebieskimi szklami, trochę kuleje na lewą nogę. Twarz śniada, poorana bruzdami, usta wąskie, nos prosty. Skóra na policzkach mocno pofałdowana, widocznie był przedtem o wiele cięższy. Głos cichy, zachrypnięty.

- Wygląd bardzo charakterystyczny - zauważył Stecki. - Czwarty wydział nie natrafił dotąd na takiego człowieka?

Szczęśny uśmiechnął się przelotnie.

- Może i dziesięć razy natrafił, ale czwarty nie wie nic o tej karcziarni na Nowogrodzkiej i o tym, że doktor Hacen tam od czasu do czasu przebywa. To my wiemy, dzięki pracownikowi „X”.

- Bardzo dobrze - mruknął porucznik Kręglewski z zadowoleniem.

- Gdyby Komenda Główna miała w tej chwili nasze informacje, to moglibyśmy się pożegnać z dochodzeniem. Zamknęliby szulernię, koniec, kropka. A nam ta karcarnia jest jeszcze bardzo potrzebna. Tam chodził Malecki, tam grał w karty Raczek. I tam, według wszelkiego prawdopodobieństwa, kryje się zagadka obu morderstw. A w każdym razie, drugiego.

- Masz wątpliwości co do zabójstwa na Bednarskiej?

- Cholera wie... Mam. To ostatecznie mogło być samobójstwo, mimo iż Kania upiera się przy swoim. Natomiast wykluczam nieszczęśliwy wypadek z Raczkim. I nie dałbym głowy, że to Raczek sprzątnął Maleckiego. Ci dwaj mogli się o coś pogryźć.

- Więc tak: głosy na taśmę, sprawdzanie rysopisu - podsumował Stecki - i obserwacja, kto mógł wiedzieć o dostawach. Trzeba będzie powsadzać tam ludzi na jakieś dogodne stanowiska, żeby się mogli dużo kręcić po zakładzie bez zwracania uwagi.

*

Francuszczyzna Andrzeja Bryi nie była najlepsza, mimo dwukrotnego pobytu we Francji i nauki w szkolnych latach. Właściciel wytwórni plastików rozumiał jednak sporo po polsku i nawet trochę mówił tym tak trudnym dla cudzoziemców językiem.

Zajechał przed warsztat swym pięknym citroenem, budząc zachwyt przechodniów. Bryja, ubrany w jasne spodnie z tropiku i lekką marynarkę, oczekiwał go z pewnym zniecierpliwieniem. Z zagranicznymi różnie bywało; potrafili zapomnieć o umówionym spotkaniu albo nagle wyjechać i ślad po nich ginął.

Francuz jednak nie zapomniał i nie wyjechał. Zaprosił go do samochodu uprzejmym gestem, zaproponował nawet miejsce za kierownicą, ale Bryja odmówił, aczkolwiek z żalem. Na ulicach Warszawy nietrudno było o wypadek, czasem i bez winy kierowcy, wolał więc w razie czego być tylko pasażerem niż bezwiednie uszkodzić drogi wóz.

Przejechali się trochę po ulicach, a potem zrobili mały wypad do Konstancina - dla nabrania apetytu przed kolacją, jak się wyraził Francuz. Trudno mu było jednak zademonstrować wszystkie możliwości swej maszyny; na to trzeba innych dróg niż zatłoczone podmiejskie.

Zawrócili w Konstancinie obok kościoła, Bryja pokazał cudzoziemcowi co ładniejsze wille w ogrodach, Domy Dziecka i Dom ZAIKS-u. Fabrykant przyglądał się wszystkiemu z ochotą, ale potem powiedział po prostu, że jest głodny, dodał gazu i wóz wystrzelił jak pocisk w kierunku Warszawy.

W restauracji Grand Hotelu był już zamówiony stół z francuską chorągiewką. Przejrzeli kartę, Bryja zaakcentował, że to on prosi, czemu Francuz gwałtownie się sprzeciwił. Nie, może jutro albo kiedy indziej, ale dzisiaj właściciel warsztatu jest jego gościem i nie ma o czym mówić.

Bryja zgodził się na szybki rewanż, a potem już prawie w milczeniu rozkoszowali się jedzeniem. Zagranicznik między jednym a drugim daniem wychwalał polską kuchnię, która – jak twierdził – była równie dobra, jak francuska, a to już był duży komplement.

- Bardzo mi smakuje ten wasz... nom de Dieu, taka czerwona zupa w filiżance, bardzo trudna do wymówienia...

- Barszcz – roześmiał się Andrzej.

- O, c'est ça! I bigos, to jest doskonała potrawa, tylko trochę za ciężka. No, ale wy tu macie ostrzejszy

klimat, wymaga więcej tłuszczu niż nasz. À la vôtre!
- wzniósł w stronę Bryi kieliszek.

Pili dużo, zwłaszcza wódki, czym Andrzej był trochę zdziwiony. Pomyślał, że Francuz widać przywykł do polskich zwyczajów. Musiał jednak mieć mocną głowę, bo Bryja czuł już w swojej szum i trochę mąciło mu się w oczach, fabrykant natomiast wyglądał na zupełnie trzeźwego.

Przy czarnej kawie zaczął nagle mówić o swojej wytwórni. Sypał nazwami, wzorami chemicznymi, rysował na pudełku od papierosów jakieś formuły, przeszedł w końcu na czysto techniczny język i Bryja prawie nic nie rozumiał. Podziwiał erudycję cudzoziemca, który musiał być tęgim fachowcem i specjalistą w chemii.

- Tego pan pewnie jeszcze nie widział - rzekł w pewnej chwili wyjmując z kieszeni mały kawałek sztucznego kauczuku i kładąc przed Andrzejem na białym obrusie.

Bryja spojrzał uważnie, skupił myśli.

- Przecież to amerykański kauczuk, neopren - uśmiechnął się z lekką wyższością. - Mam w domu trochę tego.

- Serio? - fabrykant spojrzał na niego z niedowierzaniem. - Można u was dostać neopren?

- Jak kiedy. Zależy.

- Wie pan co? Zróbmy interes. Zapłacę panu w dolarach za każdą ilość neoprenu. Mnie to jest bardzo potrzebne, amerykańscy chemicy proponują zbyt wygórowane ceny. Ile pan mógłby mi dostarczyć?

Bryja przetarł serwetką spocone czoło, wywołując zgorszenie kelnera. Nalał sobie wody mineralnej i duszkiem wypił całą szklankę, aby trochę wytrzeźwieć. Kroił się oto kapitalny interes, a on był pijany. Świństwo.

- Ile? - powtórzył niepewnie. - Na kiedy pan chce to mieć?

- Przed wyjazdem. Za parę dni, powiedzmy: na koniec czerwca. Ostatecznie mogę jeszcze z dzień dłużej poczekać.

Andrzej wiedział doskonale, że kauczuk może wydobyć ze schowka w każdej chwili, niepotrzebne są do tego dni, najwyżej godzina. Postanowił jednak podroczyć się trochę z Francuzem, może da wyższą cenę. Trzeba powiedzieć o trudnościach, kłopotach, ryzyku... Nie, o żadnym ryzyku lepiej nie mówić.

- Dobrze, ale jak pan chce to wywieźć przez granicę? Przecież celnicy nie przepuszczą.

Francuz zaśmiał się krótko.

- Mam ze sobą około pięćdziesięciu kilogramów próbek - powiedział pobłażliwym tonem. - Pan mi dostarczy tyle samo neoprenu, a ja wszystkie próbki panu zostawię. Dla mnie są bez wartości. Compris?

- Jasne. Trzeba będzie tylko część kauczuku zabarwić na różne kolory, żeby nie podpadło. Przecież to mają być próbki.

- Zrobi się, to drobiazg. Pociągnie się z wierzchu farbą, potem poowija w bibułki, papierki, folię. Mam mnóstwo opakowań.

- Ile pan chce mi dać za kilogram?

Fabrykant pomyślał chwilę. Wypił kieliszek wódki, zagryzł solonym migdałkiem i przez parę minut chrupał go w milczeniu. Wreszcie powiedział cenę.

- Trochę mało - odrzekł Bryja, choć wysokość sumy była zawrotna. Postanowił jednak trzymać fason.

- Mało? - tamten uśmiechnął się jakoś dziwnie. - Pan myśli, że ja nie wiem, skąd pan może mieć pięćdziesiąt kilo neoprenu? Mon cher ami, ja tu przecież nie pierwszy raz przyjeżdżam - położył mu rękę na ramieniu. - To jest bardzo dużo, bo ja również trochę ryzykuję.

Andrzej milczał, zaskoczony. Nie wiedział, jak zareagować; sięgnął więc po wódkę, popił kawą.

Wydawało mu się, że odzyskuje pełną sprawność myślenia.

- Pan się myli - rzekł z godnością, ale Francuz wybuchnął głośnym śmiechem. Śmiał się tak długo i zaraźliwie, że w końcu Andrzej przyłączył się do tego śmiechu, pokrywając nim zmieszanie.

- My możemy ze sobą częściej współpracować - powiedział potem fabrykant i poklepał go po ramieniu. - Tylko niech pan przede mną nie udaje bohatera narodowego. Mówmy jak kupcy, tak będzie lepiej. Więc kiedy mi pan dostarczy neopren?

- Mogę postarać się w ciągu tygodnia. Ale tylko za gotówkę! - zastrzegł się od razu. - Żadne tam na Bank Pekao czy coś takiego.

- Ależ oczywiście, że za gotówkę - Francuz był ubawiony. - Jeżeli ma pan wątpliwości - wyjął portfel z czarnej, delikatnej skóry, ostrożnie rozchylił i pokazał zawartość. Była tam pokaźna ilość dolarów, obok innej waluty zagranicznej. - Ja wiem, że u was za dolary można wszystko kupić.

- W porządku - Andrzej poczuł nagle złość. Francuz przestał mu się podobać, był zbyt pewny siebie. Powściągnął jednak to uczucie. Ostatecznie, to był tylko interes, nie ma co się z nim bawić w rozważania o cechach narodowych Polaków.

Umówili się, że pod koniec przyszłego tygodnia Francuz przyjedzie do warsztatu na przegląd wozu i wówczas załatwią kauczkową transakcję.

*

Z baru „Mimoza” wytoczył się na chodnik pijany mężczyzna. Z trudem zachowując równowagę przystanął obok latarni, aby rozejrzeć się w sytuacji. Od najbliższego postoju taksówek dzieliło go na oko ze dwieście metrów. „Bardzo daleko” - pomyślał smętnie. Zastanawiał się przez chwilę, czyby nie spróbować na czworakach. Zawsze co cztery kończyny do podpierania, to nie dwie.

Zanim zdążył swój pomysł wcielić w życie, już o nim zapomniał. Wiedział, że gdzieś chciał iść, coś zrobić... Może do baru, na jeden głębszy?

- Do baru! - zdecydował radośnie. Zawrócił tam, skąd go przed chwilą wyrzucono, bez żadnych względów wobec osoby zamożnej i w pewnych kołach nawet cenionej.

Staął w drzwiach. Oczy miał zaczerwienione, nos błyszczał.

- Panie Józefie, on znowu przyszedł! - zawołała barmanka.

Barczysty kelner zbliżał się do niego z wolna, podwijając rękawy. Mężczyzna niejasno czuł, że to coś nie tak jak trzeba. Kelner nie powinien chyba... a może to lekarz? Biały kitel. Pewnie dentysta, bo tak dziwnie patrzy, jakby chciał wyrwać ząb.

- Zabraniam - powiedział stanowczo. - Kiedy indziej, panie doktorze...

Barmanka zachichotała. Goście zaczęli się oglądać na pijaka, choć widowisko było banalne. Może tylko wstawiony mężczyzna mniej niż inni pasował do tego obskurnego baru na peryferiach miasta. W każdym razie, nie był tutaj stałym gościem.

- Jazda do domu! - kelner podsunął mu pod nos pięść jak bochen chleba. - Kto nie ma za co, ten nie pije. No, słyszysz?

- Ja nie mam za co? - oburzył się. - Co mi tu będziesz zalewał, zgniła pało. Takich trzech mógłbym sobie kupić.

- Panie Józiu, wyrzuć go pan, bo mi stoliki zarzyga. On przecież długo nie ustoi.

Wyrzucony na ulicę po raz drugi, poczęstowany został na dodatek solidnym kopniakiem. Jakiś gość wyjrzał za nim, bo był ciekaw, co będzie dalej. Stojąc na progu knajpy, informował pozostałych o daremnych wysiłkach pijaka, próbującego podnieść się z ziemi. Wreszcie zlitował się nad nim, schwycił za kołnierz, stęknął, szarpnął w górę.

- No, stójże, ofiaro... Dojdiesz sam?

- Hep! - czknęło się pijakowi. Osunął się na chodnik, mruknął coś i zasnął. Gość machnął ręką; ciepło na dworze, niech śpi. Wrócił do baru zamykając drzwi za sobą.

W pół godziny później radiowóz milicyjny wracając z patrolu zabrał śpiącego z ulicy i zawiózł do Izby Wytrzeźwień. Tam jednak pijak, zły, że go rozbudzono, urządził tak piekielną awanturę, iż personel długo jeszcze potem wspominał: - A

pamiętacie, jak przywieźli tego, co to Heniowi oko podbił, a Wacka ugryzł w nos?

Rankiem następnego dnia dwóch milicjantów z paskami pod brodą powiozło trzeźwego już mężczyznę do sądu. W trybie przyśpieszonym Jan Biedrzoń z ulicy Madalińskiego powędrował na sześć miesięcy do „kicia”.

Kapitan Szczęsny, gdy się o tym dowiedział, rzekł do Kręglewskiego.

- Popatrz, jak los nam sprzyja. Właśnie myślałem, co też zrobić z prawdziwym Janem Biedrzoniem w razie gdyby Zdanowiczowi czy któremu innemu z piątki przyszło na myśl, aby go odwiedzić w mieszkaniu...

- No cóż, można było zrobić tylko jedno: uniemożliwić temu komuś dojście do Madalińskiego osiem, to znaczy wziąć dom pod obstawę i pilnować dzień i noc, przez Bóg wie ile tygodni. A potem, w razie czego, zatrzymać Zdanowicza czy Maliniaka pod byle pozorem na czterdzieści osiem godzin. I znowu bronić następnego razu. Cholerna robota.

- Tak. Myślałem już, aby sfingować depeszę od jego brata z Gdańska i ściągnąć go na Wybrzeże. A teraz mamy z gościem spokój na sześć miesięcy.

- Daj mu Boże zdrowie. O jednego do pilnowania mniej.

Zdanowicz rzeczywiście postanowił odwiedzić Jana Biedrzonia. Mimo rozmowy telefonicznej z Gdańskiem, mimo iż Biedrzoń wiedział sporo - starszy księgowy był w dalszym ciągu nieufny. Nie mógł uwierzyć, aby doktor Hacen pozostawił ich wszystkich bez żadnych bliższych informacji co do dalszych interesów. „Dlaczego ten Biedrzoń ma powierzona sprzedaż aż trzech wołów, kiedy poprzednimi z powodzeniem zajmował się Bryja?” - myślał, jadąc na Mokotów. „Dlaczego Hacen nigdy nie wspomniał o żadnym warszawskim paserze nazwiskiem Biedrzoń? Po co te tajemnice, kiedy wszystkie inne transakcje omawiali wspólnie, znając chociażby tylko nazwiska paserów i pośredników?”

Odszukał numer ósmy, zaparkował wóz po przeciwnej stronie ulicy i wszedł do bramy. Dom był stary, ciemny. Spisu lokatorów nie potrafił znaleźć, spytał więc jakąś przechodzącą z wiadrem śmieci kobietę o Jana Biedrzonia.

- Na pierwszym - powiedziała. - Ale go nie ma.

- A kiedy wróci, nie wie pani?

- Za pół roku - mruknęła niechętnie. Widząc zdumiony wzrok mężczyzny, dodała: - Siedzi. Zrobił

jakaś awanturę po pijanemu.

„To tak?” – pomyślał Zdanowicz. – „Ładna historia”.

- Biedrzoń siedzi w areszcie – powiedział nazajutrz do Maliniaka, kiedy zeszli się w mieszkaniu przy Nowogrodzkiej. Andrzeja jeszcze nie było, Oziembło zapowiedział poprzednio, że wyjeżdża na kilka dni. Siedzieli więc we dwójkę i dla żartu zagrali w sześćdziesiąt sześć.

- Który Biedrzoń? Ten z Gdańska?

- Nie, ten co był u mnie w sprawie wołg. Jego brat. Pojechałem na Mokotów, bo mi to wszystko razem jakoś źle wyglądało... No i dowiedziałem się, że facet siedzi. Podobno upił się w knajpie i potem kogoś pobił. Rano zaprowadzili go do sądu i w trybie doraźnym dostał pół roku.

- Nie doraźnym, ale przyśpieszonym.

- Możliwe, nie znam się na tym. Transakcję z trzema wołgami mamy więc uziemioną na sześć miesięcy. Możliwe zresztą, że jak Hacen wróci, to inaczej to załatwi... Czegóż Bryja nie przychodzi?

- Pewnie włóczy się z jakąś babką.

Nie mieli ochoty na grę z obcymi partnerami. Poczekali więc jeszcze pół godziny, potem Zdanowicz wyszedł, a inżynier przysiadł się do innego stolika,

aby pokibicować. Gra szła tu ostro, na stoliku leżało kilkadziesiąt tysięcy.

Pokerowe szczęście sprzyjało dziś blademu graczowi z ukośnie biegnącymi, ciemnymi brwiami. Jego nerwowa twarz, ściągnięta przykrym grymasem, krzywiła się co chwila, a usta poruszały, jakby coś szeptał do siebie. Długimi, szczupłymi palcami przebierał po stole, wywołując niechętnie spojrzenia innych graczy, których to denerwowało.

- „Hrabia” dziś w dobrej formie - rzekł gospodarz przystając obok ich stolika. - Może szklaneczkę? - zaproponował nieosobowo.

- Angielską gorzką - mruknął „Hrabia” zagarniając pulę.

- Dla mnie eksportową - odezwał się Maliniak. - Ależ panu leci karta!

„Hrabia” uśmiechnął się do niego połową ust. Był, widać, bardzo zaabsorbowany grą.

Rozdział 6

Francuski fabrykant Andre Mourant wszedł do sali restauracyjnej, kierując się prosto do swojego stolika z chorągiewką. Usiadł tak, aby móc obserwować innych gości, rozłożył na kolanach serwetę i przebiegł oczami menu.

- Wódeczkę? Zakąski? - zaproponował kelner przyciągając wózek z półmiskami. Był tam szczupak w galarecie, ryby faszerowane, szynka, sałatki i sosy.

Fabrykant spojrzał na kelnera. Dobroduszna, rumiana twarz wzbudzała całkowite zaufanie. Mimo to wolał czarnowłosego o eleganckich manierach i dobrym francuskim akcencie, który podawał mu przez kilka dni.

- Pan Stanisław?... - spytał z nadzieją w głosie.

Rumiany kelner potrząsnął głową z ubolewaniem. Stanisław zachorował, nieprędko przyjdzie do pracy.

- C'est dommage - powiedział Mourant zrezygnowany. Wskazał na szczupaka i sałatkę z drobiu. Zamawiając ćwiartkę wódki, pomyślał z

rozbawieniem, że zaczyna jeść „po polsku”. W domu nigdy nie pił wódki do obiadu.

Po kawie, którą – również wbrew swoim rodzimym zwyczajom – zakończył jedzenie, wrócił do pokoju hotelowego. Czekąco go trochę roboty, ale postanowił wykonać ją nieco później. Z Bryją umówił się na dziewiątą wieczór, miał jeszcze pół godziny czasu na krótką drzemkę.

Po obfitym obiedzie trapiły go niespokojne sny, zdawało mu się, że tonie w jakimś bagnie i zbudził się – jak mu się zdawało – z krzykiem. W rzeczywistości było to tylko mruknięcie. Przetarł twarz wodą kolońską, zapalił papierosa i zabrał się do roboty.

Wszystkie próbki tworzyw sztucznych odwinął z opakowań i poupychał w dużym podróżnym worku. Kolorowe papiery i folie z napisami reklamowymi starannie złożył i schował do szafy. Po namyśle zamknął ją na klucz, który włożył do kieszeni.

Potem siadł przy stole, wyjął portfel i, dwukrotnie przeliczając, odłożył na bok sumę obiecaną za neopren. Patrzył na nią z namysłem, zrobiło mu się żal. Stanowczo za wiele obiecał temu Polakowi za kradziony towar – bo że tak było, nie miał najmniejszych wątpliwości. Orientował się już

dostatecznie w zagranicznych dostawach dla polskiego przemysłu i w tym, co można kupić na wolnym rynku.

W końcu postanowił urwać chociaż kilkanaście dolarów. Powie, że nie ma więcej, tamten i tak się zgodzi. Zauważył od razu błysk radości w oczach Bryi, kiedy wymieniał cenę.

Z westchnieniem schował odliczone dolary do oddzielnej przegródki portfela. Potem zadzwonił na boya i poprosił o zanieśenie worka do samochodu. Szedł razem z chłopcem, który ugiął się pod ciężarem. Zjechali windą. Kiedy w hallu oddawał klucz, jakaś znajoma twarz mignęła mu między kolumnami. Odwrócił się w tym kierunku, ale twarz już znikła. Przez chwilę zastanawiał się, kto to jest, wreszcie skojarzył go z salą restauracyjną i czarną muszką na białej koszuli. Widocznie kelner Stanisław nie jest jednak tak bardzo chory i wrócił do pracy.

Przy pomocy boya umieścił worek w bagażniku. Dochodziła dziewiąta, czas było jechać. Znał już drogę, orientował się zresztą nieźle w Warszawie.

Bryja czekał na fabrykanta we drzwiach warsztatu, spoglądając raz po raz na uchyloną bramę. Nie chciał, aby samochód Francuza, ściągający uwagę otoczenia, stał zbyt długo na ulicy.

O tej godzinie warsztat zasadniczo już nie pracował, monterzy poszli do domu.

Kiedy więc citroen pojawił się przed bramą, Andrzej wyskoczył na podwórze, rozchylił wrota, aby kierowca mógł swobodnie wjechać, po czym zamknął je na skobel.

- Ale wózek, co? - mruknął z tęsknotą chłopak ostrzyżony na jeża, ubrany w koszulkę polo i spodnie z elany. Stał przy swoim motocyklu, odprowadzając wzrokiem białogranatową „cytrynę”, póki nie zniknęła za bramą.

Mężczyzna w kombinezonie roboczym, który również przystanął, aby popatrzeć na zagraniczny samochód, machnął ręką lekceważąco.

- Co z tego, kiedy spala pewnie z piętnaście. I znajdź pan garaż na takie cygaro.

Poszedł dalej. Chłopak błyskawicznie wskoczył na siodełko, kopnął starter i pognał w kierunku pierwszej przecznicy. Tam zatrzymał się na chwilę przy zaparkowanej na rogu warszawie. Szepnął kilka słów do kierowcy. Mężczyźni w wozie porozumieli się wzrokiem, wóz ruszył cicho. Chłopak pojechał dalej, tam gdzie również na niego czekano.

- Zdaje się, że pan jest mocno zdenerwowany? - zadrwił Francuz otwierając bagażnik. - O co się pan

tak boi? O mnie czy o swój neopren? Mam nadzieję, że nie wyparował przez ten czas.

- Wcale nie jestem zdenerwowany - odparł Bryja pomagając wyładować worek. - Zaniesiemy go do warsztatu, tam jest kauczuk. Niech pan bierze za jeden koniec.

- Merde! - stęknął fabrykant nie nawykły do dźwigania.

Wysypali próbki na rozesłaną brezentową płachtę, po czym Andrzej znikł w ciemnym kącie warsztatu, skąd po chwili wynurzył się, ciągnąc za sobą podobny worek, marynarski, z żaglowego brązowego płótna.

Francuz patrzył z zaciekawieniem. Nawet w tym przyćmionym świetle jego fachowy wzrok natychmiast dostrzegł, że był to prawdziwy neopren. Przykucnął obok, wziął do ręki jeden kawałek, drugi, dziesiąty, grzebał w worku, jakby chcąc zbadać, czy pod wierzchnią warstwą nie kryje się jakieś oszustwo - aż zniecierpliwiony Bryja wysypał kauczuk na podłogę.

- Nom de chien! Nie brudź pan mego towaru.

- Jeszcze nie pański. Jeszcze nie widziałem dziś dolarów - odparł ze złością. Zauważył, że odkąd

Francuz wywęszył, iż kauczuk pochodzi z kradzieży, zniknęła gdzieś cała jego wytworność i elegancja.

Mourant wyprostował się i sięgnął do kieszeni. Jakiś szmer przy drzwiach nakazał obu odwrócić głowy w tamtą stronę. Andrzej zmartwiał. Na progu warsztatu stał rosły, barczysty milicjant w mundurze starszego sierżanta. Spoglądał na nich uważnie i, zdawało się, łagodnie.

Oczy Francuza zwężyły się. Widać było, że na chłodno rozważa sytuację. Bryja czekał, aż padnie pierwsze pytanie; próbował w myśli znaleźć na kilka z nich jakąś rozsądną odpowiedź.

Wreszcie milicjant, przyjrząwszy im się dokładnie, odsunął się trochę i wpuścił szczupłego, niewysokiego mężczyznę w szarym ubraniu. Miał bardzo jasne włosy i śniadą cerę; jego wąskie czarne oczy spoczęły kolejno na stosie próbek, potem na kauczuku, potem na twarzach obu stojących bez ruchu mężczyzn.

- Do you speak English? - spytał, zwracając się wyraźnie do Francuza.

Mourant znał angielski. Przytaknął więc, nie wiedząc, do czego ów człowiek zmierza i skąd się orientuje, że ma do czynienia z cudzoziemcem.

- Czy to pański wóz, ten citroen na podwórzu? - pytał dalej kapitan Szczęsny, pozornie nie zwracając uwagi na Bryję.

- Yes, it is my car.

- Pan przekroczył dozwoloną szybkość, jadąc tutaj. Proszę o kartę wozu.

Jeszcze nie rozumiejąc, z pewnym ociąganiem, Francuz podał oficerowi dokumenty. Ten bez słowa przejrzał je dokładnie, po czym oddał właścicielowi.

- Trzeba zapłacić mandat - odezwał się starszy sierżant, nie wiadomo do kogo. Andrzej odetchnął nieznacznie. Teraz tylko jakoś wybrnąć z tym kauczukiem... Przecież to „drogowa”, im chodzi tylko o przepisy ruchu, czym innym się nie zajmują.

Szczęsny przetłumaczył Francuzowi to, co powiedział podoficer.

- How much? - mruknął, wyjmując portfel.

- One hundred.

- Please...

Podał sto złotych, w zamian otrzymał wydarty z boczka mandat, który lekceważąco zmiął i rzucił na podłogę.

- To pańskie rzeczy, mister Mourant? - spytał Szczęsny niedbale, dotykając czubkiem buta

rozsypanego neoprenu.

Oczy fabrykanta zabłysły i momentalnie skryły się pod powiekami. Ochoczo potwierdził i, schyliwszy się, zagarniał kauczuk do swego worka. Bryja poczuł, że mu cierpnie skóra. A dolary?!

Chrząknął, ale bał się odezwać. Ogarnęła go zimna wściekłość na obu funkcjonariuszy. Cholera, przecież wzięli już mandat, na co czekają? Z rozpaczą patrzył, jak Francuz związuje worek naładowany jego kauczukiem, jak milicjant pomaga mu umieścić ten worek w bagażniku citroena...

- A to? - Szczęsny pokazał wzrokiem próbki rozłożone na płachcie. Francuz lekceważąco wzruszył ramionami. Wyjaśnił, że to bezwartościowe próbki sztucznych tworzyw, które przywiózł znajomemu, a właściwie przyjacielowi - tu skłonił się uprzejmie w stronę Andrzeja - w zamian za szybką naprawę samochodu.

„Bodaj cię szlag trafił” - pomyślał Bryja blady z gniewu i bezsilności. Przyszło mu jednak na myśl, że odnajdzie potem Francuza w hotelu, przecież nie mógł mu przy milicji wręczać dolarów, taki głupi nie jest. Może więc niepotrzebnie się denerwuje.

- Au revoir, cher ami - fabrykant serdecznie uścisnął mu rękę. Zaszumiał motor, wóz ostrożnie

wycofywał się na ulicę. Andrzej podszedł do drzwi warsztatu i spoglądał za nim melancholijnie.

- Do widzenia panu - milicjant zasalutował, odwrócił się i wyszedł. Na ulicy stał radiowóz, kapitan Szczęsny siedział obok kierowcy. Citroena nie było już widać na zakręcie. Radiowóz, nie śpiesząc się, ruszył w przeciwną stronę.

- A jak Francuz zwieje z tym kauczukiem? - mruknął Tuczyński częstując swego kapitana papierosem.

- Nie zwieje. WOP i celnicy uprzedzeni. Francuza puszczą do domu, ale bez neoprenu. Przepisy zabraniają wywożenia importowanego towaru, a w dodatku kradzionego.

- On powie, że to jego. Przywiózł z Francji. Co wtedy?

- Nieprawda, nie mógł tego przywieźć. Miał ze sobą próbki tworzywa sztucznego, celnicy odnotowali wszystko dokładnie. W razie potrzeby wezwą eksperta, chemika.

Nagle Tuczyński wybuchnął śmiechem.

- Widzieliście, kapitanie, jaką Bryja miał minę? Ani kauczuku, ani dolarów. Biedna ofiara losu! Właściwie mogliśmy zrobić z tego piękną sprawę i z miejsca go aresztować.

- Po co? Żeby sobie wszystko zepsuć? On nam nie ucieknie. Zresztą, musi być przekonany, że to była rzeczywiście tylko kontrola drogowa.

Następnego dnia rano Andrzej wszedł do hotelu przy Kruczej.

- Pan Andre Mourant? - spytał.

Portier spojrział na deskę z kluczami.

- Jest w pokoju - odparł. - Trzysta piętnaście.

Nagle coś sobie przypomniał.

- Do licha, zapomniałem! Przecież on dziś rano wyjechał. O szóstej.

Andrzej zatrzymał się w miejscu jak wryty.

- Dokąd wyjechał? - spytał, jeszcze z nadzieją w głosie.

- A do siebie, do kraju. Pewnie już jest gdzieś koło Katowic.

Zalała go bezsilna złość. Tak się dać wystawić do wiatru! Oczywiście, tamten skorzystał z okazji i wywiózł kauczuk za darmo. Drogi, amerykański neopren. Ale go urządził... Zacisnął pięści. „Czekaj, bracie, niech ja cię jeszcze kiedy spotkam” - pomyślał, wychodząc z hotelu.

Młody człowiek w wiatrówce i szarych spodniach, który siedział w hallu i obserwował go z nietajoną

ciekawością, uśmiechnął się ironicznie. Potem wstał i znikł w kabinie z telefonem.

*

Oziembło bał się. Do magazynu wprawdzie rzadko kiedy zaglądała kontrola, niemniej jednak nigdy nie było wiadomo, którego dnia się zjawi.

Pół biedy jeszcze, jeśli była to kontrola własna, spółdzielni. Z tą Oziembło dałby sobie radę, jego „argumenty” mocno wypychały portfele. Zdarzało się jednak, że przychodzili pracownicy Państwowej Inspekcji Handlowej albo Inspektoratu Kontrolno-Rewizyjnego, a wtedy było gorzej. Raz udało mu się ukryć to, co nie powinno było znajdować się w magazynie, we własnej szafce ubraniowej; ale wówczas było tego mało.

A dziś Maliniak miał przywieźć z Wrocławia dwie skrzynie elektrycznych przyrządów pomiarowych i Oziembło, naciskany przez pozostałą trójkę, zgodził się przechować je w magazynie spółdzielczym.

- Tylko dwa dni - pocieszał Zdanowicz. - Przez dwa dni musi pan tego jakoś pilnować, potem zabierzemy do Lublina. Wcześniej nie można. Na razie Lublin nie przyjmuje, bo nie ma głównego kupca, a inni się na tym nie znają.

Oziembło westchnął głęboko. Rozumiał, że za darmo pieniędzy nie dostaje, a jego udział we wszystkich kradzieżach był dotąd raczej znikomy. Jeżeli tamci go się nie pozbyli, to pewnie dlatego, że za dużo już wiedział. Zresztą od czasu do czasu magazyn naprawdę się przydawał.

Maliniak zajechał przed bramę trzytonową ciężarówką z napisem: „Przedsiębiorstwo Transportowo-Spedycyjne, Jelenia Góra”. Bryja siedział przy kierownicy, skrzywiony i nadęty. Nie mógł przeboleć straty neoprenu, do którego już się przywiązał.

Inżynier okazał wartownikowi papiery, po czym samochód wjechał na dziedziniec, zatoczył koło i zahamował przed magazynem. Maliniak w roboczym kombinezonie wyskoczył spod plandeki, powiedział do Oziembły „dzień dobry” i wręczył mu plik dokumentów. Magazynier przejrzał, podpisał gdzie trzeba, kopię oddał „konwojentowi”. Papiery były od początku do końca fałszywe, ale pozory należało zachować.

Na podwórzu ukazał się kierownik działu galanterii skórzanej. Podszedł do wozu i spytał z zaciekawieniem, co przywieziono. Maliniak odparł

grzecznie, że ścinki skórzane z dolnośląskiej fabryki „Rekord”.

- Można zobaczyć?

Oziębło niespokojnie zakręcił się w miejscu i odrzekł niecierpliwie, że teraz nie ma czasu. Ale inżynier zaprzeczył. Dlaczego nie, jeżeli pan kierownik ma życzenie, to on owszem, chętnie pokaże te ścinki. Powiedziawszy to, oderwał wieczko od jednej ze skrzyń i rozchylił wierzchnią warstwę papieru.

W skrzyni leżały różnokolorowe paski barwionej skóry. Kierownik wziął do ręki kilka, pobawił się chwilę, przyjrzał, a potem stracił zainteresowanie. No cóż, ścinki jak każde. Ciągle je przywożą.

Po odejściu szefa działu, Maliniak mruknął:

- Prędzej! Niech pan mi pomaga. Nie tę, oczywiście! Tamte dwie, duże. Andrzej, podtrzymaj z tyłu.

We trzech zataszczyli ciężkie skrzynie do magazynu, umieścili na betonowej podłodze, pod najniższą półką. Potem Maliniak wyszedł jeszcze raz i przyniósł kilka małych skrzynek ze ścinkami, które ostentacyjnie postawili na najwidoczniejszych półkach.

- Za dwa dni - powiedział głośno, aby słyszeli stojący niedaleko pracownicy spółdzielni - jak będziemy wracać, wstąpimy do pana po puste skrzynki, bo mamy braki w opakowaniu.

- Dobrze - odparł Oziembło, wciąż w strachu, że wszystko się wyda. Ściszył głos i zapytał: - Co tam jest? Żebym chociaż wiedział, jakby co...

- Oscyloskopy elektronowe, generatory RC - to są pomiarowe - i jeden woltomierz lampowy, prądu stałego. I tak się pan na tym nie zna.

- Ile to warte?

- Ponad sto tysięcy.

Oziembło poczerwieniał z emocji i ze strachu. Im droższy był kradziony towar, tym większe ryzyko. Ale i tym większe zarobki. Poczł nagle nieopanowaną żądzę pieniędzy. Mieć, duzo mieć i skupywać złoto, dolary, funty, na wszelki wypadek i okazję. Przeleciało mu przez głowę, że gdyby tak na przykład sprzedał to jutro sam, zarobiłby nie jedną piątą, ale całość. Z tym, co już ma, byłby okrągły milion.

- Więc pojutrze - rzekł Maliniak wyciągając rękę na pożegnanie. Spod daszka prowincjonalnej, nie używanej w Warszawie czapki patrzyły na Oziembłę zimne, bladoniebieskie, rybne oczy.

„On by mnie zakatrupił, gdybym to zrobił” – zląkł się nagle. I przysiągł sobie, że nigdy z tamtymi nie zadrze. Co mu po milionach, jeżeli będzie wisiał.

Ciężarówka, uwolniona od skrzyń, sunęła nie śpiesząc się na Pragę.

- Gnój - powiedział Maliniak, siedząc obok kierowcy. Patrzył przed siebie, oczy miał blade, złe.

Bryja ocknął się z zadumy.

- Co za gnój? - mruknął bez zainteresowania.

- Ten Oziembło. Jak wróci Hacen, musimy się go pozbyć.

Andrzej spojrział na niego ze zdumieniem.

- Pozbyć się? Hacena? Ty chyba oszalałeś.

- Nie Hacena, ośle. Tego gnojka z magazynu. Za bardzo się boi, może nas kiedyś wkopać. Znajdę inne pomieszczenie na towar.

Bryja milczał przez jakiś czas, pozornie skupiając uwagę tylko na prowadzeniu wozu. Kiedy dojeżdżali do warsztatu, odezwał się wreszcie:

- Chcesz go zabić?

- Nonsens. Nie bawię się w morderstwa. Zależy mi na pieniądzach, a nie na czyimś życiu. Co ja będę miał z tego trupa? Tylko kłopoty.

- Więc jak chcesz się go pozbyć, bo nie rozumiem
- zniecierpliwił się, hamując ciężarówkę przed
bramą. - Wywieziesz go na księżyc czy jak?

- Nie wiem jeszcze. Przyjedzie Hacen, to coś
postanowi.

*

Kontrola przyszła w nocy. Dwóch podoficerów w
mundurach MO, pracownik Inspektoratu Kontrolno-
Rewizyjnego i cywil w szarym ubraniu, z jasnymi
włosami i śniadą twarzą.

Ściągnięto z łóżka dyrektora administracyjnego,
który miał klucze od magazynu. Do mieszkania
bowiem magazyniera Franciszka Oziembły nie
można się było jakoś dodzwonić. Tak w każdym razie
twierdził jeden z funkcjonariuszy, wysłany do niego
po klucze. Telefon również nie odpowiadał.
Widocznie Oziembło, człowiek nieżonaty, pozwolił
sobie na małą nocną wyprawę „w miasto”.

Dyrektor, poziewując szeroko, zaprowadził
kontrolerów na podwórze i otworzył drzwi
magazynu.

- Chcecie, towarzysze, spisywać wszystko, co tu
jest? - przeraził się nagle. Zapomniał w domu
skarpetek i przeciąg ziębił mu nogi, mimo iż noc

czerwcową nie była chłodna. – To potrwa do rana – uprzedzał. Najchętniej wyrzuciłby kontrolerów z podwórza i poszedł spać.

Kapitan Szczęsny rozglądał się po stołach i półkach. Zainteresowały go nieduże skrzynki, zajrzał do jednej, pogrzebał w kolorowych ścinkach skórzanych.

– Nie wszystko – odparł uprzejmie.

– Sprawdzimy tylko, jak to jest poukładane. Porządek, bezpieczeństwo i higiena pracy, rozumiecie, towarzyszu dyrektorze – dodał ten z IKR.

Dyrektor zdziwił się. Tak nigdy nie mówili inspektorzy podczas kontroli. Widocznie jakaś nowa akcja, o której jeszcze nie słyszał. Podrapał się w gołą kostkę u nogi, nad którą od paru chwil pastwił się komar.

Wartownik spółdzielni trzymał się z daleka, nie tyle przez respekt dla dyrektora, ile wskutek przykrego faktu, że kontrolerzy zastali go śpiącego. Kiedy więc usłyszał natarczywy dzwonek telefonu w dyżurce, pobiegł tam czym prędzej, a po chwili ukazał się w otwartym oknie ze słuchawką w ręku.

– Panie dyrektorze! Telefon.

– Zaraz – mruknął dyrektor. I nagle spojrzał ze zdumieniem. – Coś pan, upił się? Teraz do mnie

telefon? O drugiej w nocy?

- Mówią, że z Komendy Milicji Obywatelskiej. Chcą z prezesem albo z dyrektorem. Ale przecie pan prezes wyjechał do Katowic.

- Idę. Czego oni mogą chcieć? Już idę.

- Kapitanie - szepnął sierżant Tuczyński, widząc pod najniższą półką dwie wielkie skrzynie - to pewnie te.

Szczęsny przyklął obok jednej, ostrożnie podważył scyzorykiem wieko. Otworzyła się łatwiej, niż myśleli. Rozgarnął ostrożnie pakuły i papiery, spod których wyjrzał srebrzysty metal obudowy jakiegoś aparatu. Dalej wyczuł palcami płytę. Odsunął wiórki i zobaczył błyszczącą powierzchnię pociągniętą lakierem silikonowym.

Tuczyński już otwierał drugą skrzynię. I tu było to samo: woltomierze, oscyloskopy, generatory, nowiuteńkie, prosto z fabryk.

Na wszystkich zrobili maleńki, ledwie widoczny znak końcem ostrza scyzoryka. Potem rozesłali na przyrządach papiery i wiórki, szybko przybili wieka.

- Wracaj - mruknął Tuczyński. Szczęsny już był na nogach, nieznacznie otrzepał kolana.

- Co to było, towarzyszu dyrektorze? - spytał grzecznie.

- Z Komendy Miasta - dyrektor wzruszył ramionami. - Mieli dzwonić w ciągu dnia, ale mnie nie było. Faktycznie, siedziałem całe popołudnie w Związku. Wiedzieli, pewnie od was, że będę tu podczas kontroli, no i dodzwonili się... Nic takiego, jeden nasz pracownik został zatrzymany z paczką, w której rzekomo był surowiec spółdzielni.

- Ale to nieprawda?

- No pewnie, że nie. U nas ludzie nie kradną. Zresztą my nie używamy do produkcji tego, co on miał. Pewnie kupił na bazarze.

Kontrola poszła teraz zadziwiająco szybko, wszystko razem nie trwało już ani pół godziny. Inspektor obejrzał półki, zwrócił uwagę na przewody przebiegające bez zabezpieczenia, jeden z podoficerów odkrył nadłamaną deskę, przez którą ewentualny złodziej mógłby dostać się do magazynu.

Dyrektor, uradowany, że nikt nie zauważył braku gaśnicy pożarowej ani nieczynnego wentylatora, obiecał solennie, iż otwór będzie załatany tego samego dnia. Po czym wszyscy rozeszli się, wzajemnie z siebie zadowoleni.

O ósmej rano Oziembło stawiał się jak zwykle punktualnie do pracy. W kilka minut później dowiedział się, że w nocy była kontrola i pobladł tak,

że pracownik, który mu o tym mówił, spytał z troską w głosie, czy mu nie słabo. Odparł, że nie, że to tylko ten upał. Rzeczywiście, dzień był od rana duszny, zanosilo się na burzę.

Wysłał pracownika pod jakimś pretekstem do kadr, a sam - przymknawszy drzwi - zajrzał do skrzyń. Leżały nienaruszone, wieka były przybite. Odetchnął z ulgą, osunął się na podłogę i siedział tak dłuższą chwilę, ocierając spocone czoło i kark. Potem przyszło mu na myśl, że na dobrą sprawę kontrola powinna była skrzynie zauważyć. Ale wobec tego, dlaczego on do tej chwili nie jest aresztowany? Dlaczego nie wzywa go dyrektor?

- Panie Oziembło! - usłyszał głos pomocnika, który szukał go na wysokości nieco innej niż ta, na której właśnie znajdował się jego szef. - Gdzie pan jest? Panie magazynierze!

- Tutaj - mruknął Oziembło nie kwapiąc się do wstania z podłogi. - Czy mnie już zabierają?

- Dyrektor pana prosi. Czemu pan tam siedzi? Słabo panu?

- Oczywiście. Oczywiście, że mnie prosi. Dobrze, że nie przysłał wartownika. Wcale mi nie słabo, zgubiłem... ten, ale już mam. Czy u dyrektora jest milicja?

- Milicja? Nie, skądże. Po co?

- Po mnie - szepnął, ale pomocnik nie dosłyszał.

Dyrektor był w świetnym humorze, poznał to zaraz, kiedy wszedł do gabinetu. „Czemu on się tak cieszy z mojego nieszczęścia?” - przemknęło mu przez myśl. Był nawet gotów się obrazić. Ale dyrektor zmrużył jedno oko i powiedział:

- Lumpowało się, co? Niech pan się przyzna, panie Franciszku, gdzie to pan się puszczał przez całą noc.

- Ja? - odparł Oziembło szczerze. - Przecież byłem w domu.

- O-ho, ho! - dyrektor zaśmiał się grubo, po męsku - przede mną nie musi pan odgrywać takiego świętoszka. Niech no pan powie, a ładna była, co?

- Kto, panie dyrektorze?

A widząc, że tamten już chce się rozgniewać, zawołał desperackim tonem:

- O, jeszcze jak!

- No, widzi pan. Stary birbancie, nigdy bym pana nie posądzał. To nic, panie Franciszku, widzę, że pan jeszcze młody. Pewnie pan wie, że w nocy była kontrola?

- Właśnie, ja... - zająknął się, już nie wiedział, gdzie miał być tej nocy i o co tutaj chodzi.

- Posyłałiśmy do pana, dzwoniliśmy, no, ale pana nie było. Więc ja poszedłem z nimi do magazynu. Nic takiego, jakiś cywil, dwóch mundurowych i inspektor z IKR-u. Nawet długo nie byli, badali tylko po linii behape. Ale, panie Franciszku, tę dziurę w rogu na dole to trzeba dziś naprawić. Przecież złodziej może tamtędy się przedostać, wystarczy tylko trochę otwór poszerzyć. No i niech pan koniecznie zainstaluje gaśnicę. I ten wentylator trzeba wreszcie naprawić. Widać chodzą teraz kontrole co do behape, musimy uważać, bo za jakiś czas mogą przyjść i sprawdzić, czy wszystko zrobione.

- Tak jest, panie dyrektorze - Oziębło uklonił się nisko, wycofując tyłem z gabinetu. Był oszołomiony, wniebowzięty, nic z tego nie rozumiał i postanowił, że wieczorem się upije.

Zrobił to z taką samą sumiennością, z jaką wypełniał karty rozliczeniowe i przyjmował towar do magazynu. Zaczął od dwóch kieliszków koniaku, wypitych do czarnej kawy o szóstej po południu, w przyzwoitym barze Śródmieścia. Skończył w knajpie „Pod Rogaczem”, na Pradze, kiedy dochodziła już północ.

I właśnie w tym lokalu trzeciej kategorii przysiadła się do niego chuda, nerwowa brunetka w łososiowej jedwabnej bluzce i białej spódnicy. Miała twarz w pryszczach, ale jemu zdawało się, że to piękność.

- Piękność nocy... - tak powiedział, obmacując pod stołem jej chude, kościste kolana. - Dam ci wszystko, co byś chciała, moja piękności. Powiedz, co byś chciała?

Dwie inne prostytutki chichotały, przysłuchując się pijackiemu mamrotaniu.

- Lala ma dziś fart - mruknęła ta, o której mówiono Portowa Dziewczyna, bo najchętniej chodziła z partnerem na trawę pod wierzby, w Porcie Czerniakowskim. Pochodziła ze wsi i to jej przypominało rodzinne strony, tak przynajmniej twierdziła.

- Weźmie go gdzieś na świeży luft i odstawi swój numer - powiedziała druga, starsza o parę lat, zwana Racuch, bo była mała, tęga i rozlazła. - O, już wstają. Chciałabym to widzieć, rany koguta!

Czarna Lala prowadziła Franciszka Oziembłę pod rękę, ostrożnie i powoli, jakby był zrobiony z porcelany, dążąc w kierunku drzwi. Oziembło stawiał nogi z pewnym trudem, wyrzucając je przed siebie

niby narowisty koń i powtarzając ciągle o nocnych pięknościach. Tak opuścili bar i doszli do najbliższego postoju taksówek. Pierwszy i drugi kierowca stanowczo odmówił: nie weźmie pijaka, bo mu zanieczyści samochód. Trzeci machnął ręką z rezygnacją i otworzył przed nimi drzwiczki. Ostrzegł tylko, że jakby co, to muszą dodatkowo zapłacić.

Jechali przez pustawe ulice. Oziębło kiwał się sennie; rozgrzane wewnątrz wozu usypiało go. Czarna Lala obserwowała jezdnie, czy nie widać na nich zwiększonych ilości patroli i radiowozów, bo to by mogło oznaczać „stan wyjątkowy” dla takich jak ona.

Wysiedli na Rozbracie, przy Parku Kultury na Powiślu. Lala wzięła od swego partnera pięćdziesiątkę i wetknęła w rękę kierowcy, nie żądając reszty. Mruknął coś przychylnie i szybko odjechał. Widział, co się święci, ale takie sprawy go nie obchodziły, nie chciał mieć z tym nic wspólnego.

Weszli do pustego parku. Dziewczyna przytuliła się do magazyniera, a w nim nagle rozbudziły się wszystkie żądze, poczuł się bardzo męski i bardzo zaborczy. Wtedy Lala – po raz nie wiadomo już który – rozegrała swój „numer specjalny”, który był jej pomysłem, opatentowanym wśród innych prostytutek. Kazała ściągnąć mu marynarkę i

rozłożyć na trawie, a sama urządziła regularny striptease. Kiedy jednak usiłował ją pochwycić, skryła się za krzakami i zawołała ze śmiechem:

- Goń mnie, staruszkule!

Więc roznamiętniony Oziembło, potykając się i sapiąc ze zmęczenia, rzucał się to na ten, to na tamten krzak bzu lub czeremchy, a pryszczata dziewczyna wodziła go tak z kwadrans, póki absolutnie wyczerpany nie padł na trawę, dysząc jak po maratońskim biegu. Jedyńm osiągnięciem było to, że trochę wytrzeźwiał.

Ale Czarnej Lali już nie znalazł w parku. Znikła bezpowrotnie, zabierając z jego marynarki portfel, w którym było ponad dziesięć tysięcy złotych i wszystkie dokumenty. Zabrała też pozłacaną papierośnicę i zagraniczną zapalniczkę.

Trzeba zresztą gwoli uczciwości dodać, że dokumenty znalazł nazajutrz pracownik poczty w jednej ze skrzynek i zwrócił właścicielowi.

Po nocnym szaleństwie Oziembło przyszedł do pracy z twarzą tak zmiętą i wyplutą, że dyrektor spotkawszy go na korytarzu pogroził mu palcem.

- Co za dużo, to niezdrowo, panie Franciszku - powiedział z naganą w głosie. - Trzeba się szanować.

Mówiąc to, miał na myśli nie tyle ludzki szacunek, ile wątrobę i nerki.

„Dzisiaj przynajmniej wiem, o co mu chodzi” – pomyślał Oziembło z zadowoleniem. I było to jedyne zadowolenie w całym tym zdarzeniu.

*

Zeszli się wieczorem, była to bowiem pora, kiedy w Komendzie panował względny spokój. Nie urywały się telefony i nie zaglądało kierownictwo, a – według cichej opinii Szczęsnego – to ostatnie przeszkadzało najbardziej.

Umieścili się na górze w salce konferencyjnej. Kręglewski i Stecki przyprowadzili wywiadowców, chwilowo zatrudnionych w fabryce „C-4”, w Zakładach Przyrządów Pomiarowych i w Centrali Handlowej. Siedząc dokoła długiego stołu, dzielili się cierpkimi uwagami na temat „swoich” instytucji i życia biurowego w ogóle.

– Bez wstępów! – uprzedził Szczęsny, ślizgając się wzrokiem po twarzach. – Zaczniemy od fabryki „C-4”. Proszę, sierżancie Bielik.

Bielik podsunął w stronę kapitana taśmy z nagranyymi głosami. Było ich sześć. Sześć osób, które ewentualnie miały coś wspólnego z kradzieżą

chemikalii z wagonów. Przy jednej osobie sierżant zawahał się: główny inżynier, zastępca dyrektora naczelnego... W fabryce niektórzy są do niego uprzedzeni. Jakieś reminiscencje z przeszłości, jakieś konflikty osobiste, słowa rzucane półgębkiem, nie domówione zdania. W sumie, cień podejrzeń. Ale i brak jakichkolwiek dowodów. Świetny fachowiec, tyle że z ludźmi nie bardzo umie.

- Wiedział o dostawie?

- Cała dyrekcja wiedziała - Bielik był skrupulatny.

- Ale on jeździł w tej sprawie za granicę. Miał tam stare kontakty.

- Towar nie poszedł za granicę - przypomniał Szczęsny. - Mieliliśmy dowód u Bryi.

- Neopren to mógł być odprysk. A reszta?

Poza dyrektorem w grę wchodzili jeszcze inni. Każdemu dało się coś przykleić, każdy był dobry - jak na niego spojrzeć z jednej strony, i podejrzany - jak z drugiej.

Reszta grupy z fabryki „C-4” potwierdziła opinię sierżanta Bielika. Ogólnie przypuszczano, że stamtąd wyjść musiała informacja o dostawie chemikalii i że wagony celowo pozostawiono na boczniczy bez wartowników. Parę osób za to już zresztą poszło siedzieć, ktoś tam otrzymał nagane, ale mogły to być

kozy ofiarne, za którymi krył się właściwy winowajca.

- Wołga? - Szczęsny spojrzał pytająco na drugą grupę.

Tutaj było gorzej. O nowej wołdze dla dyrektora wiedziało kilkadziesiąt osób, a może i więcej. Kierowca opowiadał o niej w warsztacie mechanicznym, w stołówce, w zaopatrzeniu, w sekretariacie, gdzie się dało. Wszystkie duże fabryki i zakłady od dawna miały już zielone i kremowe wołgi, tylko u nich dyrekcja telepała się wciąż starą warszawą, aż wstyd było zajeżdżać na narady do Zjednoczenia.

Teraz nareszcie miało być inaczej, więc kierowca czuł się niemal szczęśliwy i niecierpliwie czekał na przydział.

- Można powiedzieć, że wiedziało o tym pół załogi - stwierdził melancholijnie plutonowy Wołczyk. - Skoncentrowaliśmy się wpierw na warsztacie mechanicznym, ale to nam nie pasowało. W końcu dogrzebaliśmy się paru spraw karnych. Ci ludzie już odsiedzieli, zostali przyjęci z powrotem do pracy i dotąd nikt się na nich nie skarżył, ale wiecie, jak to bywa z tymi, co...

- Wiem - przerwał Szczęsny niecierpliwie. - Nie zawsze tak bywa. Z tego wynika, że to jest wasz jedyny punkt zaczepienia?

Wołczyk przyznał, że tak. Nagrali szesnaście taśm z głosami.

- Mało czasu - dodał w formie usprawiedliwienia.
- Tam by trzeba było posiedzieć parę miesięcy, to może by się coś znalazło.

Z informacji trzeciej grupy wynikało, że w Centrali Handlowej ktoś mógł wiedzieć i o wagonach, i o wołdze, Centrala zaopatrywała bowiem wszystkie większe fabryki.

Ta grupa była liczniejsza i składała się z najlepszych pracowników, pomiędzy którymi było dwóch oficerów.

- Wytypowaliśmy - mówił porucznik Kręglewski - osoby, które mogły wiedzieć o jednym i drugim. Takich osób jest osiem. Są to ludzie, którzy bądź sami opracowują projekty dostaw i rozliczenia, bądź zlecają je swoim podwładnym. Należy tu na przykład kierownik wydziału elektrotechnicznego, który jednocześnie zajmuje się przydziałem samochodów dyrekcyjnych. Prócz tego są referenci, którzy przychodzą do fabryki dla omówienia, powiedzmy, dostaw jakichś maszyn, ale przy okazji pośredniczą w

przydziale wozów. Według mnie, tacy właśnie mogli być, a raczej mogą być stałymi informatorami właściwych złodziei. Mam tu na myśli tych z Nowogrodzkiej.

- Czyli uważasz, że pokerzyści z szulerami dokonują kradzieży opierając się na danych, których dostarczają im pracownicy Centrali?

- Tak sądzę. Neopren znaleziony u Andrzeja Bryi to nie odprysk kradzieży chemikalii. Towar na pewno nie wyszedł poza granice kraju. Oni to mają gdzieś tutaj. Oczywiście, mogli już część sprzedać.

- Nie udowodnimy im kradzieży. Trzeba by się dostać właśnie do tych mniejszych płotek, informatorów i paserów.

- Kapitanie, a gdyby zamknąć to całe towarzystwo z szulerni, razem z tajemniczym doktorem Hacenem, i zacząć normalne dochodzenie?

- Zamknąć? Najłatwiej. I skompromitować się do obrzydliwości. Hacen okaże się na przykład krewnym zagranicznego dyplomaty, adwokaci tamtych podniosą krzyk, rewizja nic nie wykryje i leżymy na całym. Jak wy sobie właściwie wyobrażacie naszą robotę? To nie służba zewnętrzna ani drogowa.

Bielik opuścił głowę. Kapitan miał rację, tu trzeba było skrupulatnie zbierać dowody, zanim się powie

słowo o aresztowaniu.

- Ze wszystkich zebranych głosów odłożyliśmy oddzielnie te, których właściciele są w tej chwili za granicą - mówił dalej mały porucznik. - Nie brałem pod uwagę samej Anglii, bo gość mógł być w pięciu innych krajach i tylko wracać przez Southampton. Oczywiście pamiętam o tym, że doktor Hacen może być obywatelem innego kraju i wyjechał bez udziału naszego biura paszportowego. Trochę dziwne, że tego wyjazdu nie odnotowały placówki WOP-u.

- Po prostu gość nazywa się w rzeczywistości inaczej. Nazwisko Hacen przybrał sobie może dla tamtych karciarzy, może z innych powodów.

- Możliwe. Pozostanie nam więc obserwacja pasażerów podczas powrotnego rejsu „Batorego”. Ale to później. Na razie wyodrębniliśmy jedenaście taśm. Ci ludzie wyjechali na polskie paszporty, służbowo lub prywatnie. Tylko jeden z nich kupił w Warszawie powrotny bilet na „Batorego”.

- Kto to jest?

- Właśnie ten dyrektor techniczny z fabryki „C-4”, Stanisław Renkler.

- Kiedy wyjechał? - Szczęsny zwrócił się do Bielika.

Po uzgodnieniu terminów okazało się, że Renkler opuścił Polskę mniej więcej w tym samym czasie, kiedy mógł wyjechać doktor Hacen. Wprawdzie rysopis dyrektora zupełnie nie odpowiadał rysopisowi doktora, ale wygląd można zmienić, o tym pracownicy milicji wiedzieli najlepiej.

- Przegraliśmy wczoraj te jedenaście taśm, porównując je z głosem, którego dostarczył pracownik „X” - rzekł Kręglewski. - Żadna mi nie pasuje. Hacen ma jakiś taki charakterystyczny cichy głos, trochę zachrypnięty, powolny... A najmniej ten głos odpowiada właśnie głosowi Renklera. Według mnie powinniśmy zrezygnować z koncepcji, że Hacen to przebrany kierownik czy dyrektor. Natomiast uważam, że informator, względnie: informatorzy Hacena i tamtych siedzą w Centrali Handlowej.

Szczęśny milczał przez chwilę, kreśląc na papierze jakieś wzorki; w końcu wyszedł z tego kot na dachu, niemal tak duży jak cały dom.

- Poślemy taśmy do Zakładu Kryminalistyki - powiedział, dorabiając kotu dłuższy ogon. - Niech nam zrobią próbę identyfikacji głosów. Tych jedenastu z głosem Hacena.

- Dwanaście taśm? Będą wściekli.

- Przeżyjemy to. Przecież w tym celu je nagraliśmy, do licha. Może to jest minimalna szansa, ale nie możemy jej zaniedbać.

- A jeżeli nic z tego nie wyjdzie?

- Będziemy szukać i próbować dalej. W każdym razie trzeba się bardzo śpieszyć. „Batory” wraca za niecałe dwa tygodnie.

Rozdział 7

M/S „Batory” wracał. Wiózł komplet pasażerów z Montrealu; kilkudziesięciu z nich wysiadło w Southampton, na ich miejsce przybyli jednak nowi, prawie sami Anglicy płynący do Kopenhagi i Gdyni.

Pasażerowie z Kanady, zmęczeni kilkudniowym oceanicznym sztormem, wzdychali z troską: oby nie wyhuściła dodatkowo na Kanale, a potem na Bałtyku. Załoga statku pocieszała, że Kanał to głupstwo, a Bałtyk podobno od tygodnia równy jak stół. W rzeczywistości, na całym polskim Wybrzeżu szalał sztorm, i kucharz – ten najgłówniejszy – orzekł, że zapasy w lodówkach starczą na połowę następnego rejsu.

Kanał La Manche i Morze Północne przywróciły Kanadyjczykom wiarę w rozkosze morskiej podróży oraz apetyt. Było ciepło, cicho, słonecznie. „Batory” sunął po gładkiej fali niczym baletnica, jego kadłub nie skrzypiał i nie trzeszczał złowrogo jak na Atlantyku.

Dopiero następnego dnia pod wieczór, kiedy przepłynęli już Skagerrak, znowu rozpoczęła się huśtawka. Bałtyk pokazał, co potrafi, nawet w lipcu, nawet przez te ostatnie kilkanaście godzin rejsu.

Dziennikarz z prasy warszawskiej, który właśnie zamierzał uciąć mały wywiad z lekarzem okrętowym, poczuł nagle, że nie jest w stanie ani rozmawiać, ani notować. Poczęstowany przez lekarza szklanką wermutu i dwoma specjalnymi pastylkami „dla bliższych znajomych” – zasnął w swojej kajucie, zanim zdążył pomyśleć o czymkolwiek. Zbudził się rano, kiedy statek dopływał już do Gdyni. Nie słyszał więc nocnego zgiełku, pojękiwań i różnego typu odgłosów. Nie słyszał również, choć tego później (o wiele później) bardzo żałował, bo przecież był dziennikarzem – jak mimo sztormu do statku podpłynęła motorówka.

Mężczyzna, który tej burzliwej nocy stał na jednym z pokładów, niewrażliwy był, widać, na kołysanie i silny, porywisty wiatr. Ubrany w nieprzemakalny płaszcz i sportową czapkę w czarnobiały rzucik, kupioną w Anglii, tkwił przy burcie na nogach szeroko rozstawionych i wpatrywał się w ciemność, z rzadka przerywaną dalekimi błyskawicami.

Ktoś z załogi przebiegł przez pokład, zatrzymał się przy stojącym i uważnie zajrzał mu w twarz.

- O co chodzi? - spytał mężczyzna głosem stłumionym przez wicher.

- Nie ma pan chyba zamiaru tam skoczyć? - marynarz na wpół żartobliwie pokazał palcem w dół. Podczas jednego rejsu zdarzył się taki wypadek i mieli potem z tego powodu masę nieprzyjemności.

- Niech pan się nie obawia. Po prostu nie mogę zasnąć i wolę być na świeżym powietrzu. W kabinie jest duszno, a w dodatku mój współpasażer choruje, więc pan rozumie...

- Tak, to jest zaraźliwe, jak się na coś takiego patrzy - przyznał marynarz. - Tylko proszę uważać, lepiej niech pan się trzyma barierki. Zresztą sztorm już się kończy, za godzinę będzie po wszystkim.

Odszedł, a mężczyzna znowu wpatrzył się w białe, odległe błyskawice. Rzeczywiście, morze jak gdyby powoli uspokajało się, choć fale huczały jeszcze i przelewały się z grzmotem, ale wiatr był już nieco słabszy.

Mimo to nie usłyszał stąpania kilku par nóg po pokładzie, może zresztą tamci szli ostrożnie i powoli. Dopiero kiedy ktoś położył mu rękę na ramieniu, niechętnie odwrócił głowę, przekonany, że znowu

ktoś z załogi podejrzewa w nim samobójcę. Uśmiechnął się nawet ironicznie, takie to było dalekie od jego pragnień i zamiarów.

Uśmiech ten zgasł jednak momentalnie, kiedy jeden z trzech stojących przy nim mężczyźn powiedział:

- Pan Ignacy Białkowski, prawda?

- Tak - odparł, usiłując opanować nagły lęk - nazywam się Białkowski. Ale kim panowie są? I o co chodzi?

- Proszę, niech pan pozwoli z nami do kabiny.

Najbliżej stojący mężczyzna wyjął z kieszeni metalowy znaczek i podsunął mu przed oczy, przyświecając latarką.

Na znaczku był orzeł i napis „Komenda Wojewódzka Milicji Obywatelskiej”.

- Czy coś się stało? - próbował jeszcze opanować sytuację. Wiedział bowiem, co się może stać w kabinie. Dobrze pamiętał, że małe pudełeczko z niewinną naklejką i napisem „Cadbury's Bournville chocolate” leży na dnie walizki.

- Przecież nie będziemy rozmawiać na tym wietrze i w ciemności - rzekł niecierpliwie któryś z nich. - W kabinie dowie się pan wszystkiego. Chodźmy!

- Tam jest jeszcze drugi pasażer - zaproponował. - Nie chciałbym przy nim...

- Pański współlokator został umieszczony w szpitaliku, bo się rozchorował. No, chodźmy!

Na pozór zgodnie zeszli we czwórkę na niższy pokład, gdzie znajdują się kabiny klasy turystycznej. Kiedy już byli w środku i któryś zamknął drzwi, Białkowski nagle zaprotestował:

- Żądam, aby tu przyszedł kapitan statku. To jest bezprawie. „Batory” płynie jeszcze na wodach eksterytorialnych i milicja nie ma tu nic do roboty.

- Idźcie po kapitana - powiedział szczupły mężczyzna zmęczonym głosem. - A tak nawiasem mówiąc, to jesteśmy już od pewnego czasu na wodach polskich. Ale niech będzie przy tym kapitan.

Przy milczącej asyście pierwszego oficera, wydelegowanego przez kapitana, który był zbyt zajęty, okazano Białkowskiemu nakaz rewizji podpisany przez prokuratora. Wzruszył ramionami, usiadł na brzegu łóżka i bez słowa przyglądał się, jak otwierano walizkę i torbę podróżną. Na czubku jego łysej czaszki lśniły krople potu, małe oczy zdawały się jeszcze mniejsze i niemal całkowicie skryły się pod powiekami.

Wiedział, że skompromitować go może tylko pudełko czekoladek, nic więcej. Zastanowił się przez chwilę, czy nie dałoby się zrzucić całej odpowiedzialności na kogoś z Anglików. Mógł to być prezent dla znajomego w Polsce, prosta grzeczność nakazywała przecież zabrać niewielkie pudełko ze słodyczami. Po upominek ktoś miał się zgłosić, nie wie kto, nie interesowało go to, zostawił tylko swój adres.

Przymknął powieki, układając sobie to wszystko jak należy, po kolei, wybierając najrozsądniejsze argumenty. Kiedy otworzył oczy, pudełko stało na stoliku. Ten szczupły przyglądał się uważnie czekoladkom poowijanym w kolorowe papierki.

- Co to jest? - spytał zwracając głowę w stronę Białkowskiego.

- To, co pan widzi. Czekoladki. Upominek od jednego z londyńskich znajomych dla kogoś z ambasady w Warszawie.

Pierwszy oficer, który stał oparty o drzwi, wyraził oczami umiarkowane zainteresowanie. Szczupły spojrzał w jego kierunku.

- Zna pan tę firmę? - podsunął mu pudełko.

- Kupowałem czasami. Były bardzo dobre. Zresztą... - oficer obejrzał dokładnie pudełko - nie

wiem, może były trochę inne. W każdym razie bez tych papierków.

- Tak? - Szczupły rozwinął jedną czekoladkę, powąchał, potem ostrożnie przekrajał na pół. Z cieniutkiej pokrywy czekoladowej wysypał się na papier biały proszek.

Białkowski patrzył na to z ogromnym zdumieniem, jego cienkie brwi coraz to bardziej unosiły się w górę. Wreszcie wyjąkał:

- C-co... co to jest?

- Prawdopodobnie heroina - mruknął szczupły. - Pan nie wiedział, panie Białkowski? - W głosie jego była ironia. Przyjrzał się łysemu pasażerowi, pokiwał głową. - No cóż, przyjdzie chyba posiedzieć do sprawy. Przemyt narkotyków, w dodatku tych najgorszych...

Wyciągnął z kieszeni nakaz aresztowania.

*

Po zakąskach i paru kieliszkach eksportowej, zamrożonej tak dobrze, że na szkle osiadła rosa, kelner przyniósł kurczęta po polsku i sałatę. Drugi kelner nalewał już do smukłych kieliszków lekko podgrzanego burgunda, bacząc, aby zachować właściwą kolejność. W lot oceniwszy sytuację,

rozpoczął od przewodniczącego rady zakładowej. Zaraz po nim napełnił kieliszek dyrektora. Potem dopiero zwrócił się w stronę naczelnika wydziału i innych urzędników Biura Projektów. Był to bowiem kelner doświadczony.

Ostatni otrzymał burgunda gospodarz przyjęcia, starszy księgowy Jerzy Zdanowicz. Podejmował on w restauracji Grand Hotelu swoich gości proszoną kolacją, z okazji jakiejś tam rocznicy w pracy zawodowej. Okazja nie miała znaczenia, o wiele ważniejsze były pieczone kurczaki i na przykład to, czy do nadzienia kucharz nie zapomniał dodać koperku.

- No, to pańskie zdrowie, panie Jerzy! - dyrektor uniósł kieliszek w stronę księgowego. - Niech nam pan długo żyje i pracuje u nas - zawahał się, rzucił na chybił trafił - drugie dwadzieścia lat.

Wszyscy wypili, po czym dyrektor uzupełnił toast zwracając się do przewodniczącego rady:

- Kolega Zdanowicz to opoka naszej instytucji. Niezłomny, bezwzględny dla leniów i utracjuszy, jeden z najsolidniejszych ludzi, jakich znam.

Księgowy uśmiechnął się przelotnie. Pochylił głowę w ukłonie, dziękując bez słowa.

- Takich pracowników wysoko cenimy - rzekł przewodniczący. - I nagradzamy. W miarę możliwości - dodał śpiesznie. Pomyślał, że obietnica nic nie kosztuje, więc jeszcze dorzucił coś na ten temat.

Naczelnik wydziału machnął ręką z pobłażaniem.

- Ależ on miał już tego tyle...

- Kurczęta stygną, proszę panów! - przerwał z zażenowaniem Zdanowicz.

Nie był pewien, czy nie należało powiedzieć „towarzyszy”, ze względu na obecność przewodniczącego, zwrot ten jednak trochę nie pasował do sali restauracyjnej i całej atmosfery przyjęcia.

Pierwszy kelner, czarnowłosy pan Stanisław, przysłuchiwał się wszystkiemu z kamienną twarzą, na której tylko czasami pojawiał się zawodowy, uprzejmy uśmiech. To co myślał, było jednak bardzo dalekie od wszelkiego rodzaju uśmiechów.

O wpół do jedenastej, po czarnej kawie z jarzębiakiem, dyrektor spojrział wymownie na zegarek i dał hasło do rozejścia się. Wstawali od stołu najedzeni, ociężali, z przyjemnym szumem w głowie i uczuciem zadowolenia. Zdanowicz, dyskretnie odsunąwszy się na bok, regulował

rachunek, po której to czynności kelnerzy również byli zadowoleni, a w każdym razie jeden z nich.

Na Kruczej niektórzy goście - czując ogromną potrzebę przechadzki - poszli pieszo, ktoś tam wsiadł do trolejbusu, ktoś inny złapał przed hotelem odjeżdżającą taksówkę.

Zdanowicz, któremu w hallu hotelowym raz jeszcze serdecznie podziękowano za udany wieczór, pożegnał gości najmiłym ze swych uśmiechów, dodał okolicznościowy dowcip, po czym z westchnieniem ulgi zagłębił się samotnie w ulicę Nowogrodzką. Wiedział, że u Antoniego będą na niego czekali.

Rzeczywiście, Maliniak i Bryja grali z dwoma obcymi pokerzystami, a Oziembło - jeszcze zdeprymowany przygodą z Czarną Lalą - kibicował im bez zapału. Na widok Zdanowicza zakończyli grę po kilku minutach i udali się we czwórkę do ostatniego pokoju.

- Jutro „Batory” przy pływa do Gdyni - rzekł inżynier dłubiąc w uchu końcem zapałki. - Miałem dwa dni temu list z Londynu od doktora Hacena. Pisze, że zatrzyma się na Wybrzeżu, aby coś tam załatwić, i będzie w Warszawie około piątku. Umawia się więc z nami na sobotę wieczór. Tutaj.

- Dobrze - Bryja odetchnął z zadowoleniem. - Przyznam się, że bez jego informacji mam trochę kłopotów. Wołgę wprawdzie sprzedaliśmy, ale to już stara historia. Potrzebuję więcej forsy na lato - roześmiał się.

Zdanowicz obrzucił go wzrokiem, w którym była pobłażliwa sympatia, i zapytał:

- Dokąd pan się wybiera?

- Chcę pojechać Transylwanią. Oczywiście nie sam... A dwa bilety, no i coś do ręki, trochę zakupów, odświeżenie garderoby, to kosztuje. Ostatnio prócz wołgi nic nam nie wpadało.

Maliniak westchnął. Swój przydział ze sprzedaży samochodu przegrał jednego popołudnia na Służewcu.

Starszy księgowy również pragnął szybkiego powrotu doktora. Jasnowłosa Irena zaczęła przejawiać chwile roztargnienia wobec jego pieśczoć. Przyparta do muru wyznała, że potrzebny jej jest nowy samochód. Pomarańczowo-biały wartburg miała już dwa lata i sprzykrzył się do niemożliwości. Poza tym, kto dzisiaj jeździ wartburgiem? Jest tyle atrakcyjnych, eleganckich wozów najróżnorodniejszej marki, które można kupić za głupie pięćdziesiąt czy sto tysięcy.

- Ale ja nie mam stu tysięcy - powiedział jej wtedy zirytowany.

- To się postaraj - odparła chłodno.

Więc się starał. Nie było to jednak takie proste; okazało się, że kilkutygodniowa nieobecność doktora Hacena uczyniła ich bezradnymi jak złodziejskie niemowlęta. Hacen przyzwyczaił ich do swych pomysłów, dokładnych, ściśle obliczonych i niemal zagwarantowanych, że się powiodą. Nie wiedzieli, od kogo czerpie informacje. Zdanowicz, najbystrzejszy z nich wszystkich, sądził, że doktor ma co najmniej kilku informatorów w poszczególnych centralach i zjednoczeniach, wolał jednak o nich nie pytać. Zresztą zdołał się już przekonać, że na mniej dyskretne pytania Hacen w ogóle nie odpowiada. Kiedyś próbował sobie przypomnieć, gdzie go właściwie poznał i przez kogo. Pytał nawet o to Maliniaka, a potem Bryję; obaj wzruszali ramionami. W końcu doszedł do wniosku, że było to pewnie u Antoniego.

- Czy doktor nie napisał, aby ktoś z nas przyjechał do Gdyni? - spytał Andrzej obojętnym tonem. Miał z Hacenem do pomówienia w cztery oczy, ale nie chciał z tym się zdradzić.

- Nie. I dlatego nie trzeba, abyśmy go witali na „Batorym” niczym reemigranta z Kanady - odparł cierpko Maliniak. - Utrzymujemy przecież zasadę, aby się nie spotykać ani w domu, ani w lokalach czy nawet na ulicy. Tylko to, co najkonieczniejsze podczas załatwiania transakcji.

Zdanowicz uśmiechnął się. Zabrzmiało bardzo ładnie: „załatwianie transakcji”. Ostatecznie można to i tak nazwać.

Rozmawiali jeszcze chwilę, potem Oziembło pożegnał się i wyszedł, a tamci postanowili pograć dobrawszy sobie obcego partnera. Bryja zaproponował „Hrabiego”, który bawił ich swoją głupotą i nieprawdopodobnymi pomysłami w grze.

Ale „Hrabiego” nie było. Antoni poinformował ich, że gdzieś wyjechał, pewnie leczyć swoją zalkoholowaną wątrobę. Rozejrzał się bystro po stolikach i wskazał na któregoś z kibicujących graczy, znudzonego bezużytecznym zajęciem. Owszem, gracz miał ochotę na partię pokera.

*

Andrzej Bryja spóźnił się. Mimo soboty, a może zresztą właśnie dlatego, w warsztacie było urwanie głowy z pilnymi naprawami samochodów. Załatwiał

tylko to, co się dało wykonać od ręki, resztę odkładając na poniedziałek, i co chwila spoglądał na zegarek. W końcu kazał pomocnikowi stanąć przy bramie i odsyłać klientów do innych warsztatów.

Zakończyli jednak pracę dopiero po dziewiątej wieczorem. Nie wracał już więc do domu, umył się w kantorku i przebrał w co było pod ręką. Wskoczył do samochodu, jechał jak wariat i po sześciu minutach był na Nowogrodzkiej. Zaparkował wóz kilka domów dalej, przed restauracją, przestrzegając w tym względzie zaleceń Antoniego.

Tamci trzej czekali na niego przy stoliku, ale nie grali. Spóźnionego Maliniak powitał niechętnym warknięciem i zaraz podniósł się z krzesła.

- Przyjechał? - Andrzej nie mógł ukryć zaniepokojenia.

- Tak - odrzekł Zdanowicz. - Idziemy.

W małym pokoju paliła się jak zwykle niewielka lampka, przysłonięta zielonym abażurem. Kiedy weszli, doktor Hacen siedział w wiklinowym fotelu pod oknem, patrząc na nich spoza błękitnych okularów.

Bryja odetchnął z ulgą. Szczerze mówiąc bał się, że Hacen już z Anglii nie wróci. Wiedział, że doktor ma sporo znajomych, podobno nawet krewnych, i

podejrzewał, że większość gotówki z przeprowadzanych „transakcji” przesyła jakąś tajemniczą drogą do Londynu. Uzbierałoby się tego sporo. Wystarczająco dużo, aby ten niemłody, schorowany człowiek mógł żyć za granicą zupełnie wygodnie.

A jednak wrócił.

- Dobry wieczór panom - powiedział swym cichym, zachrypniętym głosem. Przypatrywał się każdemu po kolei, jakby ich z rok nie widział. Sfałdowana, ciemna twarz była nieruchoma, nie mogli z niej nic odczytać. Mimo to, każdy czuł na sobie ten ciężki, uparty wzrok. Nie było to zbyt przyjemne.

Usiedli, Bryja jak zwykle przy drzwiach, które zamknął na klucz.

- Jak się udała podróż, doktorze? - spytał Zdanowicz uprzejmie, poprawiając kanty zaprasowanych spodni.

- Dziękuję, dobrze.

- Nie chorował pan? Podobno był sztorm na Bałtyku - wtrącił Maliniak.

- Tak. Nie chorowałem. Może któryś z panów poinformuje mnie, co tutaj zaszło przez te kilka tygodni...

Spojrzeni na siebie, inżynier odchrząknął, ale księgowy go uprzedził.

- Myślę, że będę wyrazicielem opinii nas wszystkich, jeżeli powiem szczerze, że brakowało nam pana, doktorze Hacen. Nasze zasoby gotówkowe zmniejszyły się poważnie i czekamy z niecierpliwością na następną operację finansową. Kolega Bryja - spojrzał w jego stronę - sprzedał wprawdzie jedną wołgę przydzieloną Zakładom Przyrządów Pomiarowych, ale była to w rezultacie niewielka suma.

- Ile?

- Sto szesnaście - odezwał się Andrzej. - Pański przydział, doktorze, jest u mnie. W każdej chwili do dyspozycji. Nie przyniosłem dzisiaj, bo nie byłem pewny... - urwał, zmieszał się.

Doktor Hacen z wolna obrócił na niego swoją kamienną twarz.

- Nie był pan pewien, czy wróćę? - szepnął bez zdziwienia. I nie czekając na odpowiedź, spojrzał znowu na Zdanowicza. - Proszę, niech pan kontynuuje.

- Mam trochę pretensji, że nie uprzedził pan nas, doktorze, o transakcjach, które miał przeprowadzić niejaki Biedrzoń, brat gdańskiego pasera, Jan

Biedrzoń z Mokotowa. Pojawił się u mnie w biurze niczym *deus ex machina*, powołując się na pana w dość niezdarny sposób, i skarżył się, że ma kłopoty z kupcem na trzy wołgi. Nic o tych wołgach nie wiedziałem, więc wyparłem się wszelkich znajomości z panem i wyprawiłem gościa za drzwi. Wieczorem kolega Maliniak połączył się telefonicznie z Gdańskiem, no i dopiero wtedy dowiedzieliśmy się, że tamten Biedrzoń ma rzeczywiście brata w Warszawie, który...

- Mieszka na Madalińskiego pod ósmym - przerwał mu Hacen. - Tak, to prawda. Zapomniałem panów poinformować, że na krótko przed wyjazdem gdański Biedrzoń zaproponował usługi swego brata i ja tę pomoc przyjąłem. Chodziło o dwie wołgi dla Zakładów „Róży Luksemburg” i jedną dla Warszawskiej Fabryki Pomp. Czy Biedrzoń tego jeszcze nie załatwił?

- Niestety, nie. Przyszedł do mnie następnego dnia; chciał wiedzieć, kiedy pan wraca, bo znalazł kupca na te samochody, ale podobno nie mógł on długo czekać. Powiedziałem mu, że pan wraca „Batorym”. Potem jednak pojechałem na Madalińskiego, bo trochę mi to wszystko nie grało. No i dowiedziałem się, że facet siedzi. Upił się gdzieś

w knajpie, awanturował i dostał sześć miesięcy w trybie przyśpieszonym.

- To niedobrze - głos Hacena zaostrzył się. Milczał przez chwilę.

- Gdyby żył mecenas Raczek... - odezwał się z kąta Oziembło i umilkł, przestraszony.

- Tak, gdyby żył Raczek, toby go pewnie z tego jakoś wykręcił - mruknął Maliniak przygryzając skórkę dookoła paznokcia. - Sądzę, że powinniśmy znaleźć nowego partnera, oblatanego w paragrafach, najlepiej jakiegoś adwokata.

- Nie takie łatwe - Zdanowicz pokręcił głową. - I bardzo ryzykowne.

- Wobec tego, że Biedrzoń siedzi, obawiam się, że tamte wołgi dla nas przepadły. No, trudno. Znajdziemy coś innego. Co dalej, panowie? A sprzedaż oscyloskopów, generatorów RC i woltomierza lampowego?

- Przez dwa dni przechowywaliśmy w magazynie u kolegi Oziembło, potem wywozłem je do Lublina, do naszego stałego punktu. Sądzę, że w tych dniach wszystko będzie sprzedane - wyjaśnił Maliniak.

- Czy lubelski punkt, ten na Krakowskim Przedmieściu, jest pewny? - spytał Hacen. Wydawało się, że ma jakieś wątpliwości.

Maliniak wzruszył ramionami.

- Jeżeli w ogóle o którymś z punktów można powiedzieć, że jest pewny, to właśnie o lubelskim. Ostatecznie, odstawiliśmy tam już niejedno i wszystko jest w porządku, a to trwa przecież... zaraz, we wrześniu będzie dwa lata.

- Tak - przytwierdził Zdanowicz. - Pierwszy raz posłaliśmy partię skóry z Radomia. Wtedy żył jeszcze Malecki i on to załatwiał. Ja uważam, że punkt w Lublinie jest zupełnie pewny.

- Dobrze. Poza wołgami i Lublinem, czy zaszło jeszcze coś interesującego?

Milczeli chwilę, zastanawiając się. Nie, to byłoby chyba wszystko. Żadnych przykrych niespodzianek ze strony władz, żadnych komplikacji.

- Na pewno? - doktor Hacen nagle odwrócił głowę w stronę Bryi. Ale ten wytrzymał jego spojrzenie. Ostatecznie, neopren należał mu się z przydziału i mógł nim dysponować. A że go stracił, to już był jego osobisty pech. Milicja nie przyszła przecież wówczas w sprawie kauczuku.

Toteż nic nie odpowiedział, dając Hacenowi do zrozumienia, że jego to pytanie nie dotyczy.

- W porządku, panowie - rzekł doktor. Uniósł się z trudem z wiklinowego fotela i stał przez chwilę,

pochylony do przodu, a na twarzy miał grymas bólu. Potem schylił się i wprawnym ruchem rozmasowywał nogę. - proponuję, abyśmy zebrali się tutaj za tydzień, to znaczy w przyszłą sobotę, już dla omówienia jakichś konkretnych planów. Ja zresztą będę tu zaglądał w ciągu tygodnia.

Wbrew zwyczajowi, pożegnał każdego uprzejmym uściskiem dłoni. Wychodzili, Andrzej ostatni. Przy drzwiach zawahał się, spojrzął na ciemną twarz Hacena, jak gdyby chcąc mu coś powiedzieć. Doktor stał bez ruchu, opierając się ręką o parapet. Nie ułatwił mu sytuacji, nawet nie popatrzał w jego stronę. Więc Bryja wyszedł i cicho zamknął drzwi za sobą.

Zdanowicz i Maliniak zatrzymali się jeszcze chwilę w pokoju pokerzystów, aby popatrzeć na grę. Oziębło, jak zwykle, uciekł do domu.

- Staruszkowi zebrało się dziś na życzliwość - mruknął inżynier.

- Po czym tak sądzisz?

- Podał nam rękę na pożegnanie. Dawniej nigdy tego nie robił.

- Pewnie zatęsknił za rodakami. Popatrz, „Hrabia” wrócił z kuracji. Panie Antoni - zwrócił się do

gospodarza - cóż to, „Hrabia” już zdążył wyleczyć wątrobę?

Ten machnął ręką lekceważąco.

- Podobno zwiął trzeciego dnia z sanatorium - odparł napełniając im kieliszki. - Widać, nie mógł wytrzymać na kaszce i kleikach. Panowie zagrają? Mam nowe ładne karty. Szwedzkie - pstryknął zachęcająco w zapieczętowaną talię.

Zgodzili się, a po chwili dołączył do nich zachmurzony Bryja.

*

- Majorze, obawiam się, że to zbyt poważne ryzyko. Pomijam już fakt, że kapitan Szczęsny wcale mnie nie uprzedził. Zawsze był niezdyscyplinowany.

- To również i moja wina. Ja powinienem był was zawiadomić, jako jego bezpośredni przełożony.

- Wiem zresztą, dlaczego żaden z was tego nie zrobił. Po prostu wiedzieliście, że się nie zgodzę.

- Nie zaprzeczam, pułkowniku.

- A w ogóle, do czego to podobne! Już jak Szczęsnemu coś przyjdzie do głowy... Wariackie pomysły. Przydzieliliście mu chociaż jakąś ochronę?

- Nie chciałem. Ale przydzieliłem, tylko że to diabła warte. Jego nawet nasi towarzysze nie upilnują.

- W milicji powinni służyć ludzie rozważni i rozsądni, nie tacy postrzeleńcy jak Szczęsny.

- Samiście mu dali najwięcej odznaczeń.

- Dałem, cholera, bo... no, bo na to zasłużył. A co, uważacie, że nie? Czego się śmiejecie?... Ech, z wami to też! Pijcie tę kawę, bo stygnie. Długo on tak myśli ryzykować?

- Aż do skutku.

- Z tym, że skutki mogą być dwa: albo będzie wiedział, albo zginie. Jak go znam, wcześniej nie ustąpi, chyba że go zamkniemy w areszcie.

- Nie radzę, pułkowniku. Nastąpiłaby szybka kompromitacja naszego aresztu.

- W to wierzę. Milicyjny Zorro!

- Dwa nie wykryte morderstwa, pułkowniku, ośmielam się przypomnieć. Zabójca chodzi na wolności. Ilu jeszcze ludzi postanowił wykończyć?

- Nie musicie mi o tym przypominać. Tam, na górze, robią to dość często. Ostatnio wczoraj. Co z sierżantem Tuczyńskim?

- Jest na punkcie trzecim. Tuczyński to chłopak z głową, szybki i bystry. Poza tym, mamy już

rozpracowaną ich melinę w Lublinie, przez tamtejszą komendę miasta. Mamy też adresy paserów i założyliśmy obserwację każdego z tych panów, co wcale nie jest łatwe, bo trzeba robić to ogromnie ostrożnie. Amerykański kauczuk celnicy zakwestionowali na granicy u pewnego Francuza i odebrali. Facet nawet nie podniósł krzyku; dostał przecież neopren za darmo.

- Jak się czuje pracownik „X”?

- Na „Batorym” nam zachorował. Był sztorm, wiecie, a on to źle znosi. Ale teraz już dobrze. Wrócił do karciami na Nowogrodzkiej i grywa; ostatnio karta znowu mu leci.

- Powiedzcie kapitanowi Szczęsnemu, że daję mu dwa tygodnie czasu. Po tym terminie nie zgadzam się na dalsze eksperymenty.

- Diabelnie mało czasu, pułkowniku.

- Trudno. Nie możemy ryzykować jego życia. Znajdziemy jakiś inny sposób na wykrycie sprawcy zabójstw.

*

Antoni życzył dobrej nocy ostatniemu z pokerzystów, zamknął wyjściowe drzwi na różnego typu zamki i

zasuwę, po czym szurając pantoflami wrócił do pokoju gry.

Jego żona, jak zwykle milcząca, zamyślona nad swoimi sprawami, porządkowała meble, przesuając stoliki i krzesła. Po kwadransie pokój wyglądał już jak zwyczajne, nieco zagracone mieszkanie. Być może, stało tutaj trochę za dużo krzesełek, zwłaszcza w korytarzu, ale to nikogo nie powinno było obchodzić.

Ziewając głośno, Antoni zebrał z bufetu butelki i zamknął je w spizarni. Żona myła kieliszki.

- A ten... jeszcze nie wyszedł? - spytała raptem, jakby coś sobie przypominała.

- Prawda!

Zapiął dla przyzwoitości jeden guzik rozchełstanej koszuli i postawszy chwilę pod drzwiami małego pokoju, ostrożnie uchylił drzwi.

Doktor Hacen siedział w fotelu pod oknem. Zdawał się drzemać.

- Panie doktorze... Już północ. Wszyscy poszli.

Siwa głowa drgnęła i odwróciła się w jego stronę.

Hacen położył ręce na poręczach, dźwignął się, syknął niecierpliwie i postąpił parę kroków kulejąc mocniej niż zwykle. Antoni przypatrywał się temu z troską w oczach.

- Ta jazda do Anglii panu zaszkodziła - powiedział i zacisnął szczęki, aby nie ziewnąć.

- Zaszkodziła mi wilgoć na morzu. W Londynie upał, susza. Nie powinienem był wracać statkiem.

- A odradzałem. Ale pan się uparł. Dać mrówczanego spirytusu do nacierania?

- Nie, dziękuję. Mam jeszcze trochę.

- Gdzież tam! Przed wyjazdem mówił pan przecież, że zostało tylko parę kropli we flasce.

- A, tak... Zapomniałem. To niech pan da.

Antoni otworzył szafkę w kącie pokoju, wyjął z niej półlitrową butelkę, obejrzał, potrząsnął głową mruczając coś do siebie i odstawił z powrotem. Druga butelka pełna była jakiegoś nieokreślonego płynu o mocnym, ostrym zapachu.

- Proszę - podał Hacenowi. - Niech pan tylko dobrze wciera w skórę, to pomoże.

Otworzył szerzej drzwi i czekał grzecznie, aż tamten wyjdzie pierwszy. Noga bolała jednak tak mocno, że doktor nie mógł sam iść. Antoni opasał go swoim grubym, silnym ramieniem i prowadził powoli w stronę kuchni.

- Otwórz! - rzucił do żony.

Wytarła ręce w fartuch, sięgnęła do małej skrytki w ścianie, prawie niewidocznej na tle kolorowej tapety w kwiatki, wyjęła stamtąd kluczyk oryginalnego kształtu. Wyminęła ich i podeszła do ściany zamykającej korytarz. Odsunęła wiszącą na niej makatkę, namacała otwór ukryty w podobnej jak w kuchni, pstrokatej tapecie, włożyła kluczyk. Ściana drgnęła, teraz były w niej drzwi wąskie, wysokie na wzrost człowieka.

- Podprowadzić pana, doktorze? - spytał Antoni, kiedy się zatrzymali przed tymi drzwiami. Prawdę mówiąc, nie chciało mu się iść. Był bardzo śpiący.

- Nie, dziękuję - odparł Hacen. - Dojdę już sam. Dobranoc.

- Dobranoc panu - odpowiedzieli oboje jednocześnie. Antoni dodał jeszcze: - Tylko niech pan nie przychodzi więcej tamtymi schodami. To niebezpieczne. Tędy ma pan zresztą bliżej.

- Tak, ale dzisiaj nie mogłem wejść.

- Zgubił pan klucz? - przestraszyli się oboje.

- Nie jestem pewien... Może na wszelki wypadek da mi pan swój, dopóki nie poszukam w domu dokładniej.

- Proszę bardzo - podał mu kluczyk. - Ale w takim razie niech pan za nami zamknie od strony schodów.

I niech... - zawahał się, potem dodał tonem prośby: - Niech pan lepiej znajdzie ten drugi klucz.

Drzwi zamknęły się za nimi bez szelestu, widać były dobrze naoliwione. Doktor Hacen przekręcił klucz i schował go do kieszeni. Na schodach było ciemno, żarówka na tym piętrze nie paliła się, tylko z góry padało trochę niewyraźnego światła. Wyjął więc latarkę i zaczął ostrożnie zstępować w dół. Zszedł na półpiętro, przystanął na chwilę, potem zagłębił się w długi, zupełnie nie oświetlony korytarz. Z końca korytarza schody prowadziły na parter i niżej, wprost na podwórze. Wyjścia na ulicę tutaj nie było.

Hacen przeciął podwórze na ukos, wszedł do drugiej oficyny, a stamtąd wdrapał się wąskimi, drewnianymi schodami na piąte piętro. Były tam tylko jedne drzwi do mieszkania i mały właz na strych.

Kiedy znalazł się już w niewielkim, dusznym pokoju, przede wszystkim szeroko otworzył okno nie zapalając jednak światła. Ochłodzone powietrze nocy otrzeźwiło go trochę. Usiadł pod oknem na starym wyplatany krzeselku, zrzucił okulary, oparł łokcie na parapecie i utkwiał wzrok w ciemnym niebie, po którym od czasu do czasu przelatywały jeszcze błyskawice.

„Burza się oddala” – pomyślał, opierając twarz na rękach. Był zmęczony. Błękitne okulary leżały na parapecie. Zdjął je stamtąd ostrożnie i odłożył na stół.

- Pochłodziła na dworze – odezwał się męski głos z kąta pokoju.

- Tak – odparł nie odwracając głowy.

- Przydał się deszcz – ciągnął tamten głos. – Okropnie suche lato w tym roku. Mogą być takie same upały, jak w zeszłym.

- Dopiero trzeci lipiec – mruknął. – Nie wiadomo, jak będzie dalej.

- Zagrzałem w kuchni wodę. Kawa też jest.

- Dziękuję.

Milczeli dłuższy czas. Wreszcie Hacén ocknął się z zadumy, przetarł oczy.

- Która godzina? – spytał. Nie chciało mu się spojrzeć na zegarek.

W kącie pokoju błysnęła zapalniczka i momentalnie zgasła.

- Za dwadzieścia pierwsza. Zamknę drzwi na zasuwę, czas spać.

- Żeby można nie spać, toby się więcej zrobiło.

- Chyba nie. A cóż można zrobić teraz, w nocy? Oni też na pewno śpią. W końcu, przecież to normalni ludzie.

*

Antoni siedział w kuchni, pił herbatę i obliczał zarobki z całego tygodnia. Nie były gorsze niż kiedy indziej; widać, pokerzystów nie odstraszał lipcowy upał.

Podsumował liczby, przepisał do zeszytu w ceratowej okładce, potem przejrzał jeszcze zawartość spizarki, w której trzymał alkohol. Pomyślał, że trzeba kupić trochę droższych koniaków, Armagnac i Hennessy, na tym najwięcej zarabiał.

- Jaśka! - zawołał do żony. - Szykuj więcej truskawek ze śmietaną. Teraz lato, goście nie chcą bigosu ani serdelków.

- Truskawki po dwadzieścia złotych kilo - mruknęła zawijając włosy na szpilki.

- No to co? Dasz na talerzyk siedem, osiem truskawek, łyżkę śmietany, policzysz po... niech będzie po szesnaście złotych. Albo szesnaście pięćdziesiąt, to lepiej brzmi. Zły interes? I tak mało kto będzie się domagał reszty z dwudziestaka.

- Mhm. Antoś, dawno chciałam ci się spytać, gdzie doktor mieszka?

- Doktor Hacen?

- Tak.

- Nie wiem. Nie moja sprawa. I twoja też nie, pamiętaj. Dostyc przy nim zarabiamy. Żebyś się go przypadkiem nie zapytała, słyszysz? Bo będę bił.

- Ojej, co ty tak zaraz... Przecież ciebie pytam, nie jego. A od czego on doktor?

- Cholera go wie. Sałatkę jarzynową trzeba jutro zrobić, goście to lubią.

- Jutro niedziela, nic nie kupię.

- Kupisz rano u Nowakowej, wejdiesz od tyłu, zawsze ma otwarte do dziesiątej. Majonez sam ukręcę, ty nie umiesz.

- Ale! - obraziła się.

Usiadł przy niej na tapczanie, poklepał po masywnych biodrach. Oczy mu się zamgliły. Nagle coś sobie przypomniał, odsunął się i zmarkotniał. A jeżeli doktor Hacen nie zgubił tego klucza, tylko mu ktoś ukradł? I w takim razie - kto?...

*

Inżynier Maliniak nie spał. Zmęczony i zły przewracał się to na jeden bok, to na drugi, próbował zasnąć na wznak, ale to było jeszcze gorzej. W szufladzie nocnego stolika leżała fiołka z fanodormem, a na stoliku stała szklanka z wodą, do której jego żona przed pójściem spać wcisnęła pół cytryny i lekko osłodziła.

Odkładał jednak moment, kiedy sięgnie wreszcie po pigułkę, wciąż zdawało mu się, że zaśnie bez tego. W ubiegłym tygodniu lekarz powiedział: „Jak najmniej środków nasennych. Niech pan się stara usnąć bez nich, proszę wieczorem pójść na przechadzkę, choćby półgodzinną. Doradzam również chłodny tusz przed snem. Dopiero w ostateczności... Zresztą, przepiszę teraz fanodorm, to będzie dla pana lepszy środek niż ten, co pan brał poprzednio. Ale przypominam: w ostateczności!”

Leżał i czekał, zastanawiając się, czy to już jest ta „ostateczność”, czy jeszcze nie. W drugim pokoju żona i czternastoletnia córka Danuta spały już od paru godzin, poprzez uchylone drzwi słyszał ich głębokie, rytmiczne oddechy. Danką pojękiwała czasami, pewnie śniło jej się coś niedobrego.

Usiadł na tapczanie, zaświecił lampkę. Ostrożnie podszedł do drzwi i zamknął je, aby nie zbudzić

kobiet. Włożył okulary, sięgnął po gazetę, zaraz jednak odrzucił ją ze znudzeniem.

Przyszło mu na myśl, aby przejrzeć zawartość skrytek. Robił to nie tak dawno i wiedział, że nic się w nich nie zmieniło, przeglądanie sprawiało mu jednak dużą przyjemność. Skrytki były w dolnych częściach ciężkiego, masywnego biurka z czarnego drzewa, kupionego gdzieś okazjnie za drogie pieniądze jako prawdziwy heban. Potem zresztą okazało się, że to wcale nie heban, lecz malowany na czarno dąb; niemniej biurko wyglądało solidnie, a nawet imponująco.

Lubił stare, duże i ciężkie meble, wielkie dywany, kute w brązie żyrandole i srebrne sztucce, od których mdlały dłonie. Lubił wszystko, co według niego oznaczało zamożność i budziło zaufanie. Jedyne ustępstwo dla Danuty, to było kilka nowoczesnych obrazów na ścianie, na które zgodził się, bo kosztowały drożej niż meble.

Dwoma cieniutkimi kluczykami o misternym rysunku otworzył jedną ze skrytek. I klucze, i obie sekretne szuflady stanowiły jego własnoręczne dzieło, z którego był bardzo dumny. Wiedziała o nich tylko żona, córki bali się wtajemniczać. Miała zbyt

dużo znajomych chłopców i mogła się przed nimi wygadać.

Rozsiadł się wygodnie w fotelu, patrząc na zawartość skrytki. Leżały w niej, poukładane systematycznie i posegregowane, kasetki z obcą walutą: oddzielnie dolary, oddzielnie funty, franki szwajcarskie, nowe ruble, szwedzkie korony. Nie wiadomo było przecież, która z walut może okazać się potrzebna...

Wyjmował kasetki, przeliczał, sumował w myśli, bawił się kolorowymi banknotami jak dziecko obrazkiem. Pieniądze przeważnie były nowe, czyste, szeleściły przyjemnie; przypominało mu to szelest suchych liści jesienią, kiedy porusza je wiatr. Wreszcie zamknął skrytkę, otworzył drugą po przeciwnej stronie biurka. W tej było złoto i biżuteria.

Stare carskie ruble, amerykańskie dwudziestodolarówki, garść indyjskich szmaragdów, przemyconych jakiś czas temu z zagranicy, trochę platynowych łańcuszków, pierścionki i naszyjniki, wreszcie złoto dentystyczne, bo nie gardził i tym.

Pomyślał, że w obu skrytkach jest jeszcze sporo miejsca. Dobrze, że doktor Hacen powrócił. Co prawda, trochę jakby zgaszony, nie w humorze,

można by powiedzieć: oklapnięty duchowo. Pewnie zmęczyła go podróż. Posiwiął, w maju miał jeszcze trochę ciemnych pasemek, a teraz już całkiem biały.

Do następnej soboty doktor chyba coś obmyśli, zapędzi do roboty swoich informatorów i znowu obie skrytki zaczną się zapełniać. Uśmiechnął się z zadowoleniem. Ziewnął, poczuł, że zaśnie bez proszków. Zamknął starannie skrytki i biurko, napił się cytrynowej lemoniady, zgasił lampkę. Po kwadransie już spał.

*

Andrzej Bryja nie od razu pojechał do domu. Pognał swoją starą simkę-aronde aż pod Otwock i teraz wracał powoli, ospale, pustą o tej porze szosą. Jego krępy, zbyt krótki tułów mieścił się wygodnie za kierownicą. Wiatr, wpadając przez opuszczone szyby, rozwiewał mu czarne gęste włosy i targał z zaciętością.

Ładna twarz Bryi była chmurna. - Papieros w kącie warg dawno zgasł w podmuchach wiatru, ale nawet tego nie zauważył.

Hacen nie chciał rozmawiać na osobności. Dobrze to było czy źle? Nie umiał sobie wytłumaczyć. To spojrzenie - na pozór bez wyrazu, wzrok ukryty za

okularami - kiedy spytał, wyraźnie w jego kierunku, czy aby „na pewno” nie zaszło nic więcej poza sprawą wołgi i Lublina...

Wiedział o neoprenie i francuskim fabrykancie czy nie wiedział? Jeżeli tak, to dlaczego nie poruszył tej kwestii na naradzie? Jeżeli nie, to co oznaczało to spojrzenie?... Powiedzmy, że nie wiedział, a spojrzenie nie oznaczało nic konkretnego. Dlaczego więc napisał ten list z Londynu?

Zjechał na sam brzeg rowu, zahamował i zapalił światło nad górną szybą. Potem pogrzebał w portfelu, wyjął zmiętą kopertę i raz jeszcze odczytywał, choć znał te kilka zdań prawie na pamięć. Może jednak o czymś zapomniał, coś pominął?

„Drogi panie Andrzeju! Po moim powrocie, zaraz po pierwszej wspólnej naradzie, niech pan zatrzyma się na chwilę, jak tamci już wyjdą. Chcę z panem o czymś ważnym pomówić. Proszę jednak zrobić to możliwie dyskretnie. Pozdrowienia - Hacen”.

Nie, w żaden sposób nie mógł wyczytać w liście nic nowego. Pierwsza narada po powrocie doktora odbyła się właśnie dziś. Zatrzymał się w pokoju, zwlekał jak mógł z wyjściem, popatrzał wreszcie na niego, choć miało być „dyskretnie”, ale tamci

przecież już wyszli, on był ostatni. Doktor Hacen stał przy swoim koszykowym fotelu jak posąg, nawet się nie odwrócił, nie spojrział.

Więc co to wszystko razem mogło oznaczać?

Schował list, zapuścił motor i ruszył z wolna, pełen sprzecznych myśli. W końcu doszedł do wniosku, że doktor jakimś cudem dowiedział się o neoprenie i w rezultacie zrezygnował z rozmowy. Może miała to być jakaś ważna, korzystna transakcja we dwójkę – już tak kiedyś robili – ale po wpadce z kauczukiem Hacen pomyślał, że nie warto go dopuszczać do interesu.

– Cholera! – zaklął, gwałtownie dodał gazu, wóz skoczył naprzód. W blasku reflektorów coś nagle zakłębiło się na szosie. Zahamował z piskiem opon. Zajęc wy dostał się ze świetlnej smugi i ogłupiały ostrożnie pokicał do rowu.

Obejrzał się za nim i dostrzegł z daleka samotny reflektor jakiegoś motocykla. „Włóczy się po nocach” – pomyślał ruszając z wolna. Nie chciał przejechać żadnego zajęca, nie znosił widoku martwych zwierząt.

Motocyklista trzymał się jakiś czas z tyłu, w pewnej odległości; widać sądził, że simca i tak go przegoni. Potem jednak dość raptownie poderwał

się, minął samochód; rwał teraz chyba osiemdziesiątką, miał harleya i mógł na nim wyciągnąć dużo więcej.

Nagle Andrzej postanowił zabawić się i przegonić motocykl. Sądził, że zrobi to bez trudu, motor simki był wyregulowany jego własnymi rękami i doprowadzony do szczytu doskonałości. Przydusił pedał, na zegarze było dziewięćdziesiąt, potem sto – ale harley nie zbliżał się.

„Co jest?” – zdenerwował się, urażony na swoją maszynę. Strzałka przesunęła się na sto dziesięć, potem jeszcze trochę dalej. I wtedy motocykl nagle znikł mu przed oczu. Nie – żeby skręcił gdzieś w bok, po prostu znikł z szosy, jakby go wymiotło.

Bryja przejechał z rozpędu jeszcze paręset metrów, potem zakręcił i zaczął wracać powoli, wychyliwszy głowę przez okno. Poczul nagły niepokój. Ten zwariowany motocyklista – kimkolwiek był i dlaczego tak gnał – leży być może gdzieś w rowie, zakrwawiony, z rozłupaną czaszką...

– Wariat, psiakrew! Idiota! – wymyślał mu na głos, czując krople potu na nosie i policzkach. – Hej, ty! – krzyknął w przestrzeń. – Stało się coś?

Zatrzymał motor, nasłuchiwał przez chwilę; usłyszał tylko lekki szum wiatru w pobliskim

zagajniku. Wyszedł z wozu, badał wzrokiem ślady opon na błotnistej szosie, ale po deszczu musiało już wtedy jechać wiele pojazdów, bo ślady krzyżowały się i zacierały wzajemnie.

Wyjął z bagażnika mocny zapasowy reflektor i szedł wzdłuż rowu, wpierw prawą stroną, potem na wszelki wypadek lewą. Nikogo – ani roztrzaskanego harleya, ani rannego człowieka czy trupa. Nie dojrzał żadnej bocznej drogi, w którą motocyklista mógł być skręcić; po obu stronach zieleniły się w blasku reflektorów mokre liście brzoź.

Wrócił do wozu i stanął przy nim bezradny. W końcu machnął ręką. Trudno. Nie zabił go przecież, nie namawiał do wyścigu, nawet nie musnął błotnikiem. – Latające widmo – mruknął zapuszczając motor.

Przed samą Warszawą dojrzał nagle za sobą ostre światło. Zanim się spostrzegł, harley przeleciał obok niego z furkotem. Na siodełku, pochylony do przodu, siedział ktoś w ciemnej skórzanej kurtce. Kask szczelnie osłaniał mu głowę, na oczach miał ochronne okulary. Przez sekundę, kiedy tamten odwrócił twarz w jego stronę, Andrzej dojrzał błysk białych zębów w uśmiechu. Duch sportowy posiadaczy zmotoryzowanych kółek nakazał mu

odpowiedzieć na ten uśmiech gestem ręki wyrażającym uznanie.

- Ale gdzie on był? - szepnął później do siebie, zatrzymując wóz przed garażem.

Mniej więcej w tym samym czasie na dziedzińcu Pałacu Mostowskich chłopak ostrzyżony na jeża wytarł czoło, spoczone pod kaskiem, i poklepał z czułością zabłoconego harleya. Potem długo i starannie czyścił motocykl, mimo iż czas, który mógł przeznaczyć na sen, kurczył się z każdą chwilą.

Wreszcie postawił motor pod daszkiem, obok paru innych, wytarł ręce i pogwizdując wszedł na pierwsze piętro. W korytarzu zatrzymał się na chwilę, potem zajrzał do pokoju oficera dyżurnego. Kapitan Kowalski zmierzył go zdziwionym spojrzeniem.

- O tej godzinie? - spytał odkładając długopis. - Jakaś robota?

Chłopak uśmiechnął się. Teraz było widać, że nie jest tak bardzo młody, miał z pewnością około trzydziestki.

- Rozmaite wycieczki za miasto - odparł wymijająco. - Dalibyście papierosa, kapitanie. Jaka noc?

- Spokojna. Nawet nie osiemdziesiąt interwencji. Ludzie powyjeżdżali już na urlopy. Lipiec.

*

Dyrektor pokręcił głową ze zdumieniem. O każdym innym mógłby tak pomyśleć, żeby jednak referent Białkowski...

- Ile to już dni, mówicie?

Naczelnik wydziału raz jeszcze spojrzął w swój kalendarzyk.

- Dokładnie osiem. Ani listu, ani depeszy. Znaku życia.

- No dobrze, kolego, ale przecież on pojechał do Londynu, nie do Zakopanego czy Sopot. Stamtąd list idzie około tygodnia, mógł zachorować w ostatniej chwili, może miał jakiś wypadek... Kogo on tam ma, nie wiecie przypadkiem?

- Rodzinę. Zdaje się, brata.

- Więc może ktoś z rodziny jest chory. Musimy wziąć pod uwagę, że to bardzo dobry pracownik, cichy, spokojny, oddany instytucji.

- Ja rozumiem, panie dyrektorze, ale depeszę w każdym razie mógł przysłać. Przecież wie, że jego urlop zazębiał się z urlopem koleżanki Niemczyckiej i

magistra Zajączka. A teraz nie wiadomo: puścić tamtych czy nie? Ludzie mają opłacone wczasy, wykupili bilety sypialne, patrzą już na mnie jak na wroga. A czy ja mogę zostawić wydział bez trzech pracowników? Żeby Białkowski wrócił, starczyłby za tamtych, bo najlepiej ze wszystkich pracuje. Więc co mam robić?

Dyrektor naczelny milczał chwilę, zafrasowany. Bardzo nie lubił wszelkich kłopotów, które mogły mieć jakiś aspekt polityczny. Kto wie, co ten Białkowski rozrabia teraz w Londynie? Albo co już narozrabiał!...

Spróbował wyobrazić sobie tego łysego człowieczka o małych, bystrych oczach jako groźnego szpiega. Nawet pasowało. Takie „niby nic”. Cicha woda. Tacy zawsze najgorsi.

Westchnął. Należało zawiadomić milicję. Zrobi się szum, zaraz dowiedzą się w ministerstwie, będzie urwanie głowy. Nie zawiadomić – też źle. Powiedzą potem: „Dlaczego dopiero teraz zawiadamiacie, towarzyszu dyrektorze? He? Odpowiedzcie no, szybko!” Nie, tak nie powiedzą, są uprzejmi. A zresztą, kto ich wie.

Nagle coś mu przyszło do głowy.

- Mówił pan, zdaje się, że Białkowski miał wracać „Batorym”?

- Coś mi się obilo o uszy, że tak.

- Poczekajcie. Przecież Renkler... - sięgnął po słuchawkę. - Niech mnie pani połączy z dyrektorem Renklerem z fabryki „C-4”... Nie, to jest techniczny. - Czekał chwilę ze słuchawką przy uchu. - Towarzysz Renkler?... Cześć, stary łobuzie... Kozicki z Centrali, nie poznajesz?... Słuchaj, chcę cię o coś zapytać, tylko sprawa jest, jakby to powiedzieć, no, raczej poufna... Dziękuję. Więc, zdaje się, ostatnio byłeś w Anglii?... I wracałeś „Batorym”?... Właśnie o to mi chodzi. Czy tam podczas powrotnego rejsu, mam na myśli ostatni odcinek do Gdyni, nie zaszło nic - no, jak by to powiedzieć? Krótko mówiąc, czy tam nie było jakiegoś wypadku?... Człowieku, mnie nie chodzi o statek, gdyby „Batory” zatonął, tobym z tobą nie rozmawiał, miałbym do końca życia święty spokój... Mnie chodzi o to, czy nikt nie utonął albo coś takiego... Nie słyszałeś. A poczekaj, nikogo na przykład nie aresztowano?... Z naszych, Polaków, oczywiście... Ja wiem, ale mogło ci się obić o uszy. Gapa jesteś, ja bym wiedział... Sztorm? I chorowałeś, ofermo?... Nie tłumacz się, płynąłem w zeszłym roku

do Kanady i znam ten ból. No, to dziękuję ci, trzymaj się... Cześć.

Odłożył słuchawkę. Wzruszył ramionami.

- Dziś mamy piątek. Jeżeli do poniedziałku nie będzie ani depeszy, ani Białkowskiego, proszę mi dać znać - rzekł markotnie. - Powiadomię milicję.

Uzgodnili jeszcze, że panią Niemczycką trzeba jednak puścić na urlop, bo zrobi piekło, a co do Zajączka, poczeka się do poniedziałku i potem zadecyduje.

Rozdział 8

Doktor Hacen zaczekał, dopóki wszyscy nie usiedli i drzwi nie zostały zamknięte na klucz. Potem zaczął mówić. Widać było, że nie czuje się zdrowy, głos miał dziś jeszcze cichszy i bardziej niewyraźny niż zwykle, toteż dobrze musieli natężyć słuch, aby go zrozumieć.

- Dla Warszawskich Zakładów Lekarstw nadejdzie w przyszłym tygodniu, prawdopodobnie we środę, transport kilku surowców do wyrobu leków. Będą to, o ile się nie mylę, rozmaite alkohole, etery, estry i tak dalej. Wymieniam te nazwy chemiczne po to, abyście panowie zorientowali się, że nie jest to surowiec tylko do produkcji lekarstw, ale może być również użyty przy innych wyrobach. Dlatego prywatni odbiorcy kupią go z miejsca i dobrze zapłacą. Transport jest nieduży, kilka skrzynek, ale wartość jego na naszym rynku wysoka.

- Czym to nadejdzie? - spytał Maliniak. Jak zwykle, kiedy był podniecony, ogryzał nerwowo skórę przy paznokciu.

- Samolotem, na Okęcie. Samolot przylatuje o wpół do czwartej rano; jest to transport specjalny, bez pasażerów. Oprócz tych surowców, mają nim nadejść inne ważne przesyłki, ale tymi nie będziemy się zajmować. Nie mają wartości rynkowej.

- Tylko jaką? - wyrwał się Oziembło.

Zdanowicz syknął niecierpliwie:

- Niech pan nie przerywa, w dodatku głupimi pytaniami! Dziecko z pana czy co? Proszę kontynuować, doktorze.

- Skrzynki, które nas interesują, zostaną wyładowane z samolotu oczywiście jeszcze na płycie lotniska i ustawione na wózku, jednym czy dwóch, po czym obsługa przewiezie je do komory celnej. Na tym odcinku, od samolotu do celników, nie uda nam się nic zrobić i nawet nie warto próbować.

- Jasne. Tam nie ma szans - przytwierdził Bryja.

- Przed budynkiem portu lotniczego czekać będzie ciężarówka z Zakładów. Oprócz szofera i kierownika zaopatrzenia przyjadą w niej dwaj ludzie ze straży przemysłowej. Uzbrojeni. Nie mamy również szans zdobycia skrzynek na drugim odcinku, mianowicie od komory celnej do ciężarówki. W porcie kręci się zawsze zbyt wielu takich różnych panów, którzy momentalnie złapałiby nas za ręce. Natomiast

pozostaje trzeci odcinek, to znaczy jazda ciężarówką z Okęcia do miasta, konkretnie do ulicy Siewierskiej, gdzie mieszczą się Warszawskie Zakłady Lekarstw. Proszę pamiętać, że to będzie mniej więcej piąta rano, może trochę wcześniej, chyba że celnicy będą marudzić, ale wątpię, to jest w końcu przesyłka państwowa, dla państwowej fabryki.

Maliniak poruszył się niespokojnie, czubek nosa mu poczerwieniał.

- Zaraz, doktorze... - powiedział - jak pan to sobie wyobraża? Zbrojny napad na ciężarówkę? W jasny dzień? To się nie uda, przecież nie pojedą przez pustynię. I w ogóle, takie rzeczy to nie dla nas.

Ciemna twarz Hacena drgnęła.

- Nie wyobrażam sobie zdobycia skrzynek przy pomocy zbrojnego napadu - odparł zimno. - I chyba nigdy dotąd nie miałem takich niefortunnych pomysłów, panie inżynierze! Proponuję zupełnie coś innego. Skrzynki, w których będzie wieziony surowiec, wyglądają tak...

Wydobył z kieszeni kartkę papieru wyrwaną z jakiegoś niemieckiego technicznego tygodnika, przedstawiającą modele opakowań firmy „R. I. Guenther u. Sohn”. Jeden z modeli był zakreślony czerwonym ołówkiem.

Maliniak bez ceremonii odepchnął Oziembłę pochyłonego nad kartką, wyjął ją z ręki doktora i przypatrzył się mrużąc oczy.

- Znam to opakowanie - rzekł z zadowoleniem. - Zdaje się, że już rozumiem, do czego pan zmierza. Zamiana skrzynek?

- Tak. Naturalnie, zamiana musi nastąpić zupełnie przypadkowo, aby tamci zorientowali się dopiero przy rozpakowywaniu, na miejscu w Zakładach. To może nastąpić tego samego dnia, ale może i później, jeżeli od razu nie przystąpią do produkcji. Albo też, jeżeli jeszcze mają zapas surowca.

- Sądzę, że ani jedno, ani drugie - zaproponował Maliniak. - Gdyby tak było, to znaczy, gdyby surowiec nie od razu był potrzebny, to przesyłka nie szłaby specjalnym samolotem. To przecież kosztuje fabrykę o wiele drożej.

- Chyba ma pan rację. W każdym razie otwarcie skrzynek nastąpi najwcześniej w Zakładach, a wtedy towar będzie już dobrze schowany.

- Tylko nie u mnie - zastrzegł się Oziembło i zbladł ze strachu. Dodał więc pośpiesznie, że w magazynie jest remanent.

Doktor Hacén w ogóle nie zwrócił na niego uwagi.

- Dlatego sądzę - ciągnął dalej - że zamiany skrzynek trzeba dokonać tak, aby nikt z pracowników Zakładów nie mógł wcześniej zorientować się, o co chodzi.

- Ile będzie tych skrzynek? - spytał Bryja obliczając coś w myśli.

- Trzy. Wielkość: półtora na czterdzieści, wysokość... zresztą tam jest wszystko podane, przy opisie modelu. Zna pan niemiecki?

- Oczywiście - odparł Bryja ze zdziwieniem. Parokrotnie przecież, kiedy Hacén zajeżdżał do warsztatu, rozmawiali w tym języku, aby monterzy nie mogli ich zrozumieć.

- No, więc proszę sobie przeczytać i zanotować, kartka będzie mi później potrzebna. Trzeba zamienić skrzynki w miejscu, gdzie ulica, to znaczy Aleja Krakowska, jest stosunkowo najmniej uczęszczana. Można by tam urządzić coś w rodzaju zderzenia dwóch ciężarówek, przy sporej ilości rwetusu, wzywania pomocy i tak dalej.

- Przyjedzie milicja drogowa i po wszystkim - skrzywił się Zdanowicz.

- Albo nie przyjedzie. O piątej rano zazwyczaj patrole nie jeżdżą. Kto zresztą miałby wezwać milicję? Ci, których ciężarówki się zderzyły. To

znaczy - my. Znajdziemy takie miejsce, z którego będzie dość daleko do najbliższego telefonu.

- Są takie miejsca na Krakowskiej. O ile rozumiem pana, doktorze, nasze ciężarówki mają zatarasować tamtą drogę, tak?

- Właśnie. Ciężarówka fabryczna zatrzyma się. Musi się zatrzymać. Kierowca i pewnie obaj strażnicy wysiądą, aby zobaczyć, co się stało. Znacie, panowie, ludzką ciekawość... Wtedy okaże się, że nie ma innego sposobu, jak tylko: odepchnąć jeden z naszych wozów na bok. A do tego potrzebny jest wysiłek kilkunastu par rąk. Nasze nie wystarczą, tamci będą więc musieli wysiąść z ciężarówki. Wszyscy. Zostanie najwyżej kierowca, na wypadek, gdyby trzeba było cofnąć samochód w czasie tego odpychania. Ale kierowca zwróci całą uwagę na swój wóz i na to, co się będzie działo z przodu, nie zaś z tyłu.

- Gdzie będą nasze skrzynki? Bo przecież nie w jednej z tych zderzonych ciężarówek. Musielibyśmy je wyjmować na oczach wszystkich.

- Oczywiście, że nie. Skrzynki będą leżały już wyładowane na brzegu rowu, w tym miejscu, w którym zatrzyma się ich samochód. Wyładowane, czymś nakryte, brezentem albo płachtą.

Bryja pokręcił głową.

- Niedobrze - powiedział. - O piątej rano może Krakowską przejeżdżać mnóstwo innych wozów, zanim nadjedzie ten z Zakładów. Nie możemy więc fingować zderzenia wcześniej, niż kiedy tamci będą nadjeżdżać. A wówczas zobaczą wyładowywanie skrzynek. Proszę zwrócić uwagę, doktorze, że tam może być jakiś czujny facet, który będzie w każdej przeszkodzie węszył coś podejrzanego.

- Zwłaszcza - poparł go Zdanowicz - że od czasu opróżnienia przez nas wagonów i zniknięcia wołgi, milicja na pewno bardziej uważa.

- Skrzynki trzeba podwieźć z tyłu, za nimi - odezwał się Oziembło, którego cała operacja zaczęła interesować. - Trzecim samochodem, to może być pick-up albo żuk. Jak się zatrzymają i wszyscy wyjdą, wówczas zamienimy.

- Słusznie - zawołał Bryja. - Wezmę żuka i ustawię go bokiem do ich ciężarówki. Będzie to wyglądało tak, jakbym chciał ją wyminąć. W ten sposób osiągnę możliwie najkrótszą przestrzeń pomiędzy tylną ścianą żuka i ciężarówką.

Doktor Hacen słuchał uważnie. Potem wyjął pióro i naszkicował sytuację na świstku papieru.

- Tak? - podsunął Andrzejowi.

- O, właśnie tak. Wówczas bez żadnego trudu wystawimy nasze skrzynki na drogę i włożymy tamte, a później wsadzimy nasze na ich miejsce. Do tego potrzeba kilku ludzi. Dostarczę dwa wozy ciężarowe naładowane czymkolwiek, aby pozory były zachowane, dostarczę żuka i sam go poprowadzę. Koledzy - ja oczywiście proponuję, nie narzucam - Maliniak i Zdanowicz będą w żuku przy skrzynkach, bo to najważniejsza część zadania i lepiej nie dopuszczać do niej kogoś z zewnątrz. Pan - zwrócił się do Oziembły - będzie się awanturować przy zderzonych wozach, co? Dobrze?

- Trudno. Jak trzeba... - odparł mężnie magazynier. - Potrzebny jest jeszcze ktoś, kto będzie obserwował ciężarówkę z Zakładów i zawiadomi nas, że nadjeżdża.

- Ja to zrobię - rzekł doktor Hacen. - Ale żuk musi stać gdzieś na bocznej drodze, w odległości około stu metrów od zderzonych ciężarówek, tak aby mógł potem swobodnie trzymać się za wozem z Zakładów.

Uzgodnili jeszcze różne drobniejsze sprawy, po czym zaczęli wychodzić. Tym razem Hacen nie pożegnał ich uściskiem ręki, nie wstał nawet z fotela. Uznali to za powrót do normalnego stanu i byli zadowoleni.

Bryja znów wychodził ostatni, zastanawiając się, jak postąpić. Wreszcie już we drzwiach odwrócił się i rzekł swobodnym tonem:

- Jak tam pański wóz, doktorze? Nie ma pan z nim kłopotów? W warsztacie mam teraz trochę nowych części do fiata, więc gdyby pan potrzebował... - zawiesił głos.

Hacen milczał przez chwilę.

- Kupiłem nowy wóz - odparł powoli. - Nie mam już tamtego fiata.

- Naprawdę? - Andrzej udał żywe zainteresowanie. - Można wiedzieć, co pan nabył?

- Octavię.

- Ten nowy model? - Obejrzał się, Oziembło jako ostatni wchodził do pokoju pokerzystów. Zniżył głos:

- Pan chciał ze mną o czymś porozmawiać. Czekałem w ubiegłą sobotę, po naradzie, ale jakoś... - urwał, nie wiedział, jak wyrazić to, że doktor nie zwracał wówczas na niego uwagi.

- O czym pan chciał ze mną mówić? - Hacen wyraźnie nie zrozumiał albo udawał, że nie rozumie. To było zaskakujące.

- No, przecież... napisał pan z Londynu, że ma ze mną do pomówienia w ważnej sprawie i że mam zostać po naradzie... No, nie pamięta pan? Przecież

to pański list, nie? - Zdenerwowany głupią sytuacją, wyszarpnął z kieszeni portfel i podał Hacenowi zmiętą kopertę. - To pana list! - powtórzył, nie wiedząc już, co o tym myśleć. Czyżby starszy pan zaczął tracić pamięć?

Hacen rzucił okiem na list i uśmiechnął się lekko. Potem zapalił zapałkę i przytknąwszy płomień do kartki, patrzył z nieruchomą twarzą, jak papier zwija się, czernieje i opada drobnymi płatkami na podłogę.

- Dlaczego... - zaczął Andrzej, ale tamten mu przerwał.

- Tak. Chciałem z panem porozmawiać o pewnej transakcji, omawianej wpierw przy stoliku w restauracji Grand Hotelu, a potem zrealizowanej w pańskim warsztacie. Transakcji z neoprenem, na której pan wyszedł jak idiota.

Bryja poczerwieniał. A więc jednak wiedział... Nagle zdumiała go jakaś myśl.

- Pan się o tym dowiedział w Londynie? W jaki sposób?

- Nie jestem zobowiązany do tłumaczenia się przed panem, drogi panie Andrzeju, ale powiem. Po prostu dowiedziałem się od André Mourant, który prosił mnie przy okazji, abym panu serdecznie podziękował za pięćdziesiąt kilo amerykańskiego

kauczuku... Miałem bowiem tego pecha, że przyznałem się przed nim do naszej znajomości. Mourant to handlowiec kuty na cztery nogi, niełatwo z nim prowadzić interesy z korzyścią dla siebie. Ale pan powinien był zjawić się u niego jeszcze tej samej nocy, nie dopiero na drugi dzień.

- On by i tak nie zapłacił - mruknął Andrzej, zły i zdenerwowany. - Miał mnie w ręku, bo wiedział, że neopren był kradziony. Inna rzecz, że mogłem rzeczywiście próbować jakoś to odzyskać. Stało się.

- Do widzenia panu.

- Do widzenia, doktorze. - We drzwiach odwrócił się jeszcze: - Nie chciał pan, żeby koledzy się dowiedzieli?

- Nie chciałem. Po co?

- Dziękuję.

Wyszedł zawstydzony. Jednocześnie jednak poczuł do Hacena coś w rodzaju wdzięczności. Cholerny facet! Wszystko wie, nic się przed nim nie ukryje. Ale ma jednak w sobie pewien takt. Ma klasę. Maliniak na jego miejscu wyrębałby wszystko, nakrzyczał, nawydziwiał... Zdanowicz również by nie oszczędził złościwości i kpinek. Oziębło się nie liczy. Raczek, gdyby żył, użyłby sobie na nim, ile wlezie.

A Hacen - nie.

Tak był zamyślony, że nawet nie zauważył, kiedy przeszedł korytarz i znalazł się w pokoju gry. Siedzieli we trójkę, czekali na niego.

- Coś tak długo konferował z doktorem? - spytał Maliniak podejrzliwie.

Zdanowicz tasował karty, przypatrując się Andrzejowi z uwagą. Nawet magazynier miał jakiś chłodny, nieprzyjemny wyraz twarzy. „Posądzają mnie o prywatne kontakty z Hacenem - pomyślał. - Nie chcą tego. Są zazdrośni o każdą złotówkę, którą mógłbym zarobić poza ich plecami.” Odparł niechętnie:

- Doktor kupił nowy samochód. Octavię. Rozmawialiśmy trochę o tym. Wybiera się jesienią na Międzynarodową Wystawę Samochodową w Londynie, na Earls Court.

- A co zrobił ze swoim zielonym fiatem? Panie, uważaj pan, do cholery! - Maliniak zerwał się, rękaw koszuli miał zalany alkoholem. - Oblał mi pan czystą koszulę, psiakrew!

„Hrabia” stał nad nim chwiejąc się na nogach, z pustym kieliszkiem w ręku.

- Przepraszam - powiedział ulegle. - Zaczepiłem o... ten, o krzesło.

- To czysta wódka, nie będzie znać - uspokajał Antoni.

- Gramy, panowie. Pan rozdaje, panie Andrzeju.

- Więc co z tym zielonym fiatem?

- Nie wiem. Pewnie sprzedał.

„Hrabia” odwrócił się i, ostrożnie stąpając, powrócił do bufetu. Antoni niemal z czułością po raz drugi napełnił mu kieliszek.

*

Kierowca z Warszawskich Zakładów Lekarstw zahamował i wychylił się przez opuszczoną szybę.

- Jakaś kraksa - rzekł siedzący obok niego szef zaopatrzenia. Otworzył drzwiczki i wyskoczył na drogę. - Co tam się stało? - zawołał podchodząc do dwóch spiętrzonych ze sobą ciężarówek, które zatarasowały drogę. Kierowcy przerzucali się wzajemnie jędrnymi warszawskimi „wiązankami”. Konwojent jednego z wozów miotał się na szosie bezsilnie.

Zza zakrętu wyjechał szybko żuk kryty brezentową płachtą, skręcił w lewo, jakby chcąc wyminąć ciężarówkę z Zakładów, i zatrzymał się raptownie. Mężczyzna siedzący za kierownicą z

upodobaniem włączył się w tok dyskusji. Kierowca z Zakładów jakiś czas słuchał tego z niesmakiem, w końcu jednak nie wytrzymał. Teraz był to już czwórgłos.

Kiedy dyskutantom zaschło w gardle, postanowili wspólnymi siłami zepchnąć jedną z ciężarówek na bok. Obaj strażnicy i szef zaopatrzenia przyłączyli się do akcji. Nikt też nie zauważył, że dwóch mężczyzn, którzy dotąd nie wychylili nosa z żuka, zajęło się czynnością przez niektóre osoby nie przewidzianą.

Siwy starszy pan w niebieskich okularach, siedzący niedaleko w czarnej octavii, obserwował ich ruchy, manipulując jednocześnie przy desce rozdzielczej samochodu. Kiedy tamci skończyli i schowali się we wnętrzu żuka, starszy pan zawrócił na szosie, dodał gazu i pomknął do bocznej drogi, którą następnie dojechał z powrotem do szosy.

Tutaj poczekał kilka minut siedząc nieruchomo za kierownicą. Kiedy dojrzał w lusterku nadjeżdżającego żuka, ruszył naprzód i trzymał go już tak za sobą przez całe miasto. Przerzucili się na Pragę, kołowali trochę, wreszcie wjechali na podwórze warsztatu Andrzeja Bryi.

Było jeszcze wcześniej, monterzy przychodzili dopiero o dziesiątej, gdyż pracowali często do

późnego wieczora. Na wszelki wypadek Bryja zamknął bramę na skobel. Wystawili skrzynki z samochodu i przenieśli je do głębokiej piwnicy, do której wchodziło się z jednego kąta warsztatu. Piwnica była dobrze ukryta, Andrzej przechowywał tu swego czasu neopren. Hacenowi musiało to przyjść na myśl, bo w pewnej chwili spojrzał na niego pytająco. Bryja potwierdził ruchem głowy i skrzywił się.

Kiedy skrzynki zostały już ulokowane i piwnica zamknięta, Maliniak i Zdanowicz pożegnali się. Hacen zaproponował, że ich podwiezie, ale po namyśle uznali, że byłoby to ryzykowne. Lepiej niech się razem nie pokazują na mieście. Wsiadł więc sam do czarnej octavii, umówiwszy się, że za kilka dni u Antoniego zastanowią się wspólnie nad sprzedażą surowców.

Tego dnia w warsztacie było znów wiele roboty; Bryja nie zdążył nawet wyjść na obiad, który jadał zwykle w pobliskiej prywatnej jadłodajni. Był więc porządnie głodny i postanowił zrobić wypad do Bristolu, aby za jednym zamachem zjeść obiad i kolację. Wypił przy tym kilka kieliszków, spotkał znajome i bardzo rozbawione towarzystwo, w rezultacie wrócił do domu o trzeciej rano.

Spał długo, kamiennym snem, zbudził się z ciężką głową i bólem w oczodołach. Było kilka minut po jedenastej, na dworze słońce prażyło niemiłosiernie, ludzie snuli się pod ścianami domów szukając cienia.

Zwłókł się z tapczanu, klnąc wczorajszą hulankę. Szklanka mocnej kawy i zimny prysznic pomogły tylko częściowo, ból w oczach pozostał. Wziął jeszcze dwa proszki „z krzyżykiem”, poleżał pół godziny, wreszcie około południa zajechał do warsztatu. Monterzy pracowali pod okiem najstarszego, któremu Andrzej zostawiał zwykle klucze od bramy i magazynu.

Senny jeszcze i rozbity, przyjrzał się pobieżnie ich robocie, stwierdził, że dają sobie radę, i zamknął się w kantorku, postanowiwszy trochę podrzemać. Zbudził go telefon.

- Nareszcie jesteś – mruknął Maliniak z gniewem.
- Od samego rana dzwonię i dzwonię.
- Zaspałem. Dopiero przyszedłem. Co cię tak przypiliło?
- Zostawiłem u ciebie wczoraj teczkę, tę żółtą aktówkę. Położyłem koło skrzynek, w piwnicy, i potem zapomniałem. Bądź łaskaw, wyjmij ją stamtąd, podjadę do warsztatu zaraz po pracy.
- Dobra.

Odłożył słuchawkę, ziewając szeroko i przeciągając się. Pogrzebał w kieszeni, wyjął portfel, a z niego pęk kluczy. Wisiały tam dwa specjalnej roboty, na które zamykał piwnicę. Trzeba było jednak coś zrobić z pracownikami...

Wyszedł na podwórze. Przywołał starszego montera i kazał mu po prostu iść do domu razem z pomocnikami. Najpilniejszą robotę mieli już za sobą, na dziś pozostały tylko drobne naprawy kilku wozów, które mogły poczekać. Dodał dla wyjaśnienia, że nie czuje się dobrze w tym upale i daje im na dziś fajerant. Niech idą nad Wisłę albo gdzie chcą.

Kiedy wszyscy wyszli, zamknął bramę i wrócił do warsztatu. Otworzył drzwi od piwnicy, zszedł na dół. Teczka Maliniaka leżała na ziemi; podniósł ją, otrzepał z kurzu, przelotnie zaciekawiał się, co też w niej może być, ale nie chciało mu się otwierać. Popatrzał na skrzynki. Nagle zmarszczył brwi - coś tu było nie tak jak wczoraj. Przecież najwyraźniej pamiętał, że ustawili je jedną obok drugiej, teraz zaś leżały jedna na drugiej.

Usiadł na wystającym kawałku muru i zamyślił się. Po wczorajszej pijatyce nie był tak bardzo pewny, czy go pamięć nie zawodzi. Wstał, przyjrzał się

zamkom u drzwi; nie, tutaj nikt niczego nie ruszał. Klucze też weszły bez najmniejszego oporu.

Postanowił jednak sprawdzić. Wrócił do kantorka i zadzwonił do Maliniaka. Kiedy inżynier podniósł słuchawkę, zapytał, jak stały skrzynki. Maliniak wpierw ofuknął go z gniewem, potem myślał przez chwilę, wreszcie odparł, że stały koło siebie, na podłodze.

- A teraz leżą jedna na drugiej - powiedział Andrzej czując, że włosy mu się jeżą na głowie. Był przesądny, bał się umarłych i wierzył w duchy.

- Upiłeś się czy jeszcze nie wytrzeźwiałeś? Nie zwracaj mi głowy.

- Mówię tak, jak jest naprawdę. Najlepiej zaraz przyjedź. Jestem już sam w warsztacie.

- Przyjadę za godzinę, wcześniej nie mogę. Ale jak zobaczę, że skrzynki stoją tak jak wczoraj, to ci mordę stłukę. Mamy jutro w Zakładach konferencję, a ty mi bajki opowiadasz. Teczka jest?

- Jest.

- No, więc wszystko w porządku. Gdyby zakradli się złodzieje, toby zabrali teczkę.

- Mówię ci, przyjedź zaraz - upierał się, pocierając bolącą głowę. - Bo ja coś czuję niedobrego.

- Cholera z tobą... Dobrze, za godzinę będę.

Przyjechał zły i nadęty, koszulę miał spoconą na plecach i mokre włosy. Gniewnie odburknął coś na przywitanie; zaraz weszli do warsztatu, Andrzej otworzył drzwi piwnicy. Maliniak ostrożnie zszedł na dół, stanął przed skrzynkami, zamyślił się. Kiedy się odezwał, głos miał trochę niepewny:

- Nie pamiętam, ale one chyba tak nie stały. Wydaje mi się na przykład, że tę pierwszą dosunąłem nawet do następnej, żeby było więcej miejsca. Chyba nie stawialiśmy ich do góry, bo po co? Przecież będziemy rozpakowywać.

- Złe chodzi wszędzie - mruknął Andrzej bez sensu. Usiadł na ostatnim stopniu schodów, wpatrując się z wyraźnym strachem w drewniane skrzynki.

- Jakie złe? Pleciesz jak baba pod kościołem - oburzył się Maliniak. - Czekał, zadzwonię po Zdanowicza.

- Lepiej po Hacena.

- Przecież nie wiemy, gdzie mieszka, ani nie znamy jego numeru telefonu. Siedź tu, ja pójde do kantorka. Tam otwarte?

- Otwarte. Nie! - zerwał się nagle. - Sam tu nie będę siedział.

- Zgłupiałeś?

- Może. Idź, zadzwoń. Poczekam w warsztacie.

Zdanowicz w telefonie parsknął śmiechem, ale zaraz potem spoważniał i obiecał, że za chwilę przyjedzie. Zjawił się po pół godzinie. Był zupełnie pewien, że skrzynki stały tak jak teraz.

- No i co? - spytał Bryja bezradnie. W głowie go znowu łupało, nie czuł się zdolny do jakiegokolwiek energiczniejszego działania. - Ty mówisz tak, a nam się zdaje... Ja już nic nie pamiętam.

- Trzeba przede wszystkim otworzyć jedną ze skrzynek - zdecydował Zdanowicz. - Jeżeli się okaże, że wszystko tam jest w porządku, to... no, to nie ma sensu dalej sobie tym zawracać głowy. Widocznie coś wam się pomyliło.

- Obydwóm? - Maliniak wzruszył ramionami.

- Sugestia. Andrzej ci wmówił, a ty uwierzyłeś. Dajcie jakiś młotek i otwierajmy, bo szkoda czasu.

Kiedy unieśli wieko, oczom ich ukazały się papiery, kamyki i resztki złomu, dostarczone z jakiejś składnicy przez zapobiegliwego Oziembłę - jednym słowem, to samo, czym były wypełnione skrzynki, które wieźli w żuku w pierwszą stronę...

- Nasze skrzynki - szepnął Bryja ze zdumieniem. - Przecież myśmy zamienili!

Maliniak i Zdanowicz milczeli, patrząc w osłupieniu na zawartość skrzynek. Andrzej zwrócił się ku nim gwałtownie:

- Zamieniliście, do cholery, czy nie?!

- A ty - odezwał się Zdanowicz powoli, twarz mu zbielała ze złości. - przyznaj się, czy ty nie zamieniłeś, w swojej piwnicy? Z kogo robisz wariatów? Co?!

- Kto miał klucze od piwnicy - syknął Maliniak zaciskając pięści - jeżeli nie ty? Co robiłeś przez całą noc?

- Oszaaleliście! Jaką ja mam pewność, że wyście tam na Szosie Krakowskiej, tam za moimi plecami, bo siedziałem za kółkiem, naprawdę zamienili skrzynki? Kto to widział?

- Hacen widział - warknął Maliniak. - Jechał tuż za nami. Musiał dokładnie widzieć, co robiliśmy. Ale tego, coś ty tutaj robił w nocy, tego nikt nie widział, łajdaku!

- Słuchaj, ty... - Andrzej poczuł, że wzbiera w nim nienawiść do obydwóch - jeszcze słowo, a...

- A co? Uważaj. Nas jest dwóch.

- Ty mi grozisz? Sukinsynu cholerny, ja was obu...
- nagłym ruchem chwycił za ciężki łom... W tej samej

chwili ktoś stanął we drzwiach piwnicy i przesłonił światło. Drgnęli, spojrzeli w tamtą stronę.

- Panowie - odezwał się doktor Hacen swym cichym, schrypniętym głosem - wydaje mi się, że rozmawiacie trochę za głośno.

Milczeli, zaskoczeni. Wtedy Hacen lekkim mimo swego kalectwa krokiem zszedł w dół i błyskawicznym ruchem wyszarpnął z dłoni Andrzeja łom, po czym rzucił go na ziemię.

- Jeżeli jeszcze ktoś z panów ma przy sobie coś w tym rodzaju, radzę odłożyć - ostrzegł łagodnie. - A teraz, proszę mi spokojnie powiedzieć, co tu się stało.

- To się stało - rzucił szorstko Zdanowicz, wymownym ruchem ręki wskazując na otwartą skrzynkę. - Nasze skrzynki, załadowane papierami i śmieciem, włożone przeze mnie i Maliniaka z całą pewnością na samochód z Zakładów, wróciły do nas w tajemniczy sposób tej nocy, oczywiście na miejsce skrzyń z surowcem. Możemy teraz sprzedawać złom i kamyki.

Hacen spoglądał czas jakiś na zawartość skrzynki. Twarz miał jak zwykle nieodgadnioną, nie mogli z niej nic wyczytać. Potem poprosił, aby otworzyli resztę skrzyń. Zawierały to samo, co pierwsza.

- Panie doktorze - odezwał się Zdanowicz, już spokojniejszym tonem - pan jechał tuż za nami octawią i widział pan, że zamieniliśmy skrzynki. W tym względzie nie może być więc żadnych wątpliwości. Natomiast nikt z nas nie wie, co się tutaj działo przez całą noc... - zawiesił wzrok na Andrzeju. - Ty zaproponowałeś, aby towar umieścić w twojej piwnicy. Ty miałeś od niej klucze. I ty teraz usiłujesz nam wmówić, że jakieś duchy je zamieniły! To... to przechodzi wszelkie granice!

- Gdzie pan był ubiegłej nocy? - Hacen zwrócił na Bryję niebieskie okulary.

- Piłem - mruknął. - W Bristolu. Ze znajomymi, do trzeciej czy czwartej rano... nie pamiętam.

- Gdzie pan miał klucze od piwnicy?

- Przy sobie. Nie, chyba w domu. Tak, na pewno w domu, bo zostały w roboczym ubraniu, a do Bristolu przebierałem się w inne.

- Czy mógłby pan gwarantować, że w nocy nikogo u pana w domu nie było?

- Mogę. Ja mieszkam sam, żadnej babki w nocy nie przywiozłem. Włamania też nie było, zauważyłbym coś... Zresztą, tutaj przy drzwiach też żadnego śladu... Otworzyłem kluczami, jak zwykle. Słowo daję, ja absolutnie nie jestem niczemu winien i

nie rozumiem, jak to się mogło stać. Gdyby jakimś cudem w piwnicy byli złodzieje, zabraliby teczkę Maliniaka, która tu została. Mam też w kącie części samochodowe, łakoma rzecz – ale widzi pan, że są.

- Zaraz – odezwał się Maliniak – jeżeli przyjąć, że on rzeczywiście nie ma z tym nic wspólnego, to... to nasze skrzynki musiano tutaj w nocy przetransportować z Zakładów Lekarstw i zabrać prawdziwe, z surowcem. Wobec tego, mógł to zrobić jedynie ktoś z Zakładów. Ale skąd on wiedział, gdzie są prawdziwe skrzynki?

- Nie mógł wiedzieć, to wykluczone – rzekł Hacen.
- Zostawiliśmy ich na drodze. Gdyby nawet ruszyli za nami, musiałbym ich zauważyć. Nonsens. Załóżmy nawet, zupełnie teoretycznie, że ktoś z nich dostrzegł, jak wjeżdżaliśmy do warsztatu. Skąd by wiedział o istnieniu piwnicy? Skąd by miał do niej odpowiednie klucze? Poza tym, gdyby ten ktoś zauważył zamianę skrzynek na szosie, od razu podniósłby alarm.

- Chwileczkę – odezwał się nagle Zdanowicz, przyklękając obok jednej ze skrzynek. – Czy one są na pewno nasze? Bo papier jest jakiś inny. Pamiętam, że wkładaliśmy szary, a ten jest bardziej brązowy.

- To są na pewno nasze skrzynki - odparł Hacen stanowczo. - Naznaczyłem je na brzegach długopisem, o, tutaj jest taki maleńki znaczek. Na każdej skrzynce.

- Oczywiście, że nasze - zniecierpliwił się Maliniak. - Przecież sami je robiliśmy. Więc co, doktorze? Duchy?

Hacen z wolna uniósł głowę; czuli na sobie jego wzrok, który przenosił z jednej twarzy na drugą. Ten ruch głowy był tak wymowny, że mimo woli skurczyli się, poczuli się niepewnie. Każdy z nich jednak myślał: „To któryś z tamtych. Za moimi plecami. Żeby oddzielnie zarobić”.

Po raz pierwszy przestali mieć do siebie zaufanie.

Rozdział 9

- Więc jak to się właściwie stało?

- Pomysł był kapitalny. Wpierw uprzedziłem dyrektora naczelnego Warszawskich Zakładów Lekarstw i dyrektora ich Zjednoczenia. To są dobrzy, uczciwi towarzysze. Zrobiliśmy w naszych warsztatach identyczne skrzynki i napełniliśmy je dokładnie tym samym, co tamci. Oczywiście, samolot z przesyłką to było fikcja. Kierowca z Zakładów, konwojent i strażnicy dostali polecenie od swojego dyrektora, że mają skoro świt pojechać na lotnisko i odebrać przesyłkę. Załatwiliśmy wszystko co trzeba z celnikami i kierownictwem Okęcia, tak że kierowca i konwojent mogli myśleć, iż skrzynki rzeczywiście przyleciały Bóg wie skąd.

- Owszem, pomysł dobry. Ale mógł się nie udać.

- Na przykład?

- No, na przykład jeden ze strażników mógł pozostać w ciężarówce przy skrzynkach. Wtedy tamtym nie udałoby się zamienić.

- Pułkownik, przecież oni też mają głowy nie od parady. Próbowaliby coś wykombinować, odwołać nagle tego strażnika, zrobić awanturę, bo ja wiem? Zresztą, w każdym pomysle jest pewien procent ryzyka.

- A co było potem, kiedy ciężarówka przyjechała do Zakładów?

- W bramie czekał już komendant straży, któremu dyrektor dał polecenie, aby przesyłkę odwieźć natychmiast do Zjednoczenia. Tak więc zrobili. A tam - rozumiecie. Dyrektor sam wszystkiego dopilnował. Te skrzynki, ich własne skrzynki, są teraz u nas, w Komendzie.

- Rozumiem, dowód rzeczowy. Oni będą próbowali jakoś dowiedzieć się w Zakładach, jak to było z przesyłką. Maliniak albo Zdanowicz mogą tam mieć znajomych.

- Owszem, już pytali. Właściwie pytał Maliniak, zna tamtejszego przewodniczącego Koła NOT.

- No i co?

- Tego samego dnia, kiedy odbyła się zamiana skrzynek na Szosie Krakowskiej, nadeszły dla Zakładów - naturalnie pociągiem, nie żadnym „specjalnym transportem” - skrzynki prawdziwe, właśnie z takim surowcem. Szczęsny o tym pociągu

wiedział. Wszystko zostało opracowane na medal. Dlatego facet z Zakładów poinformował Maliniaka zgodnie z prawdą, że właśnie w tym dniu otrzymali skrzynie z cennym surowcem. A czy przyszedł samolotem, czy pociągiem, o tym on nie wiedział.

- Ogromnie to wszystko trudne i ryzykowne, majorze.

- Odpowiem wam słowami, które Szczęsny lubi czasem powtarzać: a co w naszej pracy jest łatwe?

*

Inżynier Maliniak patrzył na mówiącego ze zdumieniem. Jego jasne, strzępiaste brwi uniosły się w górę; miał minę człowieka, którego niespodziewanie zawiadomiono o milionowym spadku.

- Złota? - powtórzył, nie odrywając wzroku od twarzy doktora Hacena. - Pan powiedział, że tam są sztaby złota?

- Tak.

Odpowiedź była ostra i krótka, jak strzał batem. Bryja zerwał się z krzesła i zaczął niespokojnie kręcić się po pokoju. Oziębło otworzył usta i już ich nie zamknął. Zdanowicz nerwowo pocierał ręce. Nie wierzył w to, co mówił doktor Hacen. Nie chciał

jednak powiedzieć tego wyraźnie, toteż po chwili zaczął, starannie wyszukując odpowiednie słowa:

- Daleki jestem od tego, aby powątpiewać w rzetelność pańskich informatorów, doktorze. Obawiam się jednak, że tym razem któryś z nich... no, lekko przeholował.

- Nie.

Znowu ten ton zdecydowany, twardy. Twarz niczym bryła z kamienia, fałdy na policzkach jeszcze bardziej pogłębione. Oczy jak zawsze ukryte za niebieskimi szklami, usta bez żadnego wyrazu. Posąg, nie człowiek. Nawet ręce splecione nieruchomo na kolanach, starcze ręce z wypukłymi żyłami - ciemne jak twarz.

Milczeli, obserwując go z mieszanymi uczuciami. Wzbudzał podziw, szacunek, nienawiść. Chwilami strach, do którego by się zresztą nigdy nie przyznali. Wreszcie Maliniak nie wytrzymał.

- Przestań łązić! - krzyknął na Andrzeja. - W głowie mi się kręci. Więc jak to jest, panie doktorze? Może pan jeszcze raz wyjaśni, bo doprawdy...

- Trudno uwierzyć - dokończył Oziembło zafascynowany. Widząc w wyobraźni sztaby złota, zdobył się nawet na coś w rodzaju opozycji.

- Dobrze, wyjaśnię od początku. Zaznaczam jednak po raz drugi, że pewnych szczegółów podać nie mogę. Nie dlatego, że nie mam do was, panowie, zaufania, lecz... z innych względów. Oczywiście, jeżeli wam to w czymś przeszkadza, możecie mojej propozycji nie przyjąć. Wtedy spróbuję zrobić to sam.

- Sam? - zawołał Zdanowicz.

Maliniak westchnął ciężko, czubek nosa miał mocno zaczerwieniony, na nozdrzach perlił się pot. Pomyślał, że Hacen gotów naprawdę jakimś cudem zdobyć samemu sztaby złota - i że za wszelką cenę należy mu w tym przeszkodzić.

- Doktorze, przecież my nie odmawiamy - powiedział Bryja, przysiadając na brzegu krzesła. Wpatrywał się w ciemną twarz, usiłując podejrzeć wyraz oczu za okularami. Złożył ręce niemal błagalnie. Nie, złoto nie może dostać się tylko jednemu człowiekowi.

- Zgadzą się na to, że pan zatai przed nami wszystkie szczegóły, których z jakichś względów, mniejsza o to jakich, nie chce czy nie może nam pan podać. W końcu, dla nas nie jest istotne, z jakiej instytucji złoto zabierzemy, jeżeli tylko zabrać nam się uda - uśmiechnął się.

Hacen odpowiedział lekkim uśmiechem. Zaczął mówić dalej.

- Dobrze. Instytucja ta mieści się w lokalu zwykłej spółdzielni pracy, jednej z tysiąca spółdzielni w Warszawie. W tym przypadku jest ona tylko parawanem dla tamtej instytucji. Wiem, że pojutrze wieczorem, dokładnie o dwudziestej pierwszej, siedem kilogramowych i cztery półkilogramowe sztabki złota - własność owej instytucji, nazwijmy ją: Iks - mają być przewiezione do centrali Narodowego Banku Polskiego. Iks mieści się na ulicy Różanej sześć, parter. Na miejscu czekać będzie dyrektor naczelny i kasjer. Wiedzą oni, że o umówionej godzinie przyjedzie samochód warszawa, zielonego wojskowego koloru, znak rejestracyjny D-1100, kierowca w cywilu. W wozie dwóch panów, również po cywilnemu. Wsiądą, zadzwonią do drzwi spółdzielni, jeden z nich przedstawi się jako Zbigniew Boruta. Pokaże dowód osobisty na to nazwisko. Wówczas dyrektor wyda im sztabki, które mają obaj schować w zwyczajne brązowe teczki skórzane. Po dziesięciu czy piętnastu minutach samochód powinien znaleźć się przed bankiem, gdzie będzie go oczekiwać jeden z kasjerów i dwaj dyrektorzy. Jeżeli w ciągu tego czasu samochód się

nie zjawi, bank błyskawicznie porozumie się z milicją, która otworzy alarm dla całej Warszawy. Wówczas my musimy już być w bezpiecznym miejscu.

- My? - spytał Zdanowicz i zaraz się zorientował:
- Rozumiem, chodzi o zastąpienie tego samochodu i jego obsługi. Ale co zrobimy z prawdziwym wojskowym wozem, który przecież na pewno nadjedzie punktualnie?

- Otóż wiem, że dyrektor i kasjer instytucji Iks znajdą się na Różanej już wcześniej. Tak się składa, że znam hasło wywoławcze... O godzinie dwudziestej trzydzieści, a więc na pół godziny wcześniej, niż przewiduje termin przyjazdu tamtego wozu, na biurku w spółdzielni zadzwoni telefon. Dyrektor lub kasjer podniesie słuchawkę. Wówczas jeden z nas powie hasło, przedstawi się jako Zbigniew Boruta i zapowie wcześniejszy przyjazd. Powód trzeba obmyślić dostatecznie umotywowany. W kilka minut po telefonie, nasz samochód zjawi się na Różanej. Musimy odebrać sztabki i odjechać tak szybko, żeby zdążyć przed dwudziestą pierwszą, kiedy nadjedzie prawdziwy samochód.

- Jasne. Powinniśmy zdążyć. Czy można przypuszczać, że zaraz po naszym odjeździe dyrektor

i kasjer instytucji Iks opuszczą lokal?

- Niestety, nie. Mają czekać na telefon z banku, że przesyłka została odebrana, i dopiero wówczas mogą odejść. Taki telefon powinni dostać jakieś dwadzieścia minut po naszym odjeździe. Ale wówczas zjawi się już u nich prawdziwy samochód, bo będzie dziewiąta. Dlatego o tej porze sztabki muszą być w bezpiecznym miejscu. Kto z panów mieszka najbliżej ulicy Różanej?

Popatrzyli na siebie, zastanawiając się. Potem Zdanowicz rzekł: - Chyba kolega Maliniak.

- Więc trzeba, aby inżynier Maliniak przechował u siebie do następnego dnia złote sztabki. Nie możemy ich wozić długo po mieście, to by było zbyt ryzykowne. Najdalej pięć, sześć minut po dziewiątej nastąpi alarm dla wszystkich patroli i radiowozów. Zatrzymają naturalnie przede wszystkim zielone warszawy, wezmą do pomocy Wojskową Służbę Wewnętrzną. Nie prześlizgniemy się wtedy.

- Ja, niestety, mieszkam aż na Pradze - rzekł Bryja z pewnym żalem. - Zdanowicz na Służewcu.

- Ja na Bielanych - odezwał się Oziembło z nieukrywanym zadowoleniem. Wolał później wziąć swoją część, niż przechowywać w mieszkaniu sztaby złota.

- Dobrze - powiedział Maliniak z pewnym wysiłkiem. Przełknął ślinę, nieznacznym ruchem rozluźnił krawat. - Mieszkam przecież na Latawcu, to bardzo blisko Różanej.

- Sądziłem - rzekł Hacen powoli - że pan ma domek jednorodzinny pod Warszawą.

- Mam - odparł inżynier, trochę zdziwiony. - Ale przecież na Latawcu jest moja kawalerka, zapisana na inne nazwisko. Czasem nocuję tutaj... - zawahał się, umilkł. - Mniejsza o to - dokończył niezręcznie. - Więc mogę przechować nawet dwa, trzy dni.

*

Bryja podprowadził zieloną warszawę dokładnie przed bramę domu. Miał zostać i czekać, aż wyjdą ze sztabkami. Na wszelki wypadek nie wyłączył motoru.

Maliniak czuł krople potu na twarzy i plecach. Wieczór był gorący, poza tym inżynier denerwował się.

- No, wsiadaj - syknął Zdanowicz. - Na co czekasz?

Weszli do sieni. Na prawo był zakręcony, dość szeroki korytarz; za windą dostrzegli troje jasnobrązowych drzwi z różnymi szyldami. Na jednych drzwiach widniała biało emaliowana

tabliczka z napisem: „Spółdzielnia Pracy - Horyzont”.

- Tutaj - mruknął inżynier. Sięgnął do dzwonka: raz krótko, dwa razy długo. Prawie natychmiast drzwi otworzyły się, stanął w nich niemłody mężczyzna z krótko strzyżonym wąsem, już trochę posiwiałym. Obrzucił ich spojrzeniem, w którym było pewne zaniepokojenie.

- Panowie do kogo?

Maliniak powiedział hasło i dodał, wyciągając dowód osobisty:

- Nazywam się Zbigniew Boruta.

W dowodzie było jego własne zdjęcie, czego oczywiście nie dało się uniknąć, a co przejmowało go obawą. Kiedy siedzieli w samochodzie i jechali na Różaną, zaczął mocno żałować, że nie Zdanowicz, lecz on zaryzykował taką próbę. Dyrektor instytucji z pewnością zapamięta jego rysopis. Na refleksje było już zresztą za późno.

Mężczyzna z wąsem dokładnie obejrzał dowód i coś jakby westchnienie ulgi wyrwało mu się z piersi. Oddał go inżynierowi, odsunął się, aby przepuścić ich do środka.

- Przyznam się - rzekł, prowadząc ich do ostatniego pokoju za sekretariatem - że mocno mnie

zdziwił ten wcześniejszy przyjazd. Naprawdę nie mogliście dostać później samochodu? W tak ważnej sprawie?

- To nie jedyna ważna sprawa, jaką załatwiamy dzisiaj wieczoru - odparł Maliniak. - Nie dysponujemy nieograniczoną ilością wozów ani odpowiednich ludzi. A w takich rzeczach, sam pan rozumie, nie wolno ryzykować.

W pokoju czekał kasjer, tęgi, o dobrodusznym wyglądzie i ostrych oczach. Bez ceremonii zażądał okazania dowodu osobistego na nazwisko Boruty, poprosił o hasło, a prośba ta zabrzmiała jak rozkaz. Maliniak spełnił ją jednak bez wahania, z twarzą surową i bez uśmiechu. Z taką samą twarzą przyjął następnie z rąk kasjera sztabki złota, owinięte w jakiś specjalny papier. Sztabki były bardzo ciężkie. Ułożyli je w obu teczkach, po czym Maliniak powiedział, zacinając się ze zdenerwowania:

- Powinniśmy się pośpieszyć, mamy dziś jeszcze jedną robotę. Do widzenia panom!

Pożegnali się, Zdanowicz wyszedł pierwszy, za nim inżynier na trzęsących się nogach. Bryja na ich widok otworzył drzwiczki samochodu. Dyrektor i kasjer stali w bramie domu, przyglądając się odjazdowi. Wóz ruszył zrazu ostrożnie, za zakrętem

nabrał pędu, Andrzej dusił deskę, aż Zdanowicz krzyknął z niepokojem, że teraz właśnie ma najmniejszą ochotę na rozbicie o latarnie.

Bryja zwolnił ze śmiechem, ponosiło go, perspektywa dużej ilości gotówki - nie wątpił, że uda mu się swoją część łatwo sprzedać - łączyła się w jego wyobraźni z podróżą „Transylwanią”, i to nie samemu.

Przed domem, w którym Maliniak miał kawalerkę, czekała czarna octavia. Hacen wysiadł ostrożnie z wozu, po ich twarzach poznał od razu, że operacja się udała. We trójkę weszli na drugie piętro. Maliniak otworzył drzwi. Kawalerka okazała się luksusowo urządzonej apartamentem z łazienką i małą niszą, w której była kuchenka elektryczna.

- Siadajcie - mruknął gospodarz, kładąc teczkę na stół. Zdanowicz zrobił to samo. Ostrożnie rozpakowywali sztabki, dotykali ich niemal z czułością. Tutaj nie mogło już być wątpliwości, złoto było cechowane, Maliniak znał się na tym, Zdanowicz również. Pobieźnie obliczali wartość sztabek, kłócili się trochę, poczerwienieli z emocji. Maliniak wyciągnął z szafki-baru kieliszki i koniak, księgowy skrzywił się i poprosił o wódkę. Nie lubił koniaku.

- Ty w ogóle nie powinieneś pić - mruknął inżynier - masz słabe serce.

- Nie bój się, jeszcze ciebie przeżyję. Andrzej da sobie radę na dole? - zaniepokoił się nagle, choć wszystko było od dawna umówione.

Bryja miał wjechać w podwórze, umieścić warszawę w garażu Maliniaka, zdjąć tablice rejestracyjne i nałożyć inne. Tkwiło w tym pewne ryzyko, większe jednak było jechać teraz zieloną warszawą przez miasto, z jakimikolwiek znakami.

- Lepiej będzie, jeżeli jak najprędzej rozejdziemy się do domów - rzekł doktor Hacen. - Gdzie pan chce umieścić sztabki, inżynierze?

Maliniak schylił się, uklęknął na podłodze, odsunął puszysty dywan. W jednym miejscu klepki były ruchome i kryły pod sobą spory schowek. Ułożyli sztabki, policzyli wspólnie, nasunęli klepki. Potem Zdanowicz i Hacen wyszli. Maliniak miał tutaj nocować, a następnego dnia pod wieczór postanowili spotkać się znowu, już w piątkę, rozdzielić złoto albo sprzedać całość i potem dopiero podzielić, tego jeszcze nie ustalili.

Hacen zaproponował, że podwiezie ich obu na Pragę, ale Zdanowicz wymówił się, że ma jeszcze coś do załatwienia w Śródmieściu. Od czasu podejrzaney

zamiany skrzynek w piwnicy pod warsztatem, odzywał się do Andrzeja tylko, jeśli było to konieczne, i unikał z nim kontaktu. Podobnie zresztą postępował inżynier.

Bryja zgodził się chętnie, nie chciało mu się tłoczyć w tramwaju. Kiedy wjechali w Aleje Ujazdowskie, spotkali już jeden, potem drugi i trzeci radiowóz milicyjny. Dojeżdżając do Muzeum Narodowego, dostrzegli kilka motocykli Komendy Ruchu, a za mostem zostali zatrzymani.

Doktor Hacen bardzo spokojnym ruchem wyciągnął żądane dokumenty i okazał je funkcjonariuszowi. Nie było ostatecznie żadnego powodu do obaw, jechali czarną octawią, nie zaś zieloną warszawą; mimo to Bryja zacisnął szczęki ze zdenerwowania. W mieście można już było dostrzec poruszenie, radiowozy i motocykle milicyjne roiły się niczym mrówki to w jedną, to w drugą stronę.

Milicjant oddał papiery, zasalutował, obrzucił ich uważnym wzrokiem, wskoczył na siodełko i znikł.

- Dlaczego pan się zaniepokoił? - spytał Hacen nie patrząc na swego pasażera. - Sądzi pan, że jestem tak nieostrożny, żeby mieć jakiś dokument nie w porządku?

- Nie, po prostu... tak w ogóle. Wie pan, doktorze, zaryzykowaliśmy dzisiaj wiele. Przecież tamten dyrektor czy kasjer mogli mieć jakieś wątpliwości i zatrzymać nas w lokalu do czasu przybycia prawdziwej warszawy. Cholera ich wie, co oni tam mają za urządzenia alarmowe, jakieś stalowe drzwi, kraty, bo ja wiem, co... Jeżeli to taka ważna i tajna instytucja.

- Mogli, oczywiście. O ile sobie przypominam, to wiele emocji przeżywał również kiedyś kolega Malecki przy transporcie skór do Lublina. Nie pamięta pan, jak to było?

- Malecki? - Andrzej zastanawiał się przez chwilę, potem potrząsnął głową. - Nie, chyba nie. Na tej trasie wszystko mu się udało bez kłopotów, no a potem to już więcej nie jeździł.

- Dlaczego?

Bryja wzruszył ramionami i zerknął spod oka na nieruchomą twarz Hacena.

- Na to pytanie to pan sam chyba najlepiej potrafi odpowiedzieć. Przecież to właśnie pan wtedy go posądził, że nas nabiera. Zresztą, chyba tak było, doktorze.

- Nie jest pan pewien?

- Nie... Mało w gruncie rzeczy stykałem się z Maleckim. Szczerze panu powiem, że wszelkie rozgrywki w naszym gronie mało mnie interesują. Chodzi mi o zarobek, nic więcej.

- Czy inni również tak myślą?

- Oczywiście, że nie. Ale proszę mnie nie wyciągać na zwierzenia. - Umilkł, zapalił papierosa. Nie częstował, wiedział, że Hacen nie pali. Potem dodał jeszcze: - Pan nie znosił Maleckiego, doktorze, to się rzucało w oczy. Nieraz zastanawiałem się, dlaczego. Nie mógłby mi pan teraz powiedzieć?

- Przecież stwierdził pan przed chwilą, że rozgrywki pomiędzy nami pana nie interesują... Jesteśmy na miejscu. Do widzenia panu.

*

Było kilka minut po trzeciej, kiedy inżyniera Maliniaka obudził zapach dymu. Senny i rozbity, pociągnął nosem, usiłując zorientować się, skąd ten zapach dochodzi. Nagle usłyszał jakieś głosy, warkot samochodu, a potem nawoływanie.

Zerwał się z tapczanu, pierwsze jego spojrzenie padło na kąt pokoju, w którym pod klepkami ukryte były sztabki. „Złoto...” - pomyślał. W tej samej chwili

na schodach rozległy się okrzyki, szuranie jakby czymś ciężkim i do drzwi mieszkania ktoś załomotał.

Stał bez ruchu na dywanie, nie wiedząc na razie, co robić. Postanowił nikomu nie otwierać, mogło go przecież nie być w mieszkaniu. Wyjrzał do przedpokoju i z przerażeniem dostrzegł ciemną, wijącą się smugę dymu, która wpełzała powoli przez szparę między drzwiami a podłogą, od strony schodów.

„Pali się!” – pomyślał przerażony. Łomotanie powtórzyło się, jakiś męski głos zawołał:

- Jak nikogo nie ma, to trzeba drzwi wyważyć!

Podbiegł i otworzył, nie mógł dopuścić do wyważania, cały czas myślał tylko o jednym: „sztaby”! Na schodach, poprzez olbrzymie kłęby dymu, dojrzał postacie strażaków w hełmach, którzy ciągnęli gumowego węża.

- Gdzie się pali? – krzyknął, próbując zorientować się, skąd idzie dym.

Jeden ze strażaków machnął ręką i coś powiedział, ale szum i hałas zagłuszyły jego słowa. Coraz większe kłęby dymu rozprzestrzeniały się dokoła, wdzierając się do mieszkania. Cofnął się, zakrztusił, przetaił załzawione oczy. Jakiś strażak

wbiegł do kuchni, otworzył okno i wołał coś na dół, gdzie stał czerwony wóz przeciwpożarowy.

- Odsuń się pan! - Gumowy wąż otarł się o inżyniera, zanim zdążył zorientować się, że przeciągnięto go przez przedpokój i kuchnię.

- Co robicie? - krzyknął z gniewem i strachem - przecież tutaj nic się nie pali! Zabierzcie to natychmiast!...

Oczy wciąż zachodziły mu łzami, prawie oślepiiony, po omacku próbował przejść do pokoju, ale ktoś go odsunął na bok. Znowu jakiś strażak wpadł do kuchni, a po chwili wybiegł z powrotem, wołając gdzieś na schodach, że to nie tutaj.

Nie wiedział już, ile czasu minęło, kiedy nagle wszystko uspokoiło się. Zniknął gumowy wąż i czerwony wóz z podwórza, kłęby dymu opadły, czuć było tylko jeszcze zapach czadu i spalenizny. Zamknął starannie drzwi, przeszedł do łazienki i długo przemywał oczy, kaszłąc i plując. Potem wrócił śpiesznie do pokoju. Zdziwił się, że mimo całego rwetesu, nic nie zostało naruszone ani zabrudzone. Widocznie tu nie wchodzili.

Postał chwilę, rozmyślając, gdzie się mogło palić, ale był tak senny, że zwałił się na tapczan i

natychmiast zasnął. Śnił mu się pożar, wzdychał i jęczał przez sen.

Zbudził się jednak wypoczęty. Zaspał trochę, śpieszył się więc, mył i golił byle jak, śniadanie postanowił zjeść w Zakładach. O ósmej dyrektor naczelny wyznaczył konferencję, nie można było się spóźnić, miał w niej wziąć udział generalny dyrektor Zjednoczenia.

Przed samym wyjściem napadła go szalona ochota, aby obejrzeć sztabki przy świetle dziennym, ale odrzucił pokusę. Miał już tylko tyle czasu, aby zbiec na dół i dopaść taksówki. Własny wóz zostawił w Zakładach.

W południe, kiedy pił herbatę, przypomniał mu się pożar. Zwrócił uwagę na kronikę wypadków w „Życiu Warszawy”, ale nie było żadnej wzmianki. No tak, paliło się przecież o trzeciej rano, a o tej porze gazeta pewnie już jest na maszynach rotacyjnych. Może wiadomość będzie w popołudniówkach.

Zadzwoił telefon. To Zdanowicz w paru oszczędnych słowach przypomniał, że o szóstej mają się zejść u niego. Mruknął, że pamięta. Chciał dodać o pożarze, ale tamten już odłożył słuchawkę.

O czwartej zjadł obiad w „Salusie” przy placu Zbawiciela. Było gorąco, więc zamówił tylko kefir z

młodymi ziemniakami i naleśniki. Nie chciało mu się jeść. Kupił w komisie żyłki, zajrzał jeszcze do księgarni – nie było nic, co by go zainteresowało, wreszcie o wpół do szóstej wszedł do bramy domu na Latawcu.

Na schodach spotkał dozorczynię i spytał, gdzie to się w nocy paliło. Odburknęła coś, śpieszyło jej się. Na schodach rozglądał się uważnie, zszedł w końcu na podwórze, ale nigdzie nie dostrzegł żadnych śladów nocnej bieganiny, opalonych drzwi czy poręczy. Przez sekundę pomyślał, że może wszystko mu się śniło. Ale zapach dymu, choć prawie zanikał, można było jeszcze wyczuć w powietrzu.

W mieszkaniu przerzucił obie popołudniowe gazety. Owszem, było o pożarze, ale na Woli. Umył ręce i spoconą twarz. Nagle postanowił zajrzeć do sztabek, zanim tamci przyjdą. Wszedł do pokoju, odgiął róg dywanu; w tym momencie rozległ się umówiony dzwonek u drzwi. Niezadowolony, podniósł się z kolan, poszedł otworzyć. Przyszli kilka minut wcześniej, tak ich widać przygnało do złota...

To był tylko Zdanowicz. W dwie minuty później zjawił się Bryja, zaraz za nim Oziembło. Doktor Hacen spóźnił się trochę, był milczący, kulał mocniej niż zwykle.

Opadł ciężko na fotel, przesunął dłonią po siwych włosach, odetchnął głęboko. Potem powiódł po nich wzrokiem.

- Więc jak zdecydowaliście, panowie? - spytał, opierając ręce na poręczach. - Sprzedajemy wszystkie sztabki i dzielimy pieniądze czy też dzielimy sztabki i każdy robi z nimi, co uważa za stosowne?

- Ja jestem za podziałem sztabek - powiedział Zdanowicz, nalewając sobie wody sodowej.

- Ja również - poparł go Bryja. - Sprzedaż całości złota może trwać dość długo, a pieniądze są potrzebne zaraz. W każdym razie mnie.

- Pan? - Hacen rzucił przelotne spojrzenie na Oziembłę.

- Ja... raczej wolałbym pieniądze niż sztabki. Mogę mieć kłopoty ze sprzedażą złota. Zresztą... dostosuję się do innych.

- A pan? - doktor zwrócił twarz w kierunku Maliniaka.

- Wolę sztabki. To dobra lokata pieniędzy.

- Wobec tego, dzielimy sztabki. Zwracam tylko uwagę panów, że sprzedaż złota w obecnej chwili, to znaczy bezpośrednio po kradzieży, jest przedsięwzięciem ogromnie ryzykownym i stanowczo

je odradzam. Proszę pamiętać, że milicja będzie miała na oku wszystkich handlarzy złotem i walutą, wszystkich paserów, meliny i tak dalej. Jeżeli jeden z nas wpadnie podczas sprzedaży, może to mieć nieobliczalne skutki.

- Oczywiście, doktorze - powiedział Zdanowicz. - Sądzę, że każdy z nas jest na tyle rozsądny, że nie dopuści do wpadki. Jak dzielimy? Jest dziewięć kilogramów złota, w tym siedem sztabek po kilo i cztery po pół kilo. Nas jest pięciu.

- Uważam - zaczął Maliniak ze złośliwym uśmiechem - że kolega Oziembło powinien zrezygnować z jednego kilograma. Nie brał przecież żadnego udziału w operacji.

Magazynier poczerwieniał z gniewu.

- Do tej pory - syknął zapominając o strachu - stosowaliśmy zasadę równego podziału, bez względu na czyjś bezpośredni udział w zadaniach. Ja, choćbym chciał, nie mógłbym w niczym pomóc, bo byłoby nas za dużo. Przecież doktor Hacen mówił wyraźnie, że w samochodzie ma być dwóch mężczyzn i kierowca. Nikt mnie na żadnego z nich nie wyznaczał.

- I słusznie - rzekł Zdanowicz. - Nie wyznaczono pana, bo się pan nie nadaje, jest pan po prostu

tchórzem i każdy z nas o tym wie. Popieram wniosek Maliniaka.

Bryja milczał. Jeżeli Oziembło zrezygnuje, każdy z nich dostanie po dwa kilogramy. Jeżeli nie, trzeba będzie krajać sztabki. Szkoda. Bał się jednak, że następnym razem – jeżeli na przykład on nie weźmie udziału w kradzieży – precedens z Oziembłą stanie się już praktyką. Dlatego wolał milczeć. Niech tamci decydują.

Doktor Hacen zastanawiał się. Spojrzał na Andrzeja, ale ten odwrócił wzrok. Maliniak i Zdanowicz mieli twarze zacięte, nieprzejednane. Oziembło siedział jak skamieniały, na policzki wystąpiły mu ceglaste plamy, ręce drżały nerwowo. Gra szła o wielką stawkę. O złoto.

- Dobrze – powiedział Hacen wyraźnym szeptem.
- Każdy dostanie po dwa kilogramy, z wyjątkiem kolegi Oziembło. Czy woli pan w całości, czy w dwóch kawałkach? – zwrócił się do magazyniera.

- Nie zgadzam się z tym! – wybuchnął Oziembło zrywając się z krzesła. – Nie macie prawa tak robić! Nigdy dotąd tak nie było... Panie Andrzeju, pan przecież jeszcze się nie wypowiedział, dlaczego pan milczy?

Bryja wzruszył ramionami, sięgnął po papierosa.

- Pan milczy, bo pan się już dość obłowił! - wrzasnął nagle Oziembło przyskakując do niego z pięściami. - Z tymi skrzynkami to jedna wielka lipa, mnie nikt oczu nie zamydli.

- Proszę o spokój - powiedział Hacen ostro.

- Najpierw Bryja wykantował nas wszystkich, a teraz wy chcecie wykantować mnie. Nie zgadzam się na ten podział sztabek. Nie!

- Jeszcze jedno słowo, ty łobuzie, a kości ci policzę! - krzyknął Andrzej. Oczy mu zapłonęły, twarz ściągnęła się jak u złego psa.

- Andrzej, uspokój się - inżynier chwycił go za rękę i zmusił do opuszczenia na fotel. - Jakie jest twoje zdanie co do podziału złota?

- Zupełnie mu wystarczy kilogram. I tak dostaje za nic - warknął Bryja oddychając z trudem. W gniewie był straszny, mógł zabić bez wahania, o niczym nie myśląc i nie zastanawiając się.

- Niech będzie, zgadzam się - szepnął magazynier, nagle znów wystraszony i otępiały. - Przepraszam... uniosłem się.

Zdanowicz rzucił mu krótkie, niemal obelżywe spojrzenie i mruknął coś do siebie. Maliniak wykrzywił usta z pogardą.

- A teraz już bez dyskusji, panowie, i bez awantur. Proszę, inżynierze, niech pan wyłoży sztabki na stół.

Maliniak ukląkł, odgiął róg dywanu, namacał ruchome klepki. Podważył jedną z nich, wyjął ostrożnie. Twarz mu zbieleła jak papier. Z sykiem wciągnął w płuca powietrze, zakrztusił się. Spojrzeli na niego zdziwieni, Bryja zerwał się, podbiegł, zajrzał mu przez ramię i krzyknął:

- Nie ma! Tu nic nie ma!...

Wszyscy porwali się z miejsc. Hacen, kulejąc silnie, podszedł i nachylił się nad podłogą, tamci rozrywali palcami pozostałe klepki.

Sztabki złota znikły.

*

Pierwszy opanował się doktor Hacen. Usiadł w fotelu, zacisnął palce na poręczach i rzekł cicho:

- Panowie, przede wszystkim trzeba zachować absolutny spokój. Nie wolno nam dopuszczać do takich awantur, jak przed chwilą. Nie jesteśmy chuliganami, którzy rozgrywki między sobą załatwiają krzykiem i bójką na pięści. Ostatecznie, człowiek cywilizowany ma do dyspozycji wiele innych środków na rozwiązanie takich zagadek, jak ta...

Proszę, niech wszyscy usiądą, uspokoją się, wtedy będziemy rozmawiać i decydować.

Jeszcze miał nad nimi taką władzę, że posłuchali bez słowa. Usiedli, Maliniak był blady, niemal szary na twarzy. Zdanowicz patrzył na niego bez słowa, podobnie jak Oziembło. Andrzej - on jeden - przeżywał coś w rodzaju gorzkiego triumfu: oto przekonali się, że towar może „sam” zniknąć z dobrze strzeżonej kryjówki tak jak zniknął z jego piwnicy. Był gotów uwierzyć, że Maliniak nie ponosi tutaj żadnej winy, obaj byli przecież teraz w podobnej sytuacji.

Posłał mu życzliwe spojrzenie, ale tamten nie patrzył na niego. Wbił oczy w podłogę, usta mu drgały, jakby miał wybuchnąć płaczem.

- A teraz, kolego Maliniak, proszę nam opowiedzieć cały przebieg wczorajszego wieczoru i nocy, a następnie dnia aż do chwili, w której przyszliśmy tutaj, do pana.

- Dobrze - odparł inżynier ochrypłym głosem. - Po waszym wyjściu od razu położyłem się spać. Byłem zmęczony. Dziś nad ranem... o trzeciej..., obudził mnie zapach dymu i jakieś hałasy. Gdzieś w kamienicy wybuchł pożar. Na podwórzu stał wóz strażacki. Zanim zdążyłem zastanowić się, co zrobić

na wypadek, gdyby ogień doszedł do mojego mieszkania, strażacy zaczęli walić do drzwi. Nie chciałem otwierać, ale wołali, że jak nikogo nie ma, to trzeba drzwi wyważyć. Do tego nie wolno mi było dopuścić. Więc otworzyłem. Dym wdarł się do środka, oślepił mnie. Strażacy przeciągnęli wąż gumowy przez przedpokój i kuchnię do okna, ale do pokoju nie wchodzili. Wszystko to trwało może parę minut... Potem... Potem... wołałem do nich, że u mnie nic się nie pali, ale był hałas, biegali, nie zwracali na mnie uwagi. Jak poszli, wróciłem do pokoju. Zobaczyłem, że nie było w nim żadnych śladów obecności strażaków, nic nie było poruszone ani zabrudzone. Byłem bardzo śpiący i położyłem się spać.

- Zaglądał pan do sztabek? - spytał Hacen.

- Nie. Chciałem zajrzeć rano, ale zasnąłem i musiałem się śpieszyć do Zakładów. Po pracy byłem na obiedzie, tu niedaleko, potem kupowałem jakieś drobiazgi. Wróciłem na krótko przed przyjściem kolegi Zdanowicza. Zaraz po nim przyszli inni.

Umilkł, nerwowo zacierał ręce, unikał ich wzroku.

- No, tak... - powiedział wolno Zdanowicz, ale nie dokończył zdania. Wzbierała w nim złość i gniew,

próbował się opanować, choć mocne słowa dławily mu gardło.

- Czytałem dzisiejsze gazety - mruknął Oziembło.

- Nie ma żadnej wzmianki o pożarze na Latawcu.

- Szczerze mówiąc, nie dostrzegłem na schodach ani w bramie żadnych śladów pożaru, jakiegoś osmalenia ścian czy drzwi - rzekł Hacen w zamyśleniu. - Przecież strażacy nie ciągnęliby gumowego węża aż na drugie piętro, gdyby tutaj nie było ognia. A może paliło się od strony podwórza?

Maliniak potrząsnął głową. Wiedział już, że nie ma sensu wysyłać ich na obejrzenie którejkolwiek klatki schodowej na tym czy innym piętrze. Pożaru nie było, strażacy przyszli, sztabki znikły - oto jak wyglądała prawda, na pozór absurdalna. Nie mógł mieć do nich pretensji, że mu nie wierzą. On na ich miejscu też by nie uwierzył.

- No więc jak, do cholery - Zdanowicz cedził słowa przez zaciśnięte szczęki - mamy się zadowolić tą bajeczką?...

- Panie inżynierze - Hacen mówił spokojnym, twardym głosem - mogę zrozumieć tę ogromną pokusę, jakiej nie był pan w stanie opanować. Może źle zrobiliśmy, zostawiając pana samego z tak wielką

ilością złota. Ostatecznie, człowiek jest człowiekiem, ulega różnym...

- Nie! - przerwał Maliniak gwałtownie. - Niech pan nie kończy. Możecie myśleć, co chcecie, ale ja nie zabrałem tych sztabek.

- Wolałbym, żeby pan mi nie przerywał. Jeżeli więc uległ pan jakimś wewnętrznym namowom i schował sztabki wyłącznie dla siebie, dajemy panu teraz szansę na cofnięcie tej fatalnej decyzji. Niech pan zwróci złoto, a zapomnimy o wszystkim. Cóż, możemy chyba... stać nas na to, panowie, abyśmy uznali to za żart. Nawet niezły. Jednakże każdy żart ma swoje granice i kiedyś musi się skończyć. Myślę, kolego Maliniak, że w tej chwili najwyższy czas skończyć z ukrywaniem sztabek.

- Ja nie mam sztabek - powiedział Maliniak z naciskiem. - Teraz zdaję sobie sprawę, że cały pożar był sfingowany, a strażacy podstawieni. W momencie kiedy zostałem oślepiiony dymem i nie mogłem przedostać się do pokoju, ktoś z nich zabrał sztabki.

- Załóżmy nawet, choć trudno w to uwierzyć, że tak było. Proszę się wytłumaczyć, jakim sposobem w ciągu tak krótkiego czasu ten ktoś zdążył odsunąć klepki, wyjąć złoto i ułożyć dywan tak, aby pan nie zauważył w pokoju żadnych śladów czyjejs

obecności? Dlaczego, jeżeli nawet ci ludzie, ci tajemniczy strażacy, wiedzieli, że u pana przechowane jest złoto, nie szukali go w szafie, w biurku, w tapczanie – tylko od razu skierowali się właśnie w ten kąt pokoju, gdzie są ruchome klepki i schowek? Chyba że pan w dymie zemdłał i był nieprzytomny przez parę godzin...

- Byłby to dla mnie dobry wykręt – odparł inżynier z ironicznym uśmiechem. – Jednakże, jak pan słyszał, nie użyłem go. Powiedziałem tylko samą prawdę. Tak, jak było. Strażacy, czy ktokolwiek tu był, kręcili się w mieszkaniu nie dłużej niż kilka minut.

- To znaczy, że ci ludzie wiedzieli, gdzie sztabki są schowane.

- Tak wynika z faktów.

- A więc, panowie, kim byli owi „strażacy” i kto z nas pięciu powiedział im o schowku?

Zapanowało przykre milczenie. Doktor Hacen miał rację, nikt poza nimi nie mógł o tym wiedzieć. Spoglądali na siebie niemal z nienawiścią.

- Najpierw z piwnicy pod warsztatem ginie niezwykle tajemniczo cenny surowiec, potem z mieszkania sztabki złota – rzekł Zdanowicz przenosząc wzrok to na Bryję, to na Maliniaka. – Chyba już dość tej zabawy, kochani koledzy, co? Ja w

każdym razie nie mam zamiaru rezygnować ze swego udziału ani w tamtym surowcu, ani w złocie.

- Ani ja - dodał Oziembło. - On to chyba ma gdzieś tutaj - rozejrzał się po mieszkaniu.

Maliniak zerwał się z krzesła.

- Proszę bardzo, zróbcie rewizję! - krzyknął, rzucając się do szaf i otwierając je szeroko. - Proszę! - wyrzucił na podłogę bieliznę, ubrania, ręce mu się trzęsły. - Proszę! - skoczył do biurka, wyszarpnął z kieszeni kluczyki, otworzył szuflady, jedna po drugiej. - Szukajcie. Wszędzie, gdzie tylko chcecie! - Kopnął nogą dywan, zrulował go do przedpokoju. - Zbadajcie klepki na całym parkiecie. Róbcie rewizję w łazience, w kuchni, w przedpokoju...

Zdanowicz patrzył na to z kpiącym uśmieszkiem.

- Myślisz, że twoja ostentacyjna gotowość do rewizji może nas zachwycić? - rzekł z lekceważeniem. - Mój drogi, nie mam cię za głupca. Na twoim miejscu spodziewałbym się czegoś takiego i nigdy bym sztabek tutaj nie trzymał. Miałeś przecież dość czasu na ukrycie ich w pięciu innych miejscach. Schowaj te fatałaszki, bo się zabrudzą.

- Rzeczywiście, kolego Maliniak, to wygląda niepoważnie - odezwał się doktor Hacen. - Gdybyśmy chcieli zadać sobie trud i szukać sztabek,

to na pewno nie w tym mieszkaniu. Niech pan nie ma nas za tak naiwnych. Ale ja sędzę, że szukanie byłoby daremnym trudem. Inżynier Maliniak, jak słusznie zauważył kolega Zdanowicz, miał aż nadto wiele czasu, aby ukryć złoto w jakimś nie znanym nam miejscu. Wobec tego, panowie, proponuję, abyśmy pojutrze zebrali się wszyscy u Antoniego. Być może, będzie to nasze ostatnie spotkanie. To znaczy, dla niektórych z nas. Niemniej uważam, że dotychczasowe – tak bardzo nieudane – transakcje trzeba spokojnie omówić i wyciągnąć z nich odpowiednie wnioski. Czy zgadzacie się na to?

- Czy... czy chce pan zrezygnować z dalszego informowania nas, doktorze? – zawołał Andrzej z przerażeniem.

- Chyba nie ma pan tego zamiaru – dodał Zdanowicz tonem prośby. – Ostatecznie... – spojrzał nienawistnie na Bryję i Maliniaka – możemy zmienić nieco skład naszej grupy. I tak nie mamy już do siebie zaufania.

- A więc, pojutrze u Antoniego – doktor Hacen nie odpowiedział na pytanie. – Proszę przyjść punktualnie o dziewiątej wieczorem.

Rozdział 10

- Oczywiście, sztabki nie były ze złota?

- Nie, pułkowniku. Były tylko lekko pozłacane, ale miały za to wszystkie cechy i znaki, jakie nosi prawdziwe złoto. Dlatego na pierwszy rzut oka mogły wprowadzić w błąd nawet dobrego znawcę. Waga każdej sztabki również zgadzała się z wagą takiej samej złotej. Kapitan Borecki doskonale odegrał rolę dyrektora tajemniczej instytucji, tak samo porucznik Mitręga zachował się dobrze jako kasjer.

- Widzieliście tę scenę?

- Tak, byłem piętro wyżej. Założyliśmy wizję.

- Nie podoba mi się historia z pożarem.

- Pułkowniku, zwykle świece dymne. Nasi chłopcy po raz pierwszy wystąpili w roli strażaków, dlatego było trochę za wiele szumu. To już zresztą ostatnia próba. Myśleliśmy, że uda się jej uniknąć, ale nie było rady. Jutro kończymy wszystko.

- Najwyższy czas. Jutro mija termin, jaki dałem kapitanowi Szczęsnemu. Jeżeli się nie uda, koniec eksperymentowania. Zacniemy normalne

dochodzenie. A jutrzejszy dzień na waszą odpowiedzialność, majorze.

- Rozumiem.

*

Antoni wyjrzał z kuchni na korytarz. Doktor Hacen wchodził właśnie do małego pokoiku i zamknął drzwi za sobą. Antoni postać chwilę w korytarzu, skrobiąc się po głowie, potem przeszedł do pokoju, gdzie grali pokerzyści. Coś mu się dzisiaj nie podobało. Zbyt wielu ludzi tu było, niektórych w ogóle nie znał i to go niepokoiło. Trzech przyprowadził podpity „Hrabia”, przysięgając, że ręczy za nich moralnie i materialnie. Goście też byli pod niezłą datą, ale zachowywali się spokojnie, zresztą od razu usiedli do gry.

- Panie Antoni, poprosimy koniak i coś na ząb - rzekł teraz „Hrabia”, dojrzwawszy gospodarza lokalu.

- Jaki koniak? - Antoni rozchmurzył się trochę.

- Może być armagnac.

- Kanapki czy coś treściwszego?

- Kanapki, bo nie chcemy przerywać gry. Tylko dużo.

Przyjął zamówienie i wyszedł na korytarz. Dwaj stali bywalcy, inżynier Maliniak i starszy księgowy Zdanowicz, wchodzili do ostatniego pokoju. Kilka minut później zjawił się tam magazynier Oziembło, a po nim Bryja, właściciel warsztatu. Antoni pomyślał, że zbierają się jak zwykle, że wobec tego wieczór jest normalny i nie ma żadnego powodu do obaw. Wszedł do kuchni i zabrał się do robienia kanapek.

- A więc, panowie - zaczął doktor Hacen, odsunąwszy się z fotelem pod samo okno, tak aby móc objąć wzrokiem każdego z nich - dziś musimy zdecydować, co robimy dalej: zmieniamy skład naszej grupy czy też w dalszym ciągu pracujemy w tym samym gronie. Zaznaczam jednak od razu, że ja odmawiam udzielania wszelkich informacji przy nie zmienionym składzie osobowym. Po dwóch ostatnich... doświadczeniach, mam tego dość.

Zapadła długa cisza. Maliniak poruszył się w krześle, twarz miał spokojną, ale zaciętą i zdecydowaną. Odchrząknął, podniósł oczy na Hacena i rzekł:

- Może pan to sprecyzuje, doktorze. Kogo lub czego ma pan dość?

- Pana. Pańskiej naiwnej gry i oszustwa. Sądzi pan, inżynierze, że łatwo mi przyszło zdobyć

informacji o tych sztabkach złota? To była sprawa, jaka zdarza się raz na dwadzieścia, trzydzieści lat!

- I pan w dalszym ciągu przypuszcza, że ja te sztabki przed wami ukryłem, tak?

- Tak.

Z kolei Hacen przeniósł wzrok na Andrzeja, który chciał się odezwać, ale doktor go uprzedził:

- Pana również mam dość. Podobne metody, co u kolegi Maliniaka. Cenny, rzadki surowiec, za który mogliśmy wszyscy dostać sporo pieniędzy, raptem ginie w jakiś cudowny sposób z zamkniętej na klucz piwnicy. Komu panowie chcecie wmówić te bajeczki?

- Słusznie - poparł go Zdanowicz. - Ja też nie zgadzam się na dalszą pracę w tym samym gronie. Uważam jednak, że obaj powinni nam choć w części zwrócić wartość surowca i sztabek. Może, gdyby to zrobili, moglibyśmy po pewnym czasie znów nawiązać ze sobą współpracę. W przeciwnym razie, nie.

- Zgadzam się - podchwycił skwapliwie Oziembło.

- Niech oddadzą z tego, co mają, a potem się zobaczy.

- Jeżeli sami nie wzięli, to przecież są odpowiedzialni za przechowanie - dodał Zdanowicz.

Bryja poczerwieniał. Kiedy się odezwał, głos mu się załamywał:

- Jak wy... z czego mam oddać?... Przecież to nonsens, obciążać mnie odpowiedzialnością za coś, czego nie pilnowałem!

- Właśnie - rzekł Zdanowicz. - Po jaką cholere chlałeś wodę właśnie tej nocy, kiedy miałeś u siebie towar?

- To moja rzecz - odparł gwałtownie.

- Nie twoja, psiakrew! Podjąłeś się przechować u siebie, to trzeba było całą noc warować przy tym jak pies. A ty też - zwrócił się do Maliniaka, który słuchał ze spuszczonej oczami - po co wychodziłeś z pokoju, jeżeli podejrzeni strażacy wcale do niego nie zajrzeli? Było nie ruszać się na krok od sztabek, wiedziałeś dobrze, że u ciebie w mieszkaniu nic się nie pali. Było krzesło na tym miejscu postawić, usiąść i nie ruszać się na krok! Kretyn.

- Uważam - rzekł doktor Hacen - że panowie Maliniak i Bryja muszą zwrócić nam równowartość skradzionych sztabek i surowca w przeciągu trzech miesięcy. Po tym terminie możemy ewentualnie mówić o dalszej współpracy.

- Równowartość! - Inżynier podniósł się z krzesła.
- Pan chyba żartuje, doktorze. Byłoby to więcej niż

wyniosły wszystkie moje dotychczasowe udziały w transakcjach...

- Być może. Jeżeli pan się nie zgadza, proszę opuścić pokój. Pan Bryja również.

*

Major na palcach wyszedł do drugiego pokoju. Czekali tam oficerowie, wyznaczeni do dzisiejszej akcji, która nosiła kryptonim „Błękitne okulary”.

- Towarzysze, zaczynamy - zwrócił się do nich. W oczach miał jeszcze nie wygasłe napięcie. - Nie będę powtarzał, każdy z was wie, co ma robić. Czy są jakieś pytania?

Zgłosił się porucznik Kasprzak. W grupie, którą dowodził, jeden z funkcjonariuszy rozchorował się; zapytał więc, czy może uzupełnić stan osobowy sierżantem z komendy dzielnicowej na Woli. Major zdziwił się: dopiero teraz mówi się o zamianie ludzi? Ale sierżant czekał już na korytarzu. Dobrze więc, major się zgadza. Więcej pytań nie było, oficerowie podnieśli się z krzeseł, twarze mieli skupione.

Major wrócił do gabinetu. Przy magnetofonie siedział porucznik Kręglewski, pilnując obracającej się taśmy. Obok stał ultrakrótkofalowy odbiornik specjalnego typu, o zasięgu pięciu kilometrów.

Obsługujący go oficer ze słuchawkami na uszach siedział nieruchomo, nie odrywając oczu od światełek sygnalizacyjnych.

Daniłowicz usiadł z boku i uruchomił głośnik.

*

Maliniak stał przez chwilę na środku pokoju, ręce z wolna zaciskały mu się w pięści. Bryja nie poruszył się z miejsca. Był oszołomiony, nie wiedział, co robić. Bezmyślnie gapił się na inżyniera.

- Jeżeli ja mam wyjść - zaczął Maliniak głosem, w którym czaiła się wściekłość - to przedtem powiem tutaj, wobec wszystkich, parę słów prawdy, doktorze Hacen!

- Czekamy na to od dwóch dni - przerwał mu Zdanowicz z ironią.

- Nie, to nie będzie prawda o sztabkach złota, którą powiedziałem już i nic się tutaj nie zmieni. To będzie prawda o panu, doktorze Hacen!

- Mówiłem, żeby pan opuścił pokój - rzekł Hacen ostrym głosem. Prawą rękę nieznacznym ruchem wsunął do kieszeni. Nikt z obecnych tego nie zauważył.

- Nie, doktorze! Nie odmówię sobie tej satysfakcji. Potem mogę odejść, teraz mi już wszystko jedno. Rozszyfrowałem pana, doktorze Hacen. Może wyrażam się nieściśle: nie ja pana rozszyfrowałem, lecz mecenas Raczek. I dlatego zginął.

Zdanowicz i tamci spojrzeli na inżyniera ze zdumieniem.

- Cóż to znaczy? - spytał księgowy marszcząc brwi. Bryja bezwiednie uniósł się z krzesła, jakby chcąc lepiej słyszeć.

- Tak, doktorze - Maliniak mówił przez zaciśnięte zęby, twarz miał białą jak papier. Na tydzień przed śmiercią Raczek zwierzył mi się, że wie, kto zabił Wacka Maleckiego...

*

Sierżant Tuczyński wyjął pistolet, wprowadził nabój do komory, zabezpieczył i wsunął do kieszeni. Rozejrzał się po „punkcie trzecim” - mieszkaniu, którego pilnował dzień i noc, od dwóch tygodni. Teraz zbliżał się czas, w którym miał je opuścić.

Zamknął drzwi i oddał klucz mężczyźnie w cywilnym ubraniu stojącemu na schodach, kilka stopni niżej.

- Sam jesteś? - spytał zdziwiony. Wywiadowca ruchem głowy pokazał na górne piętro. Stało tam dwóch innych. Tuczyński pokiwał głową z uznaniem.

- Stary prowadzi akcję?

- Tak, ale jest w Komendzie. Na dole stoi zamaskowany radiowóz, od Nowogrodzkiej drugi.

- Łączność radiowa?

- Dwie. Tam, w gabinecie, gdzie oni siedzą, jest jeszcze krótkofalówka. Taka specjalna. Nadajnik tu gdzieś, nie wiem dokładnie.

Sierżant gwizdnął cicho. Już rozumiał.

- Nagrywają to na taśmie?

- Chyba tak. Idź już, bo się spóźnisz.

Tuczyński cicho zszedł na dół, minął podwórze, kątem oka dojrzał i rozpoznał radiowóz ukryty pod maską zwykłego samochodu jakiejś spółdzielni. Wyszedł na Nowogrodzką, przeszedł się parę kroków po ulicy. Jego bystre oczy wyłowiły spośród zwykłych przechodniów sylwetki wywiadowców w cywilu. Spojrzał na zegarek. Do godziny, w której miał wyznaczone zadanie, brakowało dwóch minut. Zapalił papierosa chowając się do bramy.

- I cóż panu powiedział mecenas Raczek? - Głos Hacena był zupełnie spokojny, nawet jakby żartobliwy.

Maliniak drgnął, przez chwilę wyglądało, jakby chciał się na niego rzucić, ale pohamował się.

- A może woli pan, doktorze, abym nie dokończył?
- spytał ochryple. Nagle pożałował, że oto tak ma się skończyć jego udział w zdobywaniu dużych, ciężkich pieniędzy, że skrytki w biurku nie będą się już więcej napełniać. Wiedział, że jeżeli padną następne słowa, będzie już po wszystkim. Cofnąć tego się nie da.

- Przeciwnie, proszę, niech pan kończy. Chyba że waha się pan, jakie nowe kłamstwo obmyślić.

- Dobrze. To pan zamordował Maleckiego, doktorze Hacen. A potem, aby uniknąć rozprawy z nami, wykończył pan Raczka.

Hacen roześmiał się urągliwie. W napięciu wywołanym słowami Maliniaka nikt nie zauważył, że był to śmiech młodego człowieka, nie zaś schorowanego starca.

- Nie ma w tym nic śmiesznego, doktorze - ciągnął Maliniak. Zbliżył się o krok w stronę okna. - Raczek wiedział, dlaczego przybrał pan tak dziwne nazwisko... Hacen, czyli Ha-Ce-En, czyli cyjanowodór albo kwas pruski. Ten kwas należy do najbardziej trujących ze wszystkich znanych jądów. Malecki nie popełnił samobójstwa. To pan był u niego w dniu śmierci, przed południem! To pan wlał mu do

kieliszka parę kropel kwasu pruskiego, maskując potem rzekome samobójstwo. Raczek widział, jak pan wychodził z mieszkania Wacka. Widział pana, doktorze!

*

Mężczyzna, którego przed kwadransiem wprowadzono do gabinetu majora Daniłowicza, miał na rękach kajdanki. Był niewysoki, szczupły, miał małe, głęboko osadzone oczy i łysą czaszkę otoczoną wianuszkami ciemnych włosów.

Posadzono go niedaleko głośnika. Przez dłuższą chwilę słuchał z widocznym zdumieniem, potem na jego twarz wypełzła strach. Cofnął się w krzesło, na nosie i czole miał grube krople potu.

Major obserwował go z uwagą.

- Słyszał pan, panie Białkowski, prawda? - rzekł w pewnej chwili. - Przypominam, że szczere przyznanie się do winy wpłynąć może na złagodzenie wyroku. Czy zabił pan Wacława Maleckiego?

- Tak.

- Użył pan do tego właśnie cyjanowodoru, wlewając go do kieliszka?

- Tak.

- A mecenas Raczkę?

- Przytrzymałem mu głowę pod wodą... Był w wannie. Potem... o kaloryfer. Mnie już teraz wszystko jedno. Podejrzewałem jeszcze w Anglii, że Raczek któremuś z nich powiedział o Maleckim, ale...

- Pracując w Centrali Handlowej miał pan oczywiście łatwy dostęp do informacji o różnych przesyłkach i przydziałach.

- Tak. Nie miałem żadnych innych informatorów, prócz siebie.

- Czy któryś z tamtych wiedział, że pan nazywa się Ignacy Białkowski?

- Nie. Na pewno nie. Nie widzieli mnie nigdy w Centrali. A choćby zresztą widzieli, toby nie poznali. Zmieniałem wygląd, głos, kulałem jako Hacen. Tam...

- pokazał głowę na głośnik - do kogo on to mówi? Tam jest ktoś... przebrany... za mnie?

*

Nastała cisza. Wszystkie oczy zwrócone były teraz na nieruchomą twarz doktora Hacena. Oziębło cofnął się ze strachu aż za szafę, Bryja, wciąż oszołomiony, jakby go kto zdzielił pałką po głowie, przecierał czoło. Nie był w stanie zebrać myśli, nie wiedział, jak zareagować, co robić.

- Panie doktorze - odezwał się Zdanowicz. Po raz pierwszy widzieli go zupełnie zdezorientowanego. - Niechże pan zaprzeczy! Przecież to oszczerstwo, co on mówi...

- To nie oszczerstwo, to prawda - zawołał Maliniak. - Milczałem, dusiłem to w sobie, bo...

- Bo żal panu było dalszych udziałów w transakcjach, panie inżynierze - rzekł Hacen.

Zrzucił błękitne okulary, wstał z fotela. W osłupieniu patrzyli, jak zmienia im się nagle w oczach, wyprostowuje, ściąga z głowy siwowłosą perukę. Stał teraz przed nimi ktoś zupełnie inny, mężczyzna w wieku trzydziestu kilku lat, o jasnych, prawie białych włosach i czarnych, wąskich oczach. Dopiero po chwili dostrzegli, że w prawym ręku trzyma pistolet.

- Kto... kto to jest? - wybełkotał Oziembło przyciskając się do szafy. Zdanowicz cofał się jak urzeczony przed tą nieznaną postacią, Maliniak urwał zdanie w pół słowa i stał z otwartymi ustami, gapiąc się na obcego.

- Wiedział pan, że doktor Hacen jest podwójnym zbrodniarzem, ale mimo to współpracował pan z nim jak gdyby nigdy nic, inżynierze Maliniak - mówił kapitan Szczęsny przesuwając wzrokiem po ich

twarzach. - Mecenas Raczek wiedział o zamordowaniu Maleckiego, ale też brał z największą chęcią udział w następnych kradzieżach. Ani jemu, ani panu nie przeszkadzało iść ręką w rękę z mordercą. Chodziło przecież tylko i wyłącznie o zyski. O pieniądze. O złoto! Dla złota gotowicie wszyscy zabić, nawet po kilka razy. Zanim się tu dzisiaj zebraliśmy, telefonowałem do pana Zdanowicza - zwrócił na niego oczy płonące jak czarne węgle - a on zwierzył mi się poufnie, że pozbywając się dwóch partnerów z waszego cennego grona, powinno się ich pozbyć w sposób radykalny. Rozumie pan, inżynierze Maliniak, co to oznacza?

- Nieprawda! - krzyknął Zdanowicz. - Nie myślałem, żeby ich zabić. Po prostu... po prostu, gdzieś zamknąć na pewien czas, aby...

- Ty łotrze! - syknął Maliniak rzucając się w jego kierunku.

Tylko Oziembło, schowany za szafą, usłyszał jakieś głosy na korytarzu. Drzwi otworzyły się szeroko. Stał w nich „Hrabia” z pistoletem w ręku. Nie był to jednak ten wiecznie podpity, zblazowany, nerwowy pokerzysta; teraz stał na progu mężczyzna o energicznym, choć zmęczonym wyrazie twarzy i bystrych oczach. Za jego plecami przerażony

magazynier dojrzał sylwetki ludzi w milicyjnych mundurach i po cywilnemu.

- Obywatelu kapitanie - rzekł z uśmiechem jeden z cywilów - starszy sierżant Tuczyński melduje, iż zakończył swój udział w akcji „Błękitne okulary”. - A potem dodał ciszej i już zupełnie nieoficjalnie: - Odwaliliśmy ładny kawał roboty, cholera!

Epilog

Siedzieli w mieszkaniu kapitana Szczęsnego przy mocnej kawie. Prócz gospodarza, był tam podprokurator Kania i porucznik Kręglewski. Przez uchylone okno wpadał świeży powiew wiatru; noc była chłodna, fala upałów odsunęła się od Warszawy.

- Ale nie wyjaśnił mi pan wszystkiego - rzekł Kania oglądając z zaciekawieniem perukę siwych, ładnie ułożonych włosów. - Skąd pan takie coś wytrzasnął? Od fryzjera?

Szczęśny uśmiechnął się.

- Ma się te potrzebne rekwizyty - odparł wymijająco. - Czego jeszcze panu nie wyjaśniłem?

- Jak to było na „Batorym”.

- No, cóż... Podpłynęliśmy do statku motorówką, był z nami pracownik X - lub, jak pan woli, „Hrabia”. Oddał on mi nieocenioną przysługę, bo zapamiętał najdrobniejsze szczegóły wyglądu, głosu i zachowania się doktora Hacena, tak że mogłem dokładnie odtworzyć tę postać, nie wnosząc do niej prawie nic nowego. Hacen, czyli Ignacy Białkowski,

pokazywał się swoim partnerom zawsze w przyćmionym świetle albo gdzieś w mroku ulic. Zmieniał przy tym głos na łatwy do naśladowania, bo bardzo cichy, ochrypliwy, prawie szept. Ale identyfikacja głosu w Zakładzie Kryminalistyki powiedziała nam prawdę. Na statku, w kabinie, przeprowadziłem rewizję u Białkowskiego i znalazłem narkotyki w czekoladkach.

- Skąd pan wiedział, że on chce to przewieźć?

- Interpol. Dali nam znać z Londynu. Angielska policja bardzo ostro walczy z handlem narkotykami, a jego mieli już na oku i tego jego przyjaciela z ulicy Wharfe Dale. Aresztowaliśmy Białkowskiego jeszcze na statku, ale bez „szumu”, pasażerowie nic nie wiedzieli. Zresztą był wtedy sztorm, wielu ludzi chorowało. Przewieźliśmy go samochodem do Warszawy. Zaskoczyłem go z miejsca tym, co wiedziałem już o jego grupie i kradzieżach. Sypnąłem tyłu szczegółami, które znaleźliśmy z obserwacji, że bardzo szybko załamał się i zaczął mówić. Oczywiście, tylko o kradzieżach. O zabójstwie Maleckiego i Raczka nie pisnął ani słowa. Widocznie skombinował, że tego nie wiemy i nie potrafimy mu udowodnić. Miał zresztą rację.

- Dlatego odgrywał pan przez parę tygodni rolę doktora Hacena.

- Doszedłem do wniosku, że jedynym sposobem dojścia do prawdy będzie: wejść w sam środek grupy i pokłócić ich między sobą tak dalece, że w końcu któryś z nich się wygada. Nie sądziłem, że oba zabójstwa popełnił Białkowski... Przyznam się, że o jedno z nich posądzałem Zdanowicza.

- Ryzykowałeś, Szczęsny - rzekł porucznik, dolewając sobie kawy. - Mogli cię wykończyć bezszmerowo i pies z kulawą nogą by nie odnalazł twego trupa.

- Mogli. Bo ja wiem, zresztą? Może - gdyby zorientowali się, że ktoś podszył się pod doktora Hacena. Zwłaszcza gdyby w jakiś sposób dowiedzieli się, że to oficer milicji. Pomyślcie, przecież miałem ich w ręku już po pierwszym spotkaniu u Antoniego. Wygadali się wtedy o wielu rzeczach.

- Czwarty wydział powinien odpalić ci ładną premię. Nagoniłeś im do worka grupę dobranych złodziejasków, takich od wielkiego dzwonu.

- Nie bał się pan ryzyka, kapitanie?

Szczęsny zamyślił się na chwilę. Nie odpowiedział.